tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 47 (1402)
16-22.11.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Tadeusz Kowalik
Zapomniane sumienie lewicy

TV Republika
Ściek bezprawia

Prof. Marta Marchlewska
o teoriach spiskowych

Prawda kontra fake newsy
po krakowskim zamachu

JESZCZE WIĘCEJ BRONI

SZALEŃCZE PLANY PRAWICY

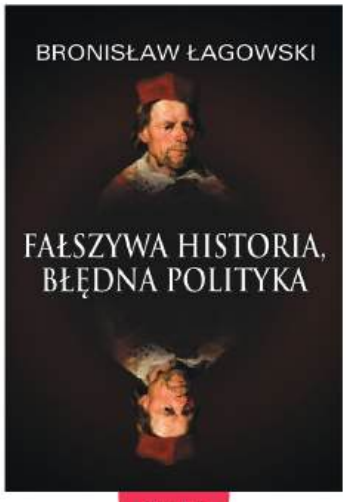


ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl a6f

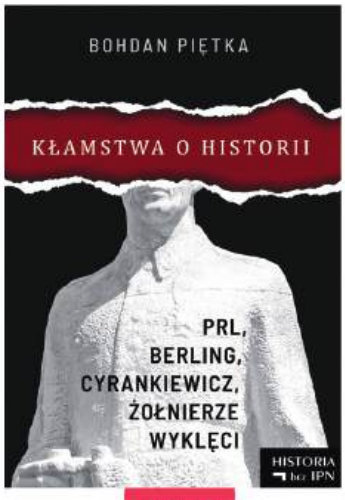
SPECJALNA OFERTA NA ŚWIĘTA

DOBRE KSIĄŻKI „PRZEGLĄDU"



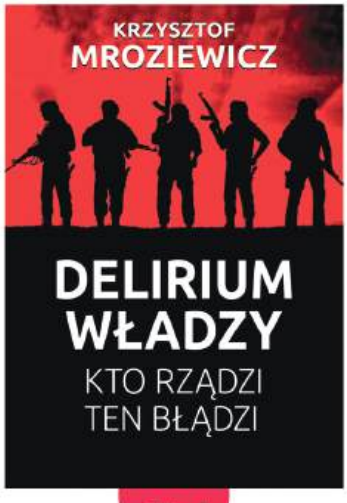
37 zł

Teksty publikowane w „Przeglądzie" przez ponad dwie dekady. O kulcie przegranych powstań narodowych, a zwłaszcza powstania warszawskiego. O kłamstwach na temat PRL. O gen. Jaruzelskim, IPN, „wyklętych" i haśle „precz z komuną".



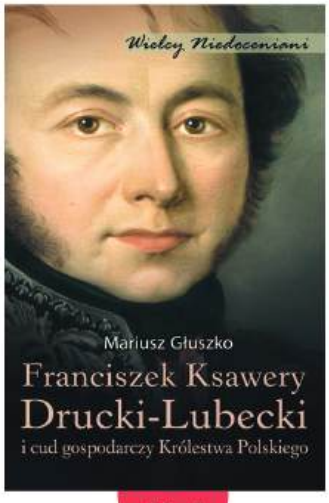
45 zł

Historia jako narzędzie walki politycznej. Gdy Morawiecki czcił Brygadę Świętokrzyską, zniesławiano Armię Ludową i dewastowano cmentarze wojenne. Jak prawica kłamie o Berlingu, Cyrankiewiczu, platerówkach i Sendlerowej.



45 zł

Czy jesteśmy skazani na rządy psychopatów? Co musi zrobić świat, by wyjść z zaklętego kręgu dyktatur, populizmu i terroru? Ten zbiór tekstów Krzysztofa Mroziewicza, znakomitego dziennikarza i dyplomaty, jest ciągle aktualny.



41 zł

Na pierwsze dekady XIX w. patrzymy zwykle przez pryzmat wojen napoleońskich i powstania listopadowego. Ale czasy Królestwa Kongresowego to także ważny okres w dziejach polskiej gospodarki.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a6f76f4988



Robert Walenciak

MÓJ PRZEGLĄD

Kwestia smaku

Spójrzmy prawdzie w oczy. Mamy dziś wojnę polityczną o Trybunał Konstytucyjny. Każda ze stron inaczej go sobie wyobraża. Można więc rzec, że są dwa Trybunały Konstytucyjne. Ten pisowski i ten większościowy, kierowany przez sędzię Annę Korwin-Piotrowską.

Pisowski Trybunał Konstytucyjny ma twarz Bogdana Święczkowskiego. Byłego szefa ABW i byłego prokuratora krajowego, pierwszego zastępcy Zbigniewa Ziobry. Ręce Święczkowskiego są splamione krwią Barbary Blidy.

Naprawdę trzeba być wyzutym z przyzwoitości i z szacunku dla władzy sądowniczej, by takiego człowieka kierować do Trybunału Konstytucyjnego, a potem jeszcze wybierać go na przewodniczącego. A PiS tak zrobiło. W zamian dostało człowieka, który wygasił prace Trybunału, sam w tym roku skarg konstytucyjnych obywateli nie rozpatrywał, zajmował się polityczną usłużnością. Naprawdę, warto było?

Prokuratura sformułowała przeciw Święczkowskiemu zarzuty. Skierowała do TK sześć wniosków o uchylenie mu immunitetu, m.in. wniosek dotyczący wykorzystywania systemu Pegasus do inwigilowania przeciwników politycznych PiS oraz przekazywania materiałów z podsłuchów kolegom partyjnym. Ten wniosek leżał w Trybunale już dawno, ale nie mógł być rozpatrywany, bo Święczkowski nie zwoływał Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK. W ten sposób chronił się, paraliżując prace podległej mu instytucji. Dziś szturmuje Trybunał przy użyciu szlifierki, wołając, że wezwie komornika. Wciąga w swoją sprawę PiS i Karola Nawrockiego, sklejając walkę polityczną z obroną własnej osoby.

Czy wtorkowe Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK, które zwołała Anna Korwin-Piotrowska i które będzie rozpatrywać wnioski o uchylenie immunitetu Święczkowskiemu, przybliży nas do rozwiązania jego sprawy? Miejmy nadzieję. Ale przed wtorkiem jest poniedziałek i na ten dzień prezydent Nawrocki zaprosił do Belwederu przedstawicieli klubów i kół sejmowych. Przyjmie ich szef jego kancelarii, Zbigniew Bogucki, żeby dyskutować o „uzdrowieniu" Trybunału Konstytucyjnego.

Dla Nawrockiego Trybunał był „zdrowy", gdy orzekali w nim sędziowie nielegalni, tzw. dublerzy. Był „zdrowy", gdy Święczkowski nie wpuszczał do niego sędziów legalnie wybranych przez Sejm, ale których prawem kaduka Nawrocki nie chciał zaprosić do Pałacu Prezydenckiego, by odebrać od nich przysięgę. Najkrócej mówiąc, był „zdrowy", gdy był pisowski, i słuszne było pogrywanie z prawem, by pisowski pozostał jak najdłużej. A teraz, gdy już nie jest – stał się „chory". Oto proste rozumienie polityki.

Podpalacz nie powinien udawać strażaka. Politycy nie powinni się wtrącać do prac TK. Święczkowski nie powinien być jego sędzią. To są proste zasady, które – być może – zbliżą nas do odbudowania Trybunału i jego autorytetu. To się opłaca wszystkim. Prawicy również.

BĄKOWSKI



eprasa.pl a6f76f4988

W NUMERZE

KRAJ

8 **Szaleńcze plany prawicy**
Powszechny dostęp do broni coraz bliżej?

11 **Atak na fakty**
Fake newsy po zamachu w Krakowie

15 **Republika bezprawia**
To już nie dziennikarstwo

18 **Nie na każde pytanie jest prosta odpowiedź**
– rozmowa z prof. Martą Marchlewską

21 **Byłem na Marszu Niepodległości**

32 **Od zamszowych bombek do chemii budowlanej**

34 **Jak lekarz z generałem**
– rozmowa z prof. Tadeuszem Popielą

SYLWETKI I HISTORIA

24 **Zapomniane sumienie lewicy**
Spuścizna Tadeusza Kowalika

28 **Sejm wielkiej kompromitacji**
Zmistyfikowane początki III RP

OPINIE

27 **Anatol Lieven**
Czym groziłaby blokada Kaliningradu przez NATO?

ZAGRANICA

36 **Lewica kontra populizm**
Korespondencja z Rzymu

40 **Czy wiatrakom powieje wschodni wiatr**
Walka Chin o rynek energii

44 **Nowa Kaledonia**
Spór o autonomię i dekolonizację

SPORT

46 **Niekochana**
Polscy trenerzy za granicą

KULTURA

48 **Wielki powrót Meli Muter**

50 **Qulturalia**

66 **Świat jak zielnik**

ZDROWIE

52 **Historie z izby przyjęć**
– rozmowa z lek. Wojciechem J. Falęckim i dr. Michałem Lipą

ZWIERZĘTA

56 **Białe i siwe**
Czaple nad Biebrzą

OBSERWACJE

58 **Napój wojowników**
Sekrety parzenia herbaty

60 **Turystyczny cud Polski: świdermajery**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
Kwestia smaku

33 **Jan Widacki**
Po krwawej sobocie w Krakowie

39 **Stanisław Filipowicz**
Słabi nigdy nie mają racji

43 **Roman Kurkiewicz**
Co po strzałach?

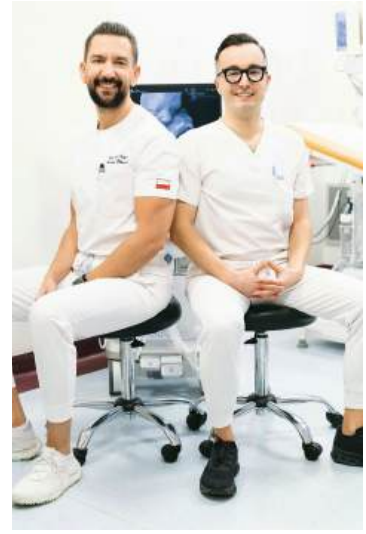
51 **Tomasz Jastrun**
Odpust narodowy

55 **Wojciech Kuczok**
Wpiekłogłosy



21
KRAJ

BYŁEM NA MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI
Każdy może pomaszerować?



52
ZDROWIE

HISTORIE Z IZBY PRZYJĘĆ
– rozmowa z lek. Wojciechem J. Falęckim i dr. Michałem Lipą



56
ZWIERZĘTA

BIAŁE I SIWE
Czaple nad Biebrzą



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

eprasa.pl a6f76f4988



Ognisko wciąż się pali

Szkoda, że na obozie harcerskim nie zostawiamy telefonów w sejfie, by żyć jak na obozie survivalowym. Przy dobrej organizacji dzieciaki, kiedy smartfon nie działa, zdobyłyby dużo praktycznej i przydatnej wiedzy.

Małgorzata Zbońkowska

•

Harcerstwo to nie tylko leśny survival. To również nowoczesna technika i postęp. Tym m.in. charakteryzowało się Harcerskie Pogotowie Wojenne w kampanii wrześniowej 1939 r. oraz w powstaniu warszawskim, kiedy to harcerze z Szarych Szeregów mieli tak rzadkie wtedy i niedostępne dla wielu umiejętności jak nie tylko prowadzenie i obsługa pojazdów mechanicznych, ale także obsługa łączności.

Janusz Mikołaj Kowalski

•

Na naszych obozach zachęcamy, żeby uczestnicy nie mieli telefonów, bo nie mają też możliwości ich ładowania. Nawet jeżeli jednak je zabiorą, mają je dostępne tylko co dwa dni na ciszy poobiedniej, żeby np. zadzwonić do rodziców. A rodzice w razie potrzeby mogą w czasie „bez telefonów" dzwonić do kadry.

Ludwik Pisarski

Strachy na Lachy

Niestety, strach jest użytecznym narzędziem sprawowania władzy. Dzięki strachowi rządzący mogą wytłumaczyć najgłupsze decyzje, wciskać kłamstwa „ciemnemu ludowi" oraz robić najgorsze świństwa w imię walki z podmiotem strachu. Obecnie ucieleśnieniem strachu jest Rosja, a dokładniej wojna z tym krajem. Przesadny strach prowadzi do aberracji w postrzeganiu innych, wywołując paniczne reakcje obronne, pogarszające sytuację. Strach nie sprzyja budowie zaufania. Prowadzi raczej do eskalacji wrogości, narastania uprzedzeń i negatywnych nastawień. Potrafi spętać racjonalne myślenie, prowokować wybuch zbiorowych paranoi, ksenofobicznych histerii, podejrzliwości i wykluczenia. Wizją wojny tłumaczy się obecnie finansowanie wrogiego nam kraju, bo „gdy Rosja wygra z Ukrainą, my będziemy następni". To, że Rosja nie musi zdobywać Ukrainy, żeby wyprowadzić atak ze swojego terytorium, jest często pomijanym szczegółem.



W Polsce katastroficzne wizje agresywności Rosji, roztaczane w wystąpieniach polityków i w mediach, nie tylko prowadzą do nasilania się nastrojów rusofobicznych, ale także motywują władze do podejmowania działań mobilizacyjnych, usprawiedliwiają militaryzację państwa oraz pilne poszukiwanie „twardych" gwarancji sojuszniczych. Dramatem Polski jest to, że rządzący mają w sobie więcej nienawiści do Rosji niż miłości do Polski, co doprowadza do zabawnych (dla zewnętrznych obserwatorów polskiej polityki zagranicznej) sytuacji: politycy straszą wojną z Rosją, jednocześnie rozbrajając kraj na potęgę, bo w zamian otrzymamy „wdzięczność" Ukrainy.

Mało kto spośród polskich polityków zdaje sobie sprawę z tego, że emocje oparte na strachu odkładają się trwale w pamięci zbiorowej. Raz wywołany strach trudno usunąć. Staje się on cechą zbiorowości, dziedziczoną z pokolenia na pokolenie. Strach przed Rosją nakręca postawy pesymistyczne, karmi polską martyrologię i ze względu na degradację więzi sąsiedzkich prowadzi do budowania mentalnych murów i kordonów. Ogranicza nawet rutynowe gesty dyplomatyczne, które od najdawniejszych czasów są świadectwem dobrej woli i przyjaznego nastawienia do siebie.

Michał Czarnowski

ZDJĘCIA TYGODNIA





Mediatorzy amerykańscy Steve Witkoff i Jared Kushner przez dwie godziny rozmawiali na Kremlu z Władimirem Putinem. Później spotkali się w Dublinie z Wołodymyrem Zełenskim. 12 listopada 2026 r.

FOT. AP/PETER MORRISON/EAST NEWS, IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl a6f76f4988

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Ponad 10 mln Polaków ukończyło 60. rok życia. Refundacja świadczeń i leków dla tych osób przekroczyła w 2025 r. 100 mld zł. • W Szczecinie oddano do użytku niemal 200-metrowy prom. Minęło ponad 20 lat nieobecności polskiej bandery na morzach. Jak można było tak szybko zaorać potężną polską flotę zbudowaną w PRL? Grabarze jeszcze żyją i mają się dobrze. • 16,86 mld zł dopłat bezpośrednich dostali polscy rolnicy w 2026 r. Nie są jedynymi beneficjentami, bo fundusze przechodzą przez banki zagraniczne. Największe kwoty przez francuski BNP Paribas. Bank powszechnie krytykowany jako biurokratyczna zmora. I tak będzie, bo na polski bank rolny politykom brakuje odwagi. Zmieni się władza, to będzie bank. • Dzień po zamachu w Krakowie kibole Legii Warszawa skandowali: „Zawsze i wszędzie policja j… będzie". Jak zawsze. Skoro więc władze klubu tolerują takie zdziczenie, PZPN powinien ukarać Legię zamknięciem Żylety. • W 2025 r. było 2378 wypadków z udziałem motocyklistów. Zginęło w nich 197 motocyklistów i pasażerów, a 2253 osoby zostały ranne. • Czy w przyszłym roku zostanie wprowadzony zakaz sprzedaży tzw. małpek? Miesięcznie sprzedaje się ponad 40 mln butelek. Ich wartość szacuje się na ok. 6 mld zł. • Prawie 41 tys. cudzoziemców jest na liście osób niepożądanych na terytorium Polski. Wśród nich 14,3 tys. Ukraińców i ponad 4 tys. Gruzinów. W ciągu dziewięciu miesięcy tego roku przymusowo deportowano 2,5 tys. osób. • Efekt podniesienia w 2023 r. z 500 do 800 zł pułapu, powyżej którego kradzież to przestępstwo, a nie wykroczenie, jest taki, że sieciom handlowym nie opłaca się zgłaszać drobniejszych spraw, a byłoby co, bo realną liczbę kradzieży szacuje się na 2,3 mln w skali roku („Rzeczpospolita"). • Na 12 tys. publicznych szkół podstawowych niecałe 8 tys. ma własną kuchnię i stołówkę. W ubiegłym roku szkolnym kontrole wykazały nieprawidłowości w 132 z nich. • W 2025 r. w medycynie było już 15,3 tys. specjalistycznych robotów, w tym 8,4 tys. robotów chirurgicznych.

PRZEBŁYSKI



Bój Schaba o komunalkę

Dla ludzi o niskich dochodach mieszkanie komunalne jest ostatnią szansą. Na lokal, który bezprawnie okupuje sędzia Piotr Schab, czekają już sześć lat. Schabowi tak się spodobało 80-metrowe mieszkanie blisko Łazienek Królewskich, że odmawia oddania kluczy. No bo gdzie znajdzie taki lokal za 1,2 tys. zł czynszu miesięcznie? Nawet jeśli na konto trafia mu co miesiąc kilkadziesiąt tysięcy złotych, to dom pod Warszawą też kosztuje. Sędzia Schab walczy. By uratować się przed eksmisją, poprosił o pomoc kolegę z tej samej grupy, zwanej dojną zmianą. A że Bogdan Święczkowski politykom i znajomym niczego nie odmawiał, to Trybunał Konstytucyjny wydał kuriozalne postanowienie o zawieszeniu wykonania wyroku niekorzystnego dla Schaba. Takie paskudne obyczaje były w Trybunale za rządów Święczkowskiego. Skończyło się, teraz Schabowi zostaje tylko przykucie się do kaloryfera w tej komunalce.

Jak BNP PARIBAS zamienia świat rolników w piekło

Czarne chmury zbierają się nad francuskim bankiem BNP PARIBAS. Rolnicy modlą się, by go wreszcie z Polski wymiotło. Łatwo nie będzie, bo BNP PARIBAS przyssał się do polskiego żywiciela mocniej niż największy kleszcz. Szczególną perfidią ze strony Francuzów i wynajętych krajowców jest hasło: „Bank zmieniającego się świata". Wielu rolnikom ten bank zamienił świat w piekło i udrękę. Spróbujcie wysłać mejl do kogoś z tego banku, np. do dyrektora w Rzeszowie czy Opolu. Albo do działu, z którym klient banku chce coś załatwić. Nie znajdziecie takiego adresu. Bo go nie ma. Albo jest tajny. Paranoja! Co ma zrobić młody rolnik, np. z okolic Braniewa, któremu BNP PARIBAS od dwóch miesięcy nie wypłaca dopłat, tylko trzyma na koncie i czeka na decyzję centrali w Warszawie? Zanim rolnik zbankrutuje, spróbujemy dotrzeć do zarządu banku. Prezes Przemysław Gdański (urocze zdjęcie na stronie banku), wiceprezeska Małgorzata Dąbrowska, wiceprezes Wojciech Kembłowski, wiceprezes Piotr Konieczny, wiceprezeska Magdalena Nowicka, wiceprezes Volodymyr Radin, wiceprezes Jerzy Jacek Szugajew i wiceprezeska Natalie Yacoubian. Takich przykładów jak w Braniewie jest zbyt wiele, by czekać na wasze zmiłowanie. Ciąg dalszy nastąpi.



Przemysław Gdański



Jerzy Jacek Szugajew



Wojciech Kembłowski



Natalie Yacoubian



Piotr Konieczny



Magdalena Nowicka



Małgorzata Dąbrowska



Volodymyr Radin

FOT. YOUTUBE, MATERIAŁY PRASOWE (8)

eprasa.pl a6f76f4988



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

PYTANIE TYGODNIA

Czy Sejm powinien urealnić liczbę posłów w okręgach?

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, socjolog, Uniwersytet SWPS

Tak, ale kluczowe jest, kiedy i jak to zrobić. Okręgi projektowano kilkanaście lat temu i od tamtej pory nie uwzględniono zachodzących migracji ani procesów demograficznych. W efekcie siła mandatu stała się zupełnie różna, a zasada proporcjonalności reprezentacji – zaburzona. Okręg podwarszawski jest niedoszacowany, z kolei w regionach dotkniętych depopulacją są przeszacowania, więc obecna sytuacja uderza w równość głosu. Jednak rok przed wyborami na korektę jest za późno. Partie czują pokusę układania procedur pod siebie i taki ruch mógłby zostać odebrany jako ułatwianie sobie rywalizacji. Kampania wyborcza to proces myślenia strategicznego opierającego się również na geografii – reguły muszą być stabilne i znane wcześniej. Najsensowniejszym wyjściem z impasu mógłby być stały wzór bazujący na danych GUS, przeliczający mandaty automatycznie, ale wprowadzony z zastrzeżeniem, że zmiany znajdą zastosowanie dopiero od kolejnej kadencji, a nie od momentu uchwalenia normy.

DR JACEK HAMAN,
socjolog, Uniwersytet Warszawski

Oczywiście, że Sejm powinien to zrobić – to nie kwestia dobrej woli polityków, lecz ich ustawowy obowiązek. W Kodeksie wyborczym mamy precyzyjne reguły podziału mandatów. Państwowa Komisja Wyborcza co cztery lata składa wnioski, które Sejm – bez względu na układ sił – dotąd ignorował. Przez lata bezczynności sprawa stała się problemem ogólnokrajowym: korekty wymaga już ponad 20 okręgów. Sama kwestia równości wyborów i migracji jest złożona. Prawo nie rozwiązuje wszystkich problemów, takich jak choćby dopisywanie głosów z zagranicy do Warszawy czy trudności z ustaleniem liczby mieszkańców. Rozwiązanie kodeksowe nie jest idealne, ale lepsze niż brak jakichkolwiek działań. Skoro weto prezydenta zablokowało automatyzm ogłaszania liczby mandatów przez PKW, posłowie muszą sami zrealizować przepisy. Tej sprawy nie da się już dłużej zamiatać pod dywan.

MARCIN CHMIELNICKI,
rzecznik prasowy Krajowego Biura Wyborczego

Zgodnie z Kodeksem wyborczym PKW jest zobowiązana przedkładać marszałkowi Sejmu wnioski o korektę liczby wybieranych posłów. Pierwszy wniosek trafił do Sejmu w 2014 r., drugi w 2018 r., a obecnie skala koniecznych zmian jest jeszcze większa. Wynika to z ruchów ludności – norma przedstawicielska wynosi obecnie ok. 76 tys. mieszkańców na mandat. W efekcie w ośmiu okręgach sejmowych należałoby zwiększyć liczbę posłów o jeden mandat, w okręgu wrocławskim o dwa, a w tzw. obwarzanku warszawskim – aż o trzy. Nierównowaga dotyczy również okręgów senackich – zbyt mało senatorów przypada na Mazowsze i Małopolskę, a za dużo na Śląsk. Kodeks wyborczy jasno jednak rozdziela role: PKW przedstawia wyliczenia, ale siła sprawcza i decyzja o zmianach leżą wyłącznie w gestii Sejmu.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl a6f76f4988

Szaleńcze plany prawicy

Jak broń dla Polaków trafiła z marginesu debaty do Pałacu Prezydenckiego

Marek Czarkowski



25 września br. prezydent Karol Nawrocki dokonał oficjalnego otwarcia odkrytej strzelnicy sportowej w Bogutach-Piankach.

Przez trzy dekady postulat zapewnienia Polakom powszechnego dostępu do broni palnej był hasłem ekscentryków z Unii Polityki Realnej. Ostatnio o „odpowiedzialnym dostępie do broni" zaczęli mówić prezydent, jego ministrowie i wiceprezes PiS. A potem przyszła sobota 7 listopada.

Około godz. 15 na Rynek Główny w Krakowie wjechało czarne Subaru. 24-letni Michał O., uzbrojony w karabin samopowtarzalny AR-15, zaczął strzelać do przypadkowych ludzi. Zginęło sześć osób, 16 zostało rannych. Wcześniej, w Ostrowcu Świętokrzyskim, zastrzelił rodziców i siostrę.

Pościg zakończył się przy skrzyżowaniu ulic Stradomskiej z Dietla, gdzie dwaj policjanci, sami ranni, obezwładnili napastnika. 9 listopada sprawca strzelaniny zmarł w szpitalu.

Jaki był najbardziej bulwersujący szczegół tej sprawy? Michał O. nie kupił karabinu na czarnym rynku ani go nie ukradł. Wszedł w jego posiadanie legalnie. Pozwolenie na broń do celów sportowych otrzymał w styczniu 2026 r. Jego ojciec posiadał 11 sztuk broni. Wszystkie zgodnie z prawem. Jednak tragicznych historii z użyciem legalnie nabytej broni było więcej.

16 lipca 2023 r. na ulicy Święty Marcin w centrum Poznania Mikołaj B. zastrzelił narzeczonego swojej byłej partnerki, a następnie odebrał sobie życie. Pistolet i amunicję nabył legalnie.

1 grudnia 2023 r. Maksymilian F., zatrzymany jako poszukiwany listem gończym, postrzelił z broni czarnoprochowej, którą miał przy sobie, dwóch konwojujących go policjantów. Obaj zmarli. F. nabył broń legalnie.

Wydawać by się mogło, że czas po 7 listopada to najgorszy moment, by podnosić kwestię zapewnienia Polakom powszechnego dostępu do broni palnej. Nic bardziej mylnego!

25 września br., sześć tygodni przed krakowską tragedią, prezydent Karol Nawrocki dokonał oficjalnego otwarcia nowo wybudowanej, odkrytej strzelnicy sportowej w Bogutach-Piankach. Przy tej okazji wspomniał, że pod względem powszechności dostępu do broni palnej Polska znajduje się na końcu stawki w Unii Europejskiej. Dostęp do broni ma u nas ok. 1% obywateli. Prezydent podkreślił, że w Czechach i Austrii odsetek ten wynosi 3-5%, a w Finlandii i Szwajcarii – nawet 30%. I zaapelował o otwarcie dyskusji na temat odpowiedzialnego dostępu do broni – zaznaczając, że sam jest legalnie uzbrojony. Kończąc przemówienie na strzelnicy, Karol Nawrocki powiedział: „Wierzę – tak jak modlił się przed momentem ksiądz, poświęcając strzelnicę – że będą na niej wygrywać odpowiedzialność i spokój, i wyjdą z niej kolejni odpowiedzialni użytkownicy broni".

9 listopada br. w „Popołudniowej rozmowie" RMF FM w podobnym tonie wypowiadał się szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartosz Grodecki, dowodząc, że „jeden incydent

eprasa.pl a6f76f4988

nie powinien przekreślać dyskusji dotyczącej naszego bezpieczeństwa". Nazwanie krakowskiej tragedii incydentem wiele mówi o szefie BBN.

10 listopada w programie „Graffiti" na antenie Polsat News basował mu szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki: „Jeśli ktoś dzisiaj próbuje tę sytuację z Krakowa, tragiczną, ten bezprecedensowy zamach wykorzystać do tego, żeby nie rozmawiać o dostępie do broni, to znaczy, że nie rozumie zagrożeń". I opowiedział się za rozmowami o liberalizacji przepisów prawa: „Być może niektóre procedury trzeba zmienić. Być może niektóre procedury trzeba, nie chcę powiedzieć zaostrzyć, ale usprawnić". W identycznym tonie tego samego dnia w programie „Rymanowski Live" perorował rzecznik prezydenta Nawrockiego Rafał Leśkiewicz.

Jest więc raczej pewne, że Nawrocki będzie w przyszłości forsował regulacje prawne mające ułatwić Polakom dostęp do broni palnej.

Na początku był Korwin

Kiedy zaczęła się dyskusja na temat powszechnego dostępu do broni? Trudno podać precyzyjną datę, podobnie jak trudno wskazać osobę, która pierwsza po 1990 r. publicznie sformułowała żądanie „broni dla wszystkich".

W latach 90. za rozszerzeniem dostępu do broni palnej opowiadała się Unia Polityki Realnej. W 1997 r. prawnik, prof. Marian Filar, opublikował na łamach prestiżowego „Państwa i Prawa" artykuł „Prawo posiadania broni palnej jako obywatelskie prawo podmiotowe". Później wprost zaliczono go do zwolenników zapewnienia powszechnego dostępu do broni. Temat ten od czasu do czasu pojawiał się w mediach, lecz daleko mu było do znalezienia się w głównym nurcie debaty publicznej.

W 1999 r. Sejm przyjął Ustawę o broni i amunicji, która z licznymi nowelizacjami obowiązuje do dziś.

Najbardziej dosadne cytaty dotyczące posiadania broni są autorstwa Janusza Korwin-Mikkego, który 5 lipca 2008 r. w dyskusji w studiu TVN 24 przekonywał, że „każdy powinien posiadać broń palną, żeby móc się obronić przed bandytami". I tłumaczył: „Mam broń, mam zezwolenie na broń, czuję się bezpieczny. Gdyby sąsiad miał, czułbym się jeszcze bezpieczniejszy".

Wcześniej, 26 marca 2008 r., poseł Andrzej Czuma, kierujący wówczas sejmową komisją śledczą ds. nacisków na organy ścigania i wymiar sprawiedliwości za rządów PiS w latach 2005-2007, opisał na łamach dziennika „Rzeczpospolita" autorską koncepcję obywatelskiej karty broni, z wyłączeniami dla określonych kategorii osób.

W ten sposób hasło zapewnienia Polakom powszechnego dostępu do broni przestawało być egzotyką. I jeśli Korwin-Mikke był pionierem w tym temacie, to dziś Grzegorz Braun jest najbardziej radykalnym kontynuatorem jego idei. 28 kwietnia 2015 r. w studiu radiowej Jedynki oświadczył: „Dla mnie prawo do posiadania broni to prawo naturalne". I dodał: „Wolny Polak nie powinien być zmuszony do tego, żeby się ubiegać o zgody jakichś urzędników, policjantów. Tylko wyrok sądu powinien być władny wolnego Polaka rozbroić". W lutym 2017 r. w wywiadzie dla „Myśli Konserwatywnej" Braun deklarował: „Jestem człowiekiem, który zachęca do prowadzenia pracy organicznej pod hasłem »Kościół, szkoła, strzelnica, mennica«".

13 kwietnia 2018 r. w rozmowie z dziennikarzem prawicowego tygodnika „Warszawska Gazeta" stwierdził, że prawa do posiadania broni „nikt nie powinien nam ani przyznawać, ani też sprawdzać naszych kwalifikacji, ani nawet rejestrować". Tłumaczył też, po co Polakom potrzebna jest broń: „Nie po to bynajmniej, by ruszać z dubeltówkami na czołgi, ale przede wszystkim po to, by własnym rodzinom i domostwom zapewnić bezpieczeństwo przed każdym intruzem, który śmie naruszyć nasz mir domowy".

W sierpniu 2020 r., komentując dla Onetu program rządu PiS „Strzelnica w każdym powiecie", Braun grzmiał: „Państwo tak powszechnie rozbrojone nie przetrwa". A 24 lutego 2022 r., w dniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, napisał na Twitterze: „Dwie wojenne oczywistości: natychmiast znieść reglamentację dostępu do broni dla obywateli RP". Kropkę nad i postawił w swoim programie prezydenckim z 2025 r., w którym zapisał powszechny dostęp do nierejestrowanej broni palnej.

Program jego partii, Konfederacji Korony Polskiej, zapowiada dążenie „do całkowitego zniesienia ograniczeń w posiadaniu broni", a pozbawić obywatela tego „naturalnego prawa" mógłby tylko prawomocny wyrok sądu.

Wielkim zwolennikiem zapewnienia Polakom swobodnego dostępu do broni jest także jeden z liderów Konfederacji, Sławomir Mentzen. „Nie rozumiem sytuacji, w której mogę w dowolnej chwili iść do marketu i kupić siekierę lub maczetę, a nie mogę kupić pistoletu, który na bliskim dystansie ma podobną skuteczność", dowodził wielokrotnie w mediach społecznościowych. „W pierwszej kolejności należałoby zderegulować przepisy utrudniające dostęp do broni, które w praktyce w żaden sposób nie wpływają na poprawę bezpieczeństwa". I dalej: „Żadna organizacja nie powinna decydować o tym, czy ktoś może mieć broń, czy nie. To trochę tak, jakby jakiś automobilklub decydował o tym, czy ktoś może mieć prawo jazdy i jeździć po drogach, czy nie".

Warto też pamiętać, że w 2022 r. Konfederacja wsparła kwotą ponad 200 tys. zł trzy organizacje zajmujące się strzelectwem i obronnością: wrocławskie Stowarzyszenie Si Vis Pacem Para Bellum oraz związane z Grzegorzem Braunem fundacje Pobudka i Osuchowa.

Zbigniew Bogucki: „Jeśli ktoś dzisiaj próbuje tę sytuację z Krakowa (…) wykorzystać do tego, żeby nie rozmawiać o dostępie do broni, to znaczy, że nie rozumie zagrożeń". I opowiedział się za rozmowami o liberalizacji przepisów prawa.

eprasa.pl a6f76f4988



Krzysztof Bosak z posłami Konfederacji na strzelnicy w Gdyni, 2020 r.

Uzbrojeni po zęby

Zgodnie z wyliczeniami policji w 2025 r. wydanych pozwoleń na broń było ponad 411 tys., a w latach 2020-2025 liczba legalnie zarejestrowanych sztuk broni wzrosła o jakieś 77%. Szacuje się, że w rękach Polaków jest ponad 1 mln sztuk broni.

Kwestię dostępu do broni w Polsce reguluje Ustawa z dnia 21 maja 1999 r. o broni i amunicji z późniejszymi zmianami. Pozwolenie na broń wydawane jest w drodze decyzji administracyjnej przez właściwego ze względu na miejsce stałego pobytu komendanta wojewódzkiego policji. Wnioskodawca musi przy tym spełnić takie warunki jak ukończone 21 lat, niekaralność czy pozytywne orzeczenia lekarskie i psychologiczne potwierdzające brak zaburzeń psychicznych, ograniczeń sprawności psychofizycznej oraz brak uzależnień od alkoholu lub substancji psychoaktywnych.

Według oficjalnych danych Komendy Głównej Policji w 2023 r. doszło do 21 zabójstw i usiłowania zabójstwa z użyciem broni palnej. Do 30 listopada 2024 r. wykazano 23 zabójstwa i usiłowania zabójstwa z użyciem broni palnej. Danych za 2025 r. brakuje.

Tragedia w Krakowie była pierwszym w Polsce przypadkiem, w którym sprawca zabijał swoje ofiary – jak się wydaje – bez wyraźnego powodu.

Reakcja polityków koalicji rządzącej na wydarzenia z 7 listopada w Krakowie była wyważona. Ich uwaga skupiła się na ofiarach i na policjantach, którzy mimo odniesionych ran powstrzymali zamachowca. Nie było gromkich wezwań do drakońskiego zaostrzenia przepisów prawa, by utrudnić uzyskanie pozwoleń na broń. Premier Donald Tusk zaapelował o nieuleganie emocjom, ale zwrócił się do ministrów spraw wewnętrznych, obrony narodowej i sprawiedliwości oraz do prezesa Rządowego Centrum Legislacji z dyspozycją pilnego przeglądu wszystkich przepisów dotyczących broni. Kierownictwo MSWiA podniosło kwestię ścisłej ewidencji broni czarnoprochowej i zapowiedziało kroki w tym kierunku, choć nie postulowano wprowadzenia zezwoleń.

Inaczej zachowali się politycy opozycji, którzy natychmiast zarzucili rządzącym, że na krakowskim rynku zabrakło funkcjonariuszy policji i dlatego było tyle ofiar.

Postulat poszerzenia dostępu do broni nie znajduje akceptacji ekspertów. Dr Adrian Wrocławski z Uniwersytetu Gdańskiego twierdzi, że dostęp do broni w Polsce jest bardzo łatwy, a liczba jej posiadaczy rośnie bardzo szybko. Przy czym, jak twierdzi, legalni właściciele są często obywatelami bardziej odpowiedzialnymi niż inni, bo pozwolenie na broń można bardzo łatwo stracić.

Ekspert wojskowy kpt. rez. Maciej Lisowski w wypowiedzi dla TVN 24+ zwrócił uwagę, że „liczba sztuk broni w polskim społeczeństwie rośnie. Pomimo tego nie zanotowano skokowego wzrostu przestępczości z wykorzystaniem legalnie posiadanej broni".

Zwolennicy liberalizacji prawa chcą przesunąć punkt ciężkości z pytania, po co obywatelowi broń, na kwestię, czy istnieją powody, aby mu jej odmówić. Tymczasem społeczeństwo nie żąda żadnej rewolucji. W sondażu IBRiS z września 2025 r. 47,6% badanych było zadowolonych z obecnych przepisów regulujących dostęp do broni palnej, 26,8% chciało szerszego dostępu, a 17,8% – zaostrzenia przepisów. Jedynie Grzegorz Braun i jego zwolennicy chcieliby, aby nad Wisłą było jak w Stanach Zjednoczonych. Obywatele Europy mają zresztą inne podejście do broni niż Amerykanie. Tę ogromną różnicę widać np. w Szwajcarii czy w Finlandii. Tam nikt nie sięga po pistolet, by wyjaśnić relacje z sąsiadem.

Nie wiemy, czy polskie podejście do broni bliższe jest teraz amerykańskiemu czy szwajcarskiemu. Przesłankę dotyczącą ewentualnych regulacji tej kwestii mieliśmy w Krakowie. Jeżeli dodać do tego ataki młodych nożowników sprzed kilku tygodni, lepiej byłoby nie sprawdzać, czy poszerzenie dostępu do broni zwiększy bilans kolejnych ofiar.

Co znamienne, po raz pierwszy w historii III RP postulat szerszego dostępu do broni nie jest hasłem partii kanapowej, lecz tematem, który podnosi prezydent, a jego ministrowie bronią go nawet w obliczu tragedii.

W przeciwnym kierunku idzie rząd – zapowiada przegląd przepisów, ewidencję broni czarnoprochowej oraz wzmożone kontrole arsenałów sportowców.

Tylko Grzegorz Braun i jego Korona grają va banque, wypisując na sztandarach prawo obywateli do nierejestrowanej broni. Czy z tej kakofonii wyłoni się jakikolwiek projekt ustawy? Na razie nikt go nie położył na stole. Pewne jest jedno – po 7 listopada 2026 r. tej debaty nie da się zbyć wzruszeniem ramion.

Marek Czarkowski

FOT. MAREK BORAWSKI/KPRP, KONFEDERACJA/FACEBOOK

eprasa.pl a6f76f4988

Atak na fakty

Zamach w Krakowie to pretekst do szerzenia internetowych kłamstw i zbijania kapitału politycznego

Kornel Wawrzyniak

Po zamachu w Krakowie trzeba było ratować rannych, ustalać przebieg wydarzeń i wyjaśniać motywy sprawcy. Tymczasem w internecie ruszyła produkcja gotowych odpowiedzi. Napastnik miał być Ukraińcem, żołnierzem, człowiekiem powiązanym z ukraińskimi formacjami. Do tragedii miał doprowadzić rząd, wręcz ją zorganizować, a policja pozostawiła miasto bez ochrony. Każda z tych opowieści wskazywała wygodnego wroga, zanim pojawiły się dowody.

Zginęło sześć osób, 16 zostało rannych. Wobec takiej tragedii pytanie o granice walki politycznej przestaje być abstrakcją. Jeśli jest moment, w którym, zamiast szukać korzyści dla własnego obozu, należy podać sprawdzoną informację, to właśnie ten. Nie chodzi o zakaz krytyki władzy ani o bezwarunkową wiarę w komunikaty służb. Chodzi o podstawową zasadę: tragedia nie zwalnia z odpowiedzialności za słowa. Przeciwnie, wymaga jej jeszcze więcej.

Wysyp fejków

– Jeśli chodzi o najpopularniejsze narracje, to dominowały te dotyczące tożsamości i motywacji sprawcy, w których wykorzystywano lukę informacyjną i spekulacje. Część z nich wpisywała się w utrwalone przekazy o zagrożeniu ze strony obywateli Ukrainy i migrantów, regularnie powracające po doniesieniach o przestępstwach, często jeszcze przed oficjalnymi komunikatami policji. Drugą dużą grupę stanowiły narracje spiskowe dotyczące samego zdarzenia. Wykorzystywano w nich fałszywe powiązania, manipulacje kontekstem i wypowiedziami polityków, aby sugerować mistyfikację lub operację specjalną. Z uwagi na bliskość czasową ataku i obchodów Święta Niepodległości pojawiły się także tezy łączące te dwa wydarzenia – wyliczają specjaliści z NASK, państwowego instytutu badawczego zajmującego się infrastrukturą internetową i cyberbezpieczeństwem.



Jedna z manipulacji przedstawiała Marcina Kierwińskiego ściskającego dłoń napastnika. Na prawdziwej fotografii ministra z Krzysztofem Kucickim, kandydatem do rady warszawskiej dzielnicy, podmieniono postać obok polityka.

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl a6f76f4988

Najbardziej wymowny przykład dezinformacji dał Tomasz Sakiewicz, relacjonując wydarzenia z Krakowa. Jego zachowanie zasługuje na jednoznaczną krytykę. Dziennikarz ma prawo pytać, czy zabezpieczenie miasta było wystarczające, ale nie powinien zastępować ustaleń sugestią pasującą do tezy politycznej, zwłaszcza gdy przeczy jej obraz przedstawiany w jego własnej relacji. Na antenie pojawił się zarzut: Kraków został pozbawiony ochrony na rzecz Warszawy. Nie trzeba rozstrzygać, czy była to świadoma manipulacja, czy rażąca niestaranność, aby ocenić skutek – odbiorca dostał gotowe wyjaśnienie tragedii i adres pretensji. Mikrofon zwiększa zasięg wypowiedzi, a więc powinien też zwiększać odpowiedzialność za jej sprawdzenie.

Fałszywe narracje nie ograniczały się do słów. W sieci krążyły obrazy przedstawiane jako wyraźne zdjęcia twarzy sprawcy, choć przetworzono je za pomocą sztucznej inteligencji. Zmieniano także fotografie z jego profili społecznościowych: dodana do kurtki plakietka z trzema strzałami miała sugerować związki z ruchem antyfaszystowskim. Obraz nie dokumentował rzeczywistości, lecz podsuwał polityczną interpretację.

– Niektóre narracje wzmacniano zmanipulowanymi lub wygenerowanymi przez sztuczną inteligencję obrazami, mającymi potwierdzać określone poglądy i afiliacje polityczne sprawcy – podkreślają specjaliści z NASK.

Inne zmanipulowane zdjęcie przedstawiało Marcina Kierwińskiego ściskającego dłoń napastnika. Według przytoczonych ustaleń PAP wykorzystano prawdziwą fotografię ministra z Krzysztofem Kucickim, kandydatem do rady warszawskiej dzielnicy. Rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka zapowiedziała przekazanie sprawy prokuraturze. Wskazała też, że kłamstwo rozpowszechniały m.in. profile związane z TV Republika.

Popularność zdobyły również opowieści o rzekomym bracie sprawcy i o drugim zamachowcu na dachu Kościoła Mariackiego. Pierwszy wpis osiągnął niemal 2 mln wyświetleń, zanim wyjaśniono, że była to prowokacja służąca zdobyciu popularności. W drugim przypadku prawdziwemu nagraniu interwencji policji nadano fałszywe znaczenie – osobą na tarasie okazał się ksiądz, a nie kolejny napastnik. Do stworzenia fałszywego przekazu nie zawsze potrzebny jest wygenerowany obraz. Czasem wystarczą rzeczywiste nagranie, błędny podpis i odbiorca szukający szybkiej odpowiedzi.

Według NASK narracja o zamachu zaplanowanym przez polski rząd przy udziale UE miała ok. 200 mln wyświetleń. Opowieść o sprawcy będącym żołnierzem – 18 mln.

Miliony wyświetleń

Skalę zjawiska pokazują dane przytoczone w mediach przez rzeczniczkę NASK Paulinę Zywar. Zespół przekazał informacje o niemal 3 tys. kont i wpisów rozpowszechniających dezinformację tylko między 7 a 9 listopada. To liczba łączna, nie należy jej utożsamiać z 3 tys. odrębnych sprawców ani samych kont.

Według specjalistów z NASK narracja o zamachu zaplanowanym przez polski rząd wraz z Unią Europejską wygenerowała ok. 200 mln wyświetleń. Opowieść o sprawcy będącym żołnierzem – 18 mln, a przekaz łączący tragedię z protestem przed Trybunałem Konstytucyjnym i rzekomym brakiem służb – 14 mln. Ponad 5 mln wyświetleń osiągnęła teoria, że rząd chciał zyskać pretekst do odwołania Marszu Niepodległości.

Skąd tak duża popularność teorii o tym, że za zamachem stały rząd i UE? – Możliwe wyjaśnienia wiążą się zarówno z kształtem debaty toczącej się w infosferze, szczególnie w mediach społecznościowych, co jest niezależne od samego ataku w Krakowie, jak i z błędami poznawczymi wpływającymi na interpretację nagłych, tragicznych, trudnych do wyjaśnienia wydarzeń. Podważanie zaufania do instytucji państwowych jest stałym wątkiem treści dezinformacyjnych z różnych obszarów – dotyczących procesów legislacyjnych, obronności, relacji z Ukrainą czy zdrowia. Często odwołują się one do myślenia spiskowego, które trudno obalić poprzez racjonalne argumenty czy przywołanie faktów, ponieważ dowody przeciwne są w nim traktowane jako potwierdzenie istnienia spisku – tłumaczą specjaliści z NASK.

Wyświetlenia nie oznaczają liczby ludzi, którzy uwierzyli w daną tezę, ani nawet odrębnych odbiorców. Pokazują jednak rozległość obiegu opowieści, które zamiast niepewności oferowały prosty scenariusz: wszystko zaplanował znany przeciwnik. Wykorzystywały strach, nieufność i obrazy wyglądające jak dowody. Pasowały do wcześniejszych uprzedzeń, dając poczucie dostępu do ukrytej prawdy. To interpretacja mechanizmu, nie wskazanie intencji każdego udostępniającego. NASK rozróżnia świadome rozpowszechnianie fałszu i nieświadome powielanie błędnych informacji. Skutek może być podobny, ale odpowiedzialność nie jest identyczna.

Chińska infosfera dość dynamicznie nagłaśniała opinię, że Polska przestała być bezpiecznym miejscem.

Międzynarodowy obieg fałszywego przekazu łączącego napastnika z ukraińskim wojskiem opisała Anna Mierzyńska w OKO.press. Rozpowszechniały go konta rosyjskie, media białoruskie oraz zagraniczne portale i profile powielające rosyjskie narracje. Punktem wyjścia była naszywka znaleziona na wyposażeniu sprawcy, tzw. flaga Czarnobrodego. Zestawiono ją z podobnym, lecz nie identycznym znakiem Forward Observations Group, amerykańskiej

eprasa.pl a6f76f4988

marki militarnej i platformy medialnej. Dołożono zdjęcia osób w mundurach i sugestię związku z formacjami walczącymi po stronie Ukrainy. Podobieństwo symboli potraktowano jako dowód przynależności, a zestawienie fotografii jako dowód wspólnej historii.

– Wątek ukraiński był jednak mocno wykorzystywany nie tylko przez nasz lokalny komentariat, ale przede wszystkim przez konta zagraniczne. Starano się w ten sposób połączyć napastnika, Michała O., z wojną w Ukrainie. Jego udziału w konflikcie z Rosją miały dowodzić m.in. naszywki na ubraniu, które miał na sobie w dniu zamachu, oraz fotografie rzekomo zrobione w jego domu, na których widać kamizelkę kuloodporną z flagą Ukrainy. Oba przekazy okazały się nieprawdziwe. Flaga Czarnobrodego, pirata grasującego niegdyś po Karaibach, jest wykorzystywana przez różne siły specjalne na całym świecie i nie można przykleić tego emblematu wyłącznie do wojsk walczących po stronie Ukrainy. Fotografia została zaś zmodyfikowana z użyciem sztucznej inteligencji, czego dowodziła obecność cyfrowego znaku wodnego SynthID – zwraca uwagę Mateusz Cholewa z organizacji fact-checkingowej Stowarzyszenie Demagog.

Naszywka dostępna w powszechnej sprzedaży nie potwierdza służby wojskowej ani członkostwa w organizacji. Władysław Kosiniak-Kamysz dementował informację, że sprawca był żołnierzem Wojska Polskiego. Analiza Anny Mierzyńskiej wskazuje zaś, że dostępne komunikaty polskich służb nie potwierdzały powiązań z ukraińskim legionem. Takie sugestie mogą podważać zaufanie do polskich instytucji i podsycać niechęć do Ukrainy.

– Sprawę zamachu podchwyciły rosyjskie konta, które starały się straszyć zagranicznych odbiorców poprzez łączenie rzekomych traumatycznych doświadczeń Michała O. z ukraińskiego frontu z przekazem o niedofinansowaniu policji wskutek przekazania pieniędzy Ukraińcom. W ten sposób straszono mieszkańców Francji, Niemiec czy Włoch, że jeśli nadal będą wspierać Ukraińców, historie takie jak ta z Krakowa mogą powtórzyć się u nich – dodaje Mateusz Cholewa.

Oczywiście nie każde polskie konto powielające fałszywkę dostało polecenie z Moskwy. Lokalna insynuacja polityczna może jednak wejść w obieg zagranicznej propagandy nawet bez działania w porozumieniu.

Uczciwość wymaga tej samej miary wobec wszystkich stron sporu. Marcin Kierwiński mówił kilka godzin po zamachu o prawdopodobnej inspiracji ideologią prawicową. Portal Zero.pl zaznaczał, że prokuratura nie potwierdziła wówczas tych doniesień. Minister spraw wewnętrznych mógł dysponować wiedzą operacyjną, ale samo przypuszczenie nie zastępuje potwierdzonych ustaleń. Późniejsze wypowiedzi ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka wskazują, że śledczy badają wątek skrajnie prawicowego ekstremizmu, m.in. w związku z zainteresowaniem sprawcy Andersem Breivikiem. Badanie wątku nie oznacza jednak ustalenia motywu.

Onet opisywał z kolei możliwe nawiązanie do Elliota Rodgera i zainteresowanie sprawcy innymi masowymi zabójcami. To materiał dla śledczych, nie zestaw etykiet do wyboru dla komentatorów. Wypowiedź Żurka o badaniu komputera i telefonów napastnika należy czytać jako informację o trwającym dochodzeniu. Kto domaga się ostrożności przy opisywaniu poglądów sprawcy, powinien zachować ją też przy przypisywaniu mu związków z Ukrainą, antyfaszyzmem czy rządem. Inaczej nie broni standardów, lecz forsuje własną wersję wydarzeń.

Ciekawy jest także wątek chiński. Tamtejsza infosfera dość dynamicznie nagłaśniała opinię, że Polska przestała być bezpiecznym miejscem. Możliwe powody tego wymieniają specjaliści z NASK: – Bezpieczeństwo publiczne, komfort społeczny i opieka nad społeczeństwem są kluczowe dla władz Chin oraz ich aparatu propagandowego. Wykorzystując przypadki ataków, zamachów lub innych incydentów w państwach zachodnich, Pekin buduje na użytek propagandy wewnętrznej przekaz, że tylko Komunistyczna Partia Chin jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom. Ciągłe nagłaśnianie narracji, że Polska przestała być bezpiecznym miejscem, wpisuje się w szerszy kontekst przekazu antyzachodniego – ukazywania słabości państw zachodnich, podważania ich zdolności do opieki nad społeczeństwem oraz promowania silnej i scentralizowanej władzy autorytarnej.



Echa sporu o Akt o usługach cyfrowych

W tym kontekście warto wrócić do weta Karola Nawrockiego z 9 stycznia 2026 r. wobec ustawy dostosowującej polskie przepisy do Aktu o usługach cyfrowych. Spór dotyczył m.in. nakazów podejmowania działań przeciwko nielegalnym treściom i zakresu sądowej kontroli decyzji urzędników. Teza, że bez weta nie doszłoby do zamachu lub fali kłamstw, byłaby drogą na skróty. Nie każda kontrowersyjna wypowiedź należałaby do treści objętych takimi

eprasa.pl a6f76f4988

nakazami. Można pytać, czy skuteczniejsze egzekwowanie odpowiedzialności ograniczyłoby rozpowszechnianie niesprawdzonych informacji. Nie sposób jednak przesądzić, jak zachowaliby się użytkownicy.

Osobną kwestią jest skuteczność narzędzi wobec stron gloryfikujących masowe morderstwa i ich sprawców. Na początku listopada przywoływałem na łamach „Przeglądu" (nr 45/2026) analizę Adama Sokołowskiego z „Krytyki Politycznej". Wynikało z niej, że dyskusja o internetowych źródłach przemocy zbyt łatwo zatrzymuje się na grach komputerowych. Tymczasem problemem mogą być społeczności, w których masowi zabójcy stają się ikonami, a zbrodnie materiałem na memy. Opisywana przez Sokołowskiego Dark True Crime Community pokazuje, jak fascynacja sprawcami może się przeradzać w ich kult. Doniesienia o zainteresowaniach napastnika z Krakowa nie dowodzą jego związku z tą subkulturą. Przypominają jednak, dlaczego potrzebujemy rozmowy o internetowych środowiskach gloryfikujących przemoc.

Fascynacja sprawcami może przeradzać się w ich kult.

Nie oznacza to, że konkretna ustawa zapobiegłaby zamachowi. Zarazem nie powinniśmy sporu o regulację internetu sprowadzać, jak Karol Nawrocki, do hasła „cenzura". Trzeba rozmawiać o odpowiedzialności platform, skuteczności moderacji i granicy między opisywaniem zbrodni a jej pochwalaniem. Uczciwa debata wymaga konkretnych przepisów, nie przeciwstawiania wolności słowa wszelkiej odpowiedzialności za treści. Weto nie odpowiada na pytanie, jakie inne narzędzia mają chronić obywateli przed treściami łamiącymi prawo. A tę odpowiedź prezydent jest winien obywatelom.

Nadwiślańscy piewcy wolności słowa w stylu amerykańskim chętnie przedstawiają ją jako wolność bez granic. Tymczasem pierwsza poprawka do konstytucji USA wprawdzie szeroko chroni przed ograniczaniem wypowiedzi przez władze publiczne, ale nie gwarantuje bezkarności. Co do zasady nie nakazuje też prywatnym platformom publikowania wszystkiego, co zamieszczą użytkownicy. Mogą one zgodnie z prawem moderować treści. Za słowa można również odpowiadać przed sądem – nie za każdą kontrowersyjną opinię, lecz w określonych prawem przypadkach, takich jak zniesławienie. Ochrona wypowiedzi nie jest bezwarunkowa także w przypadku nawoływania do bezprawnych działań. Warto odróżniać ochronę przed państwową cenzurą od żądania, by żadna wypowiedź nie pociągała za sobą konsekwencji. Wolność słowa nie jest wolnością od odpowiedzialności.

Pomyśl, zanim opublikujesz

W dniach poprzedzających Marsz Niepodległości stołeczna policja zatrzymała osiem osób w związku z internetowymi groźbami i nawoływaniem do zbrodni. Osobno opisano zatrzymania mężczyzn z Iławy i Elbląga, którzy mieli pochwalać krakowski zamach lub grozić podobnymi atakami. Te informacje nie dają podstaw, by uznać zatrzymanych za uczestników jednej operacji dezinformacyjnej. Przypominają jednak, że obok fałszywych wiadomości w przestrzeni publicznej pojawiają się groźby wymagające reakcji służb.

Potrzebne są rozwiązania systemowe zapewniające większą transparentność funkcjonowania platform internetowych, w tym reklam i algorytmów.

Odpowiedzialność ma kilka poziomów. Instytucje powinny szybko przekazywać sprawdzalne informacje i jasno mówić, czego jeszcze nie wiedzą. Redakcje – weryfikować materiał przed emisją i nie traktować sprostowań jako niewygodnego dodatku. Politycy – nie zamieniać wstępnych ustaleń w partyjne akty oskarżenia. Platformy – nie uchylać się od odpowiedzialności za obieg treści naruszających prawo.

Odbiorca również ma wybór. Ważne, aby sprawdzać źródła i nie reagować na treści, których prawdziwości nie potrafimy ocenić. Zanim udostępnimy sensacyjny obraz, zapytajmy: kto go opublikował, skąd pochodzi i czy podpis odzwierciedla to, co przedstawia. Zdjęcie może być prawdziwe, a zbudowane wokół niego oskarżenie całkowicie fałszywe.

Jak skutecznie bronić się przed dezinformacją? Specjaliści z NASK mówią o potrzebie działań na poziomie indywidualnym i systemowym: – Te pierwsze obejmują wzmacnianie kompetencji i odporności użytkowników internetu poprzez weryfikację fałszywych treści (debunking) oraz działania profilaktyczne (prebunking), takie jak edukacja i kampanie informacyjne czy promowanie i wzmacnianie wiarygodnych źródeł informacji. Odpowiedzialności za przeciwdziałanie dezinformacji nie należy jednak przerzucać całkowicie na obywateli jako użytkowników internetu, szczególnie mediów społecznościowych wykorzystujących algorytmy rekomendacyjne. Potrzebne są rozwiązania systemowe zapewniające większą transparentność funkcjonowania platform internetowych, w tym reklam i algorytmów, a także przejrzystość reakcji na naruszenia.

Granica walki politycznej powinna przebiegać nie tam, gdzie kłamstwo zaczyna szkodzić „naszym", lecz tam, gdzie ktoś robi z niego narzędzie, nawet przeciw komuś, kogo nie lubimy. Ofiary krakowskiego zamachu nie mogą stać się rekwizytami w cudzej kampanii. Szacunek dla nich wymaga więcej niż deklaracji żałoby, czyli rezygnacji z efektownego oskarżenia, gdy brakuje dowodów, i odwagi powiedzenia: jeszcze nie wiemy. Prawda po tragedii nie jest luksusem. Jest pierwszym obowiązkiem wobec tych, których tragedia dotknęła.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a6f76f4988

REPUBLIKA BEZPRAWIA

W majestacie prawa działa ściek nazywający się telewizją informacyjną

Andrzej Sikorski

Tragiczne wydarzenia w Krakowie, gdzie zamachowiec zastrzelił sześć osób i ranił kilkanaście, wstrząsnęły opinią publiczną. Jednak dla Tomasza Sakiewicza, szefa pisowskiej tuby propagandowej, Telewizji Republika, była to znakomita okazja, by po raz kolejny uderzyć w przeciwników politycznych i wykreować rzeczywistość. Gdy trwała akcja ratunkowa, a zabójca został schwytany przez bohaterskich policjantów, „Sakiewka" w relacji na żywo z krakowskiego Rynku oskarżał policję, że jej tam nie ma, bo „uciekli" albo władza wysłała mundurowych do Warszawy. Przy tym ustawił się tak do kamery, by zasłaniać stojącego bezpośrednio za nim policjanta.

Na jego słowa natychmiast zareagowali oburzeni przechodnie, mówiąc, żeby „nie pier… bzdur" i „nie kłamał". Ale Sakiewicz brnął dalej, twierdząc, że zbrodni dokonali obcokrajowcy.



Tomasz Sakiewicz i Michał Gwardyński z TV Republika relacjonują interwencję policji w pobliżu biura Adama Borowskiego i Strefy Wolnego Słowa przy ul. Marszałkowskiej. Warszawa, 16 października 2026 r.

To nie jest dziennikarstwo

Ogarnięci nienawiścią do rządu i partii demokratycznych widzowie Republiki otrzymali przekaz: niemiecki agent Tusk wpuścił do Polski islamskich (albo banderowskich) terrorystów, a policjanci, zamiast dbać o bezpieczeństwo suwerena, zabezpieczają zamach na Trybunał Konstytucyjny.

Po ogłoszeniu przez Karola Nawrockiego żałoby narodowej, gdy wszystkie stacje telewizyjne zmieniły ramówki (nie wyemitowano m.in. „Tańca z Gwiazdami" czy „Rolnik szuka żony"), w Republice bawiono się w najlepsze. Główną atrakcję stanowił festyn pod TK. Szokujący był sposób relacji. W większym oknie pokazywano tańce, śpiewy, żarty i zachętę do wspólnej zabawy, natomiast w mniejszych kadry z miejsca tragedii, w tym z transportu rannych do karetek.

Na Republikę i jej szefa posypały się gromy. Rada Etyki Mediów „uznała, że autorzy, w tym prowadzący Tomasz Sakiewicz, naruszyli wszystkie zasady Karty Etycznej Mediów – prawdy, obiektywizmu, oddzielania informacji od komentarza, uczciwości, szacunku i tolerancji, pierwszeństwa dobra odbiorcy, wolności i odpowiedzialności". Z kolei zdaniem Rady Polskich Mediów to, co zrobił naczelny funkcjonariusz pisowskiej propagandy, „jest niedopuszczalnym wykorzystywaniem tragedii do budowania politycznej narracji i nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem".

W podobnym tonie wypowiadał się prof. Jerzy Kopania, według którego „te wszystkie działania można by określić po prostu jako żałosne, gdyby nie to, że wpisują się w tak tragiczny kontekst" i jest „to nic innego jak wypaczenie misji dziennikarskiej, która powinna przecież polegać na rzetelnym przekazywaniu informacji". Bardziej stanowczy był prof. Przemysław Sadura. Stwierdził bowiem, że obowiązkiem państwa jest reakcja na dezinformację, Sakiewicz powinien zostać zatrzymany, przesłuchany, a po postawieniu zarzutów sąd powinien zdecydować o jego ewentualnym aresztowaniu.

Ręka rękę myje

Anna Ostrowska, rzeczniczka Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, oświadczyła, że „w związku ze skargami, które wpłynęły do KRRiT na Telewizję Republika, dotyczącymi

FOT. M. PARADYS/EAST NEWS

eprasa.pl a6f76f4988

relacjonowania tragicznych wydarzeń w Krakowie, Przewodnicząca Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji dr Agnieszka Glapiak uruchomiła działania wyjaśniające". Przy czym znamienne jest w tym komunikacie sformułowanie „w związku ze skargami". Przecież przewodnicząca Glapiak może z urzędu wszczynać postępowania wyjaśniające. Dlaczego tego nie zrobiła, możemy się domyślać.

Obsadzona w większości przez ludzi PiS KRRiT rozpostarła parasol ochronny nad Republiką. O wszczynaniu postępowań i nakładaniu kar na nadawców decyduje Agnieszka Glapiak. Zanim we wrześniu 2022 r. została wybrana przez ówczesny obóz władzy do KRRiT, była prawą ręką Mariusza Błaszczaka i szefową Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej – speckomórki do tworzenia propagandy resortu. Glapiak była nazywana „szarą eminencją" oraz „królową życia i śmierci". To ze względu na jej nieograniczoną władzę w resorcie. Wydawała rozkazy nawet generałom, a gdy ktoś jej podpadł z błahego powodu, musiał się liczyć ze srogimi konsekwencjami.

Chamski, znieważający polski mundur sposób zachowania Glapiak wobec oficerów WP opisała Edyta Żemła w demaskatorskiej książce „Armia w ruinie". Przewodnicząca KRRiT zasiada też na ławie oskarżonych w procesie o przywłaszczenie z MON wartego ok. 6 tys. zł zegarka Longines La Grande Classique na pasku ze skóry aligatora, który miał być prezentem dla zagranicznej delegacji. W innym procesie Glapiak oskarżona jest wspólnie m.in. z Mariuszem Błaszczakiem i Sławomirem Cenckiewiczem o bezprawne odtajnienie fragmentów planów obronnych Polski, wykorzystanych przeciwko ówczesnej opozycji w kampanii wyborczej PiS do parlamentu i w filmie propagandowym „Reset". Jak więc widać, Glapiak i Sakiewicz są ulepieni z tej samej gliny.

Ciemny lud to kupuje

Idę o zakład, że przewodnicząca KRRiT nie pozwoli zrobić krzywdy pisowskiemu propagandyście. Podobnie jak to było z innymi jego chamskimi zagrywkami.

Otóż Republika, określająca się mianem stacji informacyjno-publicystycznej, nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem i przekazywaniem rzetelnych i sprawdzonych informacji. Aspiruje natomiast do roli patostreamerskiego kanału, jakich wiele działa na You Tubie.

Obraz Polski serwowany przez Republikę jest następujący: krajem rządzi zorganizowana grupa przestępcza pod wodzą zbrodniarza Donalda Tuska, który ma na rękach krew wielu wybitnych patriotów, m.in. Lecha Kaczyńskiego, Marka Rosiaka, Barbary Skrzypek, a nawet emerytki z Torunia, która krytykowała Jerzego Owsiaka. „Koalicja 13 grudnia" dąży do upodlenia Polski i oddania jej pod niemieckie powiernictwo jako quasipaństwo. Gospodarkę kraju podporządkowuje się interesom Berlina, czego dowodem ma być szaleńcza polityka klimatyczna uderzająca w przemysł i rolnictwo. W tajemnicy przed suwerenem przeprowadzana jest operacja relokacji muzułmańskich imigrantów, którzy zasiedlą polskie miasta. Na ulicach zapanuje terror, a katolicy staną się mniejszością i będą musieli przestrzegać zasad Koranu. Dzieciom w szkołach serwuje się lewacką ideologię rozwiązłości seksualnej i zmiany płci. I tak dzień w dzień przez cały rok Republika tłucze nienawistną propagandową sieczkę.

Wymowne są tzw. paski. Podczas dramatycznej powodzi w 2024 r. podawano: „Tusk przekonywał, że prognozy nie są alarmujące – teraz powodzianie zostali bez pomocy rządu", „Czesi alarmowali, Tusk zlekceważył zagrożenie", „Służby Tuska bezradne wobec tragedii powodzian".

Zatrzymanie przez policję ukrywających się w Pałacu Prezydenckim Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika opakowano w przekaz: „Tusk sięga po najgorsze wzorce niemieckiego totalitaryzmu", „Tak powstaje dyktatura – Tusk buduje ustrój totalitarny".

O europejskiej pożyczce SAFE: „Szajka zdrajców i volksdeutschów próbuje zadłużyć Polaków u Niemców na miliardy euro", „Prezydent zatrzymał niemiecki przemarsz przez Polskę", „Niemieckie armaty propagandy wymierzone w prezydenta", „Weto do der SAFE, Tusk szykuje uchwałę für Deutschland".

O pakcie migracyjnym przyjętym przez Unię Europejską: „Fala migrantów zaleje Polskę?", „Tusk wpuści do Polski tysiące migrantów?", „Gwałty i grabieże – rzeczywistość Polski Tuska?", „Polskie kobiety będą bały się wyjść z domu".

Natomiast dokonane przez służby przeszukania w sprawie Funduszu Sprawiedliwości i w domu Zbigniewa Ziobry opisano: „Reżim Tuska ściga za pomoc ofiarom przestępstw?", „Tusk będzie siedział z Bodnarem w jednej celi", „Bodnarowcy Tuska zmieniają Polskę w Białoruś", „Tusk przyspieszył represje polityczne wobec opozycji", „Tusk, aby odwrócić uwagę od swojej nieudolności, włamał się do domu Z. Ziobry".

Nawoływanie do przemocy

Tymczasem zgodnie z Ustawą o radiofonii i telewizji (art. 18) „audycje lub inne przekazy nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym, w szczególności nie mogą zawierać treści nawołujących do nienawiści lub przemocy".

U zdrowo myślących osób „paski grozy" mogą wywoływać co najwyżej uśmiech lub irytację, ale wśród odbiorców Republiki dominują osoby starsze, w tym nieporadne społecznie i życiowo, które przyjmują bezkrytycznie taki przekaz. Widać to dobitnie przed Trybunałem Konstytucyjnym, gdzie stacja Tomasza Sakiewicza zorganizowała, prowadzi i relacjonuje protest przeciwko rzekomemu zamachowi stanu (to już chyba piąty zamach stanu ogłoszony przez Republikę). A przecież stacji

Nawoływanie do nienawiści i agresji jest przestępstwem. Za coś takiego Republika powinna stracić koncesję.

eprasa.pl a6f76f4988

telewizyjnej nie wolno organizować wieców politycznych i nakłaniać widzów do udziału w nich.

Nienawiść „obrońców" Trybunału wymierzona jest nie tylko w rządzących i sędzię Annę Korwin-Piotrowską, ale też w dziennikarzy z „wrogich" mediów. Przekonał się o tym Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej", który stał się obiektem agresji tłumu i został uderzony przez napastnika pięścią w brzuch.

„Ekipy TVN i TVP również były szturchane, ale ja zostałem przez tłum rozpoznany z imienia i nazwiska. Gdy się pojawiałem, reagowano krzykami: prowokator. Prym wiodła w tym Beata Dróżdż (radna PiS w sejmiku województwa łódzkiego, członkini zarządu Forum SA, wydawcy „Gazety Polskiej Codziennie" – przyp. red.), wspierała ją Monika Borkowska z Telewizji Republika. Inni dziennikarze Republiki i »Gazety Polskiej« krzyczeli na mój widok, nagrywali mnie stale komórkami", mówił Czuchnowski w serwisie Press.pl.

Jeszcze nie było takiej sytuacji, aby dziennikarze jednych mediów podjudzali tłum przeciwko drugim dziennikarzom. Nawoływanie do nienawiści i agresji jest przestępstwem. Za coś takiego i setki innych naruszeń prawa Republika powinna stracić koncesję. Zgodnie z art. 38 Ustawy o radiofonii i telewizji „koncesja może być cofnięta, jeżeli rozpowszechnianie programu powoduje zagrożenie interesów kultury narodowej, bezpieczeństwa i obronności państwa lub narusza normy dobrego obyczaju".

Jak stwierdził w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" prof. Tadeusz Kowalski, jedyny niezwiązany z PiS członek KRRiT, „w gruncie rzeczy codziennie można by formułować jakieś skargi czy zarzuty co do treści, które tam się ukazują. Bo naruszają ustawę i właściwie to powinniśmy reagować non stop".

Naziści i kryminaliści

Weźmy taki przykład. W Republice w programie „Wywiad z chuliganem" jako wzór do naśladowania, oddanego kibica piłkarskiego i żarliwego polskiego patriotę przedstawiono Rafała D. „Uszola", twórcę bojówki Lecha Poznań. Nie wspomniano, że „Uszol" to gangster zatrzymywany m.in. pod zarzutem handlu narkotykami i kierowania grupą przestępczą. Ze strony prowadzącego Piotra Lisiewicza nie padło do „Uszola" ani jedno pytanie o jego kryminalną przeszłość czy o tatuaże. A na prawym ramieniu ma wydziaranego niemieckiego żołnierza, na lewym symbol hitlerowskiej formacji Waffen SS, która odpowiada m.in. za wymordowanie 50 tys. mieszkańców Warszawy w czasie powstania. Gdyby podobny program zrobiła TVN, nie byłoby pobłażania ze strony KRRiT.

Członkom KRRiT i przewodniczącej Agnieszce Glapiak nie przeszkadzały związki biznesowe Republiki z założoną przez przestępców giełdą kryptowalut Zondacrypto. Nie widzieliśmy żadnej reakcji, gdy Sakiewicz i jego pracownicy lobbowali w interesie Zondacrypto i brutalnie atakowali rząd, który chciał uregulować szemrany rynek kryptowalut. A już szokujące były informacje o tym, że Sakiewicz namawiał prezesa Zondacrypto do zainwestowania w Republikę i nawet podpisał w tej sprawie list intencyjny. Pewnie kryminaliści i mordercy pierwszego prezesa giełdy, Sylwestra Suszka, byliby dziś współwłaścicielami wspierającej PiS telewizji, ale interes zaczął im szwankować i prezes Zondacrypto ostatecznie nie parafował dokumentu.

Koncesja przyznana wbrew prawu

Być może Republika straci koncesję, lecz nie z powodu łamania prawa, ale dlatego, że prawo złamała KRRiT w procedurze przyznawania koncesji. W kwietniu 2025 r. po skardze jednego z uczestników postępowania konkursowego Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił (nieprawomocnie) uchwałę KRRiT o przyznaniu koncesji stacji Sakiewicza.

Rada procedowała bowiem zdalnie i w tak wielkim pośpiechu, że jej członkowie zlekceważyli negatywną opinię departamentu finansowego KRRiT o fatalnej sytuacji Republiki, która nie ma pieniędzy na opłacenie koncesji. Członkowie KRRiT wbrew własnej uchwale o weryfikacji nadawców pod względem bezpieczeństwa z uwagi na wojnę hybrydową nie wystąpili m.in. do Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, Ministerstwa Obrony Narodowej ani do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego o sprawdzenie Republiki.

I jeszcze fragment z uzasadnienia sądu: „W tej sprawie przewodniczący KRRiT w ocenie sądu naruszył przepisy postępowania administracyjnego w stopniu, który mógł mieć wpływ na wynik sprawy. Wszystkie zarzuty podniesione w skardze okazały się zasadne. Sąd, uznając, że prawo zostało naruszone poprzez przewodniczącego KRRiT, i to w bardzo istotnym stopniu, kwalifikującym się do jej uchylenia, również musiał zbadać tę uchwałę. Jak mógł ją zbadać, skoro nawet nie załączono do tego protokołu? Sąd musiał wzywać o ten protokół. Co wynika z tego protokołu? Po pierwsze, można powiedzieć, że szokujące jest to, że większość członków KRRiT stwierdziła, że ważniejsze są listy intencyjne zwolenników danej stacji niż przepisy prawa. (…) Choćby z tego względu ta decyzja nie mogła się ostać w obrocie prawnym".

Według Rady Etyki Mediów TV Republika naruszyła wszystkie zasady Karty Etycznej Mediów: prawdy, obiektywizmu, oddzielania informacji od komentarza, uczciwości.

Ostateczną decyzję w sprawie koncesji dla Republiki podejmie Naczelny Sąd Administracyjny. Prezes sądu prof. Jacek Chlebny w wykreowanym przez Tomasza Sakiewicza „zamachu stanu" stanął po stronie obrońców upolitycznionego TK. W emocjonalnym oświadczeniu powtórzył narrację pisowskiej telewizji o łamaniu prawa przez władze i braku poszanowania ludzkiej godności.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl a6f76f4988

NIE NA KAŻDE PYTANIE JEST PROSTA ODPOWIEDŹ

Rozmawia Robert Walenciak

Czyta pani w myślach? Prawie 30% Polaków uważa, że jako psycholog ma pani taką umiejętność. A może psycholog wie więcej?

– Psychologowie i psycholożki dysponują specjalistyczną wiedzą o mechanizmach ludzkiego zachowania. Psychologia daje nam narzędzia pozwalające lepiej rozumieć motywacje, emocje, sposoby podejmowania decyzji, a także to, dlaczego ludzie zachowują się inaczej, niż sami deklarują. Dlatego można nas znaleźć niemal wszędzie: w badaniach politycznych, marketingu, projektowaniu technologii, zarządzaniu organizacjami, wojskowości, edukacji, sporcie czy ochronie zdrowia. Wiedza psychologiczna pomaga przewidywać zachowania, choć oczywiście nie daje gwarancji stuprocentowej trafności.

Prof. MARTA MARCHLEWSKA

Problem polega na tym, że społeczne wyobrażenia dotyczące psychologii bywają bardzo odległe od tego, czym faktycznie zajmuje się ta nauka.

– Jeśli ludzie nie rozumieją, czym jest psychologia naukowa, trudniej im odróżnić specjalistę od szarlatana. Ten drugi może mieć fascynujący podcast, tysiące obserwujących i poradnik obiecujący odmianę życia w 13 dni. Tyle że liczba wyświetleń nie jest miarą naukowej wiarygodności. Wraz z dr Dominiką Adamczyk napisałyśmy niedawno artykuł o tym, dlaczego ludzie, którzy nie są w stanie samodzielnie zweryfikować skomplikowanych informacji, mogą wybierać pseudoautorytety zamiast rzeczywistych ekspertów. W świecie, w którym coraz trudniej osobiście zbadać, co jest prawdą, ogromnego znaczenia nabiera to, komu decydujemy się zaufać. A pseudowiedza ma pewną przewagę: często oferuje proste i jednoznaczne odpowiedzi tam, gdzie nauka musi uwzględniać niepewność. Naukowczyni mówi: „To zależy, musimy sprawdzić". Pseudoekspertka odpowiada: „Wiem dokładnie, jak jest, i zaraz ujawnię państwu prawdę". Proszę zgadnąć, kto ma większą szansę na imponujące zasięgi.

Przecież tak wygląda nasze życie publiczne. Zbawcy narodu licytują się między sobą. A pani jakie ma refleksje, obserwując życie publiczne? Czy jako społeczeństwo mamy większe kłopoty ze sobą niż w przeszłości?

– Myślę, że mamy dziś nieco inne problemy, niekoniecznie większe. Jeszcze niedawno martwiliśmy się głównie



Dr hab. Marta Marchlewska, prof. Instytutu Psychologii PAN – kierowniczka Laboratorium Poznania Politycznego i przewodnicząca Rady Naukowej IP PAN, członkini Rady Narodowego Centrum Nauki oraz współpracowniczka University of Kent. Bada psychologiczne uwarunkowania postaw politycznych, w tym rolę narcyzmu, poczucia zagrożenia i wiary w teorie spiskowe, a także społeczne konsekwencje rozwoju nowoczesnych technologii. Kieruje projektem AI PSYCHE (MNiSW), poświęconym wpływowi chatbotów AI na psychikę i zachowania społeczno-polityczne człowieka.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a6f76f4988

tym, że nasze relacje przenoszą się do internetu/mediów społecznościowych. Dziś jesteśmy o krok dalej. Coraz częściej rozmawiamy nie tylko z ludźmi za pośrednictwem technologii, ale również z samą technologią. Chatboty AI stają się doradcami i powiernikami. Kwestie te badamy w naszym projekcie AI PSYCHE. W badaniach naszego laboratorium zaobserwowałyśmy coś naprawdę zastanawiającego. Wśród użytkowników chatbotów AI aż 47% oceniało je jako bardziej przyjacielskie niż ludzie, 44% jako milsze, a 31% jako bardziej godne zaufania.

No proszę! Mój powiernik chatbot!

– To oczywiście nie oznacza, że wszyscy chcemy zastąpić przyjaciół sztuczną inteligencją. Ale warto zapytać, co dzieje się z naszymi relacjami i jak będą wyglądały za kilka lat. Do tego dochodzi sytuacja społeczno-polityczna. Mamy wojnę tuż za granicą, napięcia międzynarodowe, niepewność gospodarczą, a wewnątrz kraju kolejne spory o instytucje państwa, w tym Trybunał Konstytucyjny. Przed nami następne wybory parlamentarne i można przypuszczać, że temperatura polityczna znów wzrośnie. Dobrze byłoby pamiętać, że przeciwnik polityczny nie musi automatycznie stawać się wrogiem narodu.

Może społeczeństwo masowe korzystające z mediów, także społecznościowych, łatwiej poddaje się różnym zabiegom psychologicznym? Łatwiej je wepchnąć w stan emocji?

– Zdecydowanie mamy dziś znacznie więcej możliwości oddziaływania na ludzi, a technologia pozwala robić to szybciej, taniej i na niespotykaną wcześniej skalę. Wpływ ten nie musi być bezpośredni ani szczególnie spektakularny, żeby mieć znaczenie dla demokracji. Kiedyś zamach na demokrację kojarzył się z czołgami na ulicach. Dziś osłabianie demokracji może się odbywać stopniowo, przez podważanie zaufania do instytucji, kwestionowanie wiarygodności informacji, wzmacnianie podziałów społecznych i przekonywanie obywateli, że demokracja jest wtedy, kiedy wygrywa nasza strona. Media społecznościowe są dla takich procesów bardzo dogodnym środowiskiem. Badania Steve'a Rathjego i współpracowników, obejmujące ponad 2,7 mln postów publikowanych przez amerykańskich polityków i media na portalach społecznościowych, pokazały, że treści dotyczące przeciwników politycznych były udostępniane mniej więcej dwukrotnie częściej niż te dotyczące własnej grupy. Innymi słowy, pojednanie jest społecznie pożyteczne, ale kłótnia często buduje zasięgi.

Jedni nas straszą, drudzy nam schlebiają, jeszcze inni nas dołują.

– W przypadku straszenia ciekawym (i groźnym!) zjawiskiem jest habituacja, czyli stopniowe osłabienie reakcji na powtarzający się bodziec. Jeżeli codziennie słyszymy, że właśnie nadchodzi katastrofa, możemy w końcu reagować na takie informacje znacznie słabiej. Nie dlatego, że zagrożenie zniknęło, ale dlatego, że nasz organizm nie jest zdolny bez przerwy funkcjonować w stanie alarmowym. Z kolei schlebianie, a może raczej budowanie świata, w którym ciągle czekamy na pochlebstwa i aprobatę, może wzmacniać tendencje narcystyczne.

To działa?

– Media społecznościowe tworzą środowisko, w którym nieustannie prezentujemy siebie, porównujemy się z innymi i otrzymujemy informację zwrotną w postaci polubień czy komentarzy. Teraz dochodzi sztuczna inteligencja, która potrafi być niezwykle uprzejma, cierpliwa i skłonna do potwierdzania naszej perspektywy. Badacze określają to zjawisko mianem sycophancy, czyli nadmiernego przytakiwania użytkownikowi. W badaniach Myry Cheng i współpracowników opublikowanych w 2026 r. w „Science" wykazano, że analizowane modele AI częściej niż ludzie przyznawały użytkownikom rację, nawet w sytuacjach moralnie wątpliwych. Co więcej, kontakt z nadmiernie przytakującą AI zwiększał przekonanie badanych o własnej słuszności i zmniejszał gotowość do naprawienia konfliktów interpersonalnych. Proszę sobie wyobrazić, że kłócimy się z bliską osobą, a później idziemy do chatbota, który utwierdza nas w przekonaniu, że właściwie wszystko zrobiliśmy dobrze. Zamiast zastanowić się nad własnym udziałem w konflikcie, dostajemy kolejne potwierdzenie, że racja jest po naszej stronie.

A jak to się ma do naszego życia politycznego? Demokracja wymaga przecież uznania, że istnieją ludzie o innych poglądach niż nasze, że ich głos również się liczy i nie zawsze to nasza strona będzie wygrywać. Można kochać własny kraj, nie uważając, że wszyscy inni Polacy powinni nam przyklaskiwać. I można być dumnym z własnych poglądów, dopuszczając możliwość, że ktoś inny, o poglądach odmiennych, również może mieć rację. Narcyzm często nam to utrudnia.

Coraz częściej rozmawiamy nie tylko z ludźmi za pośrednictwem technologii, ale również z samą technologią. Chatboty AI stają się doradcami i powiernikami.

Skala manipulacji zatem rośnie.

– Myślę, że przede wszystkim rośnie skala i precyzja możliwości wywierania wpływu. Sam wpływ społeczny nie jest niczym nowym, wystarczy wspomnieć reklamę. Nowością jest jednak stopień, w jakim przekazy mogą być dostosowywane do odbiorców. Platformy społecznościowe coraz lepiej rozpoznają, co przyciąga naszą uwagę, co wywołuje emocje i przy jakich treściach zatrzymujemy się na dłużej. Na tej podstawie podsuwają nam treści coraz lepiej dopasowane do naszych zainteresowań, potrzeb, a nawet słabości. W efekcie coraz trudniej zauważyć, że jesteśmy poddawani wpływowi, a tym bardziej świadomie mu się przeciwstawić.

Może więc rację mają twardzi prawicowcy, że najlepszą odpowiedzią na szaleństwa naszych czasów są modlitwa, Kościół i niesłuchanie niczego innego? Po co bić się z myślami, skoro może być porządek.

– Wszystko zależy od tego, co uznamy za „szaleństwo". Dla jednych

eprasa.pl a6f76f4988

będzie nim życie bez jakichkolwiek zasad, a dla drugich ślepe podążanie za narzuconymi przekonaniami i regułami. W psychologii politycznej dość znana jest koncepcja prawicowego autorytaryzmu, rozwijana m.in. przez Boba Altemeyera. Obejmuje ona trzy powiązane ze sobą elementy: silną skłonność do podporządkowywania się autorytetom, poparcie dla agresji wobec osób naruszających przyjęte normy oraz przywiązanie do tradycyjnych zasad i konwencji społecznych. Osoby o wysokim poziomie tej cechy mogą szczególnie silnie reagować na zagrożenia dla znanego im porządku. Świat, w którym wszystko szybko się zmienia, bywa dla nich trudny do zaakceptowania. W takich okolicznościach proste, dogmatyczne wyjaśnienia mogą wydawać się atrakcyjne, ponieważ przywracają poczucie przewidywalności.

Żyjemy w czasach ciągłych zmian, nowości i rosnącej presji. Może więc musimy uciekać w odpowiedzi, wytłumaczenia, teorie spiskowe i inne opowieści, bo inaczej od poczucia niepewności byśmy oszaleli?

– Nie powiedziałabym, że musimy, ale z pewnością bywa to dla nas psychologicznie wygodne. Teorie spiskowe bardzo często próbują odpowiedzieć na rzeczywiste potrzeby psychologiczne. Nie oznacza to jednak, że dostarczają prawdziwych albo skutecznych rozwiązań. Jednym z mechanizmów, które w kontekście myślenia spiskowego badałyśmy wspólnie z prof. Małgorzatą Kossowską i prof. Aleksandrą Cichocką, jest potrzeba domknięcia poznawczego. To psychologiczna skłonność do poszukiwania szybkiej, jednoznacznej odpowiedzi i ograniczenia niepewności. Osoby o wysokim poziomie tej potrzeby szczególnie źle tolerują sytuacje, w których nie wiadomo, co się wydarzyło, dlaczego i kto za to odpowiada. A proszę zauważyć, jak w takich sytuacjach działa teoria spiskowa. Coś jest skomplikowane? Ktoś to zaplanował. Brakuje dowodów? Bo zostały ukryte. Eksperci zaprzeczają? A więc są częścią spisku. Brak dowodów staje się dowodem.

Jakie to cudownie proste.

– W innych pracach, prowadzonych także z dr Zuzanną Molendą czy prof. Karen Douglas, analizowałyśmy znaczenie sposobów radzenia sobie ze stresem, wykazując, że unikowy sposób radzenia sobie ze stresem sprzyja wierze w teorie spiskowe. Jest to zatem coś więcej niż zwykła niewiedza. Niektórzy ludzie mają trudności z regulowaniem negatywnych emocji, inni szczególnie potrzebują pewności, a jeszcze inni chcą poczuć się wyjątkowi. Teorie spiskowe wydają się obiecywać zaspokojenie wszystkich tych potrzeb jednocześnie. Dają prostą odpowiedź, wskazują winnego, a przy okazji pozwalają przerzucić odpowiedzialność za własne niepowodzenia czy błędy naszej grupy na rzekomych spiskowców. Często pozwalają uniknąć konfrontacji z nieprzyjemnymi faktami. To nie my popełniliśmy błąd, to „oni" wszystko zepsuli. Pozwalają też poczuć, że wiemy coś, czego nie wiedzą pozostali ludzie. Możemy nawet awansować we własnych oczach z osoby zagubionej do statusu posiadacza tajemnej wiedzy. Co więcej, niektórzy ludzie nie poprzestają na wierze w spiski. Zaczynają sami je rozpowszechniać, budując w ten sposób własną pozycję i poczucie znaczenia.

Pani to mówi ogólnie, a ja widzę te twarze znane z telewizji, ludzi, którzy dzielą się z narodem „tajemną wiedzą".

– Oczywiście, politycy doskonale potrafią wykorzystywać te mechanizmy. Wskazanie ukrytego wroga, odpowiedzialnego za nasze niepowodzenia, może być bardzo skutecznym sposobem mobilizowania zwolenników. Nie trzeba rozwiązywać wszystkich problemów społecznych, jeśli uda się przekonać ludzi, że znamy winnych. I oczywiście nie jesteśmy nimi my, tylko „oni". Tyle że teorie spiskowe mają swoją cenę. Wzmacniają wrogość między grupami, osłabiają zaufanie społeczne, zmniejszają gotowość do szczepień, działań na rzecz klimatu albo uczestnictwa w życiu publicznym.

Dlatego uważam, że jednym z najważniejszych zadań współczesnej psychologii jest pomaganie ludziom w rozwijaniu umiejętności radzenia sobie z niepewnością. Musimy pogodzić się z tym, że nie na każde pytanie istnieje prosta odpowiedź. Czasem najbardziej naukowym, a jednocześnie najbardziej uczciwym zdaniem jest: „Jeszcze nie wiemy". Wiem, że to nie brzmi szczególnie zniewalająco i trudno byłoby na tym zbudować wielomilionowy kanał o tajemnicach świata. Ale zdecydowanie wolałabym żyć w społeczeństwie ludzi, którzy potrafią powiedzieć: „Nie wiem", niż takich, którzy wiedzą wszystko, zwłaszcza kiedy nie mają ku temu żadnych podstaw.

Teorie spiskowe mają swoją cenę. Wzmacniają wrogość między grupami i osłabiają zaufanie społeczne.

Czyli Bóg i Ojczyzna.

– Ale religijność nie jest tym samym co autorytaryzm. Można być osobą głęboko wierzącą, otwartą i tolerancyjną. Można też być dogmatycznym ateistą. Także sama religia może odgrywać różne role w radzeniu sobie z trudnościami. Dla jednych modlitwa będzie źródłem siły do podejmowania własnych działań, dla drugich sposobem na oddanie odpowiedzialności w ręce tzw. siły wyższej, w nadziei, że rozwiąże ona problem za nas. To wszystko jest zatem o wiele bardziej złożone. Ja uważam, że jedną z najważniejszych umiejętności, jakie powinniśmy dziś rozwijać, jest zdolność do tolerowania niepewności, zamiast szukania schronienia w dogmatyzmie. Świat się zmienia i będzie się zmieniał. Możemy szukać w religii wsparcia, sensu czy wspólnoty, ale nie powinniśmy rezygnować z samodzielnego myślenia. Można mieć silne przekonania i jednocześnie dopuszczać możliwość, że nie na wszystkie pytania znamy odpowiedź.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a6f76f4988



Marsz Niepodległości. Warszawa, 11 listopada 2026 r.

Byłem na Marszu Niepodległości

W jakiej Polsce jesteśmy gospodarzami?

Maciej Belowski

11 listopada, w Narodowe Święto Niepodległości, ulicami Warszawy przeszedł coroczny Marsz Niepodległości. Według organizatorów mogło w nim brać udział ok. 1 mln osób. Stołeczne Centrum Bezpieczeństwa na podstawie danych policji oszacowało, że uczestników było jakieś 250 tys. Przez wiele godzin szedłem wśród tych ludzi, rozmawiałem z nimi i słuchałem. Tegoroczne hasło marszu brzmiało: „Polak w Polsce gospodarzem".

Marsz miał ruszyć o godz. 14.30, ale pierwszy ruch nastąpił dopiero około godz. 14.50. Czas do tego momentu wypełniały atrakcje w Miasteczku Niepodległości na Pasażu Wisławy Szymborskiej: transmisje TV Republika i wPolsce24, stoiska stowarzyszeń i kół gospodyń wiejskich, z patriotycznymi książkami i z jedzeniem, a także strefa strzelania z zabawkowego łuku.

Podszedłem pod scenę, gdzie rozlokowała się Republika i siedział prezes Tomasz Sakiewicz. Ludzie wokół zaczęli skandować: „Nie bać Tuska", po chwili hasło zmieniło się w bardziej bezpośrednie „Je*** Tuska". Obok przechodziła para 30-latków. Ona zapytała, czy dzień niepodległości nie powinien łączyć. On odpowiedział tylko: „Chodź, idziemy".

Przy Pasażu Szymborskiej stały też banery antyaborcyjne ze zdjęciami płodów; na jednym obok płodu widniało zdjęcie Hitlera z napisem: „Aborcja to morderstwo". Dzieci pytały rodziców, co jest na grafikach. Jedni szybko odchodzili, drudzy próbowali wyjaśniać.

Kto maszerował

Widziałem wśród uczestników marszu rodziny: rodziców z dziećmi, dziadków z wnukami. Obok siebie szli ludzie w wiankach i z flagami oraz zamaskowani, w kominiarkach, z racami w rękach. Szli harcerze, wojskowi, zakonnice, księża, związkowcy z Solidarności, działacze Konfederacji, Korony, PiS i Rozwoju Plus oraz kibice wielu klubów. Niektórzy poprzebierani: za Piłsudskiego, Dmowskiego i Paderewskiego. Przedstawiciele ruchu Rodacy Kamraci paradowali w mundurach z napisami „Śmierć

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl a6f76f4988

wrogom ojczyzny", co niektórych przerażało, a innych śmieszyło. Część uczestników nie ukrywała alkoholu: ludziom wypadały z kieszeni „setki", inni świętowali z piwem w ręku. Marsz był podzielony na kilka mniejszych: partyjny, rodzinny, kibicowski, organizacji z własnymi banerami.

Studentki Sandra i Ola przyjechały z miejscowości oddalonej od Warszawy o dwie godziny drogi, pierwszy raz. – Przyjechałyśmy wesprzeć marsz, ze względu na to, co się dzieje w tym kraju – mówiła Sandra. Na pytanie, czy każdy może tu przyjść niezależnie od poglądów, odpowiedziała krótko: – Wszyscy jesteśmy Polakami.

Starszy mężczyzna, pan Józef, szedł z wnukiem Kubą. W 1980 r. zakładał Solidarność i czuje się oszukany przez przełom 1989 r. Komuna jego zdaniem tylko zmieniła twarz, a jej ludzie się wzbogacili. Jego pradziadowie walczyli w powstaniach, on sam bywa na każdym marszu. Owszem, wszyscy mogą przyjść, także lewicowcy. Tusk i Kosiniak-Kamysz? Z nimi już nie można się dogadać. Jedyne wyjście to wsadzić do pudła.

Nie wszyscy byli przekonani. Piotr, który niedawno przeprowadził się do Warszawy, przyszedł razem z Ludowiką, która odwiedza Polskę, tylko popatrzeć. Ludowika po angielsku powiedziała, że była ciekawa marszu. Piotr znał go do tej pory jedynie z mediów: – To obraz dosyć ekstremistyczny, z którym nie chciałbym, żeby patriotyzm był utożsamiany. Uważam się za Polaka i cieszę się, że widzę tyle flag. I jako patriota mam nadzieję, że to się może zmienić, że to nie musi być coś chuligańskiego.

Dystansu nie ukrywali dwaj młodzi mężczyźni, którzy przyjechali z Kujaw. Kacper Dziubak, radny Młodzieżowego Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego, chciał zobaczyć marsz na własne oczy. – Najważniejsze, żeby przyjść, zobaczyć i nie nastawiać się ani bardzo pozytywnie, ani negatywnie – tłumaczył. – Staramy się obiektywnie spojrzeć na całe wydarzenie.

Drugi chłopak, Sebastian Świstak z Reduty Polskości, miał inne spostrzeżenia: – Uważam, że marsz jest jednostronny politycznie, ponieważ w 2018 r. został sprzedany PiS. Żałuję, że przyjechałem, jednak nie zrobiłem tego na próżno: rozmawiałem z wieloma ludźmi, próbując im uświadomić, że tak naprawdę jesteśmy bardzo daleko od prawdziwej niepodległości. Uznałem, że najlepiej zwalczać problem u jego podstaw.

Do Tomusia, który przyjechał z okolic Katowic, i Kiwiego z Warszawy podszedłem chwilę po tym, jak odpalali race. Kiwi był na marszu drugi raz: – Race zawsze efektownie wyglądają, zwłaszcza jak zamiast dwóch odpali się pięćset.

Obaj podkreślali, że spotykają się tu różne osoby. – Są tu ludzie z różnych środowisk i wszyscy się jakoś dogadują – mówił Kiwi, a Tomuś wskazywał flagi różnych klubów. – Na co dzień się nienawidzą, a tu nic nie robią, jednoczą się – dodał Kiwi.

> Patriotyzm to dla Tomusia szeroko pojęta odwaga, walka o barwy, a dla Kiwiego postawa społeczna: jedność i dbanie o historię.

– Wszyscy uśmiechnięci, wszyscy dla siebie nie wilkiem, tylko pogodnie – stwierdził Tomuś. Marsz podsumowali: – Ile ludzi, tyle opinii.

O polityce wypowiadali się niechętnie. Kiwi przyznał, że nie zna się na niej zbytnio. – Nie mam ani prawicowych, ani lewicowych poglądów, mam coś pomiędzy – wyjaśniał Tomuś. Patriotyzm to dla niego szeroko pojęta odwaga i walka o barwy, a dla Kiwiego postawa społeczna: jedność i dbanie o historię. Dla Kiwiego historia jest rzeczą, o której trzeba pamiętać, dla Tomusia wzruszeniem. Kiwi uważa, że Dzień Niepodległości powinien łączyć wszystkich: lewicę, prawicę i centrum. Zapytany o opinie, że marsz jest niebezpieczny, odparł, że takie głosy pochodzą od osób, które w ogóle tu nie bywają, albo tych związanych z Antifą. – Tutaj w środku nic ci się nie stanie – zapewnił Tomuś. – Najważniejsze, że jesteś Polakiem albo Polakiem się czujesz. Kiwi dorzucił, że frekwencja może być w tym roku rekordowa, i ostrzegł, że z kamerą łatwo o awanturę: – Jakbyś przyszedł z kamerą, to by cię wyzywali.

Hasła i pieśni

Najczęstsze były okrzyki pod adresem premiera. „Je*** Tuska!", skandowano niemal bez przerwy, a niektórzy witali się tym jak pozdrowieniem: „Je*** Tuska?". „Je***". Na Moście Poniatowskiego padły wezwania, żeby wrzucić premiera do rzeki; pojawiły się rymowanki o zdrajcy i powieszeniu za jaja. W tłumie słychać było też: „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści", „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę" i „Je*** TVN". Nie wszystkim to się podobało. Mężczyzna z Lubonia pod Poznaniem, bywający na marszach z córką i wnuczką od początku, uważał, że część haseł jest za wulgarna: – Dobre są na stadionie, a tutaj nie powinno ich być.

> Młodzież Wszechpolska niosła transparent „Nie będzie innowacji w kraju masowej imigracji" i napisy „Remigracja" oraz „Deportować".

Pojawiły się i hasła klasyczne: „Cześć i chwała bohaterom", „Bóg, Honor i Ojczyzna". Dzieci śpiewały „Przybyli ułani pod okienko", słychać było gdzieniegdzie pieśni religijne, a z magnetofonu zapraszano wszystkich pod Trybunał Konstytucyjny. Trudno było wyłapać dominujący ton w tej kakofonii.

Wśród sympatyków TV Republika rozbrzmiewała melodia wygenerowana przez sztuczną inteligencję, z przerobionym fragmentem hymnu: „Jak Nawrocki do Warszawy, po zamachu stanu, dla Ojczyzny ratowania wrócił z Senegalu". Uczestnicy byli

eprasa.pl a6f76f4988

zmieszani. Część myślała, że trzeba stanąć na baczność, inni się śmiali, jeszcze inni oburzali się, że ktoś sprofanował hymn. Republika też dzieliła. Jedni mówili jej dziennikarzom, że ostatnio trochę przesadzają, drudzy krzyczeli: „Je*** Republikę!".

Nad tłumem unosiły się banery. Młodzież Wszechpolska niosła transparent „Nie będzie innowacji w kraju masowej imigracji" i napisy „Remigracja" oraz „Deportować", ze znakiem przekreślonego dostawcy na rowerze. Politycy Konfederacji z Mentzenem na czele szli, trzymając race i baner z przekreślonymi twarzami Tuska i Kaczyńskiego i dużym hasłem „RESET", nawiązującym do konfliktu wokół Trybunału. Byli i tacy, którzy mieli czapki i banery „Make Poland Great Again".

ONR, cudzoziemcy i głosy ze sceny

W tłumie było wielu cudzoziemców. Studentki z Hiszpanii, które uczą się w Warszawie w ramach programu Erasmus, przyszły z ciekawości. Mówiły, że marsz zrobił na nich duże wrażenie. Wśród biało-czerwonych barw powiewały też flagi Szwecji, Włoch, Węgier i Francji. Część należała do delegacji organizacji nacjonalistycznych, które kroczyły razem z Obozem Narodowo-Radykalnym. Obok widać było flagi z krzyżem celtyckim i banery „Make Europe White Again" oraz „White Babies Safe Europe".

Komentując hasło „Make Europe White Again", starsza kobieta powiedziała, że najcenniejsza jest wolność słowa. – Można dyskutować, ale nie wolno zamykać ust. Inna stwierdziła, że czuje się patriotką, a nie narodowcem, i że marsz jest dla każdego, kto kocha ojczyznę. Potem dodała kilka krytycznych słów na temat liberałów i „lewaków".

Dwie starsze kobiety spod Warszawy pytały, kim są panowie z krzyżem – krzyż celtycki na czerwonym tle kojarzył im się z NSDAP. Jeden z mężczyzn tłumaczył towarzyszącym mu kobietom, że to prawicowe radykalne skrzydło, któremu przyświeca hasło „biała Europa, biała Polska". – Dla nas zbyt radykalne – uznały. Z kolei jedna z kobiet przy maszerujących z ONR opowiadała znajomym, że gdyby wybuchła wojna, to oni pójdą walczyć, a ci, którzy ich krytykują, to „cioty", które uciekną.

Ostatnie tygodnie upływały pod znakiem sporu wokół Trybunału Konstytucyjnego, toteż Krzysztof Bosak, prezes Ruchu Narodowego i wicemarszałek Sejmu, przypomniał w przemówieniu, że marsz zaczynał jako manifestacja opozycji. „To jest ostatni pełny rok tego rządu, który prowadzi Polskę w złą stronę", mówił. Wzywał, by patrioci się zjednoczyli, „żeby powstał propolski rząd i żeby odsunąć tę obecną sitwę od władzy". Prezes Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Bartosz Malewski objaśniał hasło dnia: „Gospodarz to nie jest ktoś, kto tylko mieszka we własnym domu. To ktoś, kto ustala tutaj reguły, zasady i ma prawo zaprosić, ale ma też prawo wyprosić". Dodał, że wspólnota powinna umieć powiedzieć cudzoziemcowi: „Jesteś tutaj gościem i obowiązują cię nasze zasady".

Marcin Osowski, szef sztabu i prezes Młodzieży Wszechpolskiej, mówił o rekordowej frekwencji. „Wielu śniło o tym, że nie przejdziemy (…). Popatrzcie dookoła siebie", wołał i apelował, by „odsunąć rząd Donalda Tuska od władzy".

Hymn odśpiewano dopiero po przyjeździe prezydenta Karola Nawrockiego, który ruszył na czele marszu z synami i współpracownikami.

Zobaczyć wszystko

Na Moście Poniatowskiego stałem w czapce i czarnej kurtce. Obserwowałem tłum. Spotkała mnie jedna nieprzyjemna sytuacja: mężczyzna, który przechodził obok, zapytał, czy jestem „k**** tajniakiem" – doszukiwał się policyjnej prowokacji. Nie odpowiedziałem – na szczęście odszedł. W tłumie zresztą mówiono, że policja prowokuje samą obecnością.

Z mostu zwisał wielki baner Młodzieży Wszechpolskiej, w stylistyce plakatu gry GTA: „Gang Tuska atakuje". Przedstawiał karykatury premiera, Kacprzyka z gotówką i Kołodziejczaka wciągającego kreski ze stołu; pod spodem widniał napis: „Pokonaj Tuska razem z nami, dołącz do nas".

Ktoś rzucał petardami, ktoś wrzucał butelki do rzeki, ale te jednostki tłum krytykował. Przy Moście Poniatowskiego, pod Stadionem Narodowym, członkowie ONR i organizacji uznających się za nacjonalistyczne palili flagę LGBT i śpiewali: „Uderz, uderz liberała, anarchistę i pedała", skandowali także przeciw Antifie. Wisiały tam banery z hasłami w rodzaju „Bij Kacapa w każdej postaci, bo to jest twój największy wróg". Na błoniach przy Stadionie Narodowym słyszałem, jak dwóch mężczyzn oskarżało się o bycie komunistami.

Marcin Osowski, szef sztabu i prezes Młodzieży Wszechpolskiej, mówił o rekordowej frekwencji i apelował, by „odsunąć rząd Donalda Tuska od władzy".

Wyszedłem z wrażeniem, że widziałem wszystko. W takiej masie ludzi trudno wskazać dominujące poglądy czy motywacje. Ludzie wyrażali niezadowolenie z rządzących i z polityków w ogóle – że nie potrafią się dogadać. Niektórzy przyszli tylko zrobić zdjęcia na Instagram. Moi rozmówcy powtarzali, że to święto niepodległości, a nie marsz pod politycznymi hasłami, chociaż hasła antyrządowe dominowały.

Najbardziej dojmujące było jednak poczucie dysonansu. Raz po raz padało zaproszenie: dołączcie do nas, na marsz może przyjść każdy, a zaraz obok słyszało się, że lewactwo to choroba, że to nie są ludzie, a na pewno nie patrioci. Większość maszerujących, którym zadawałem pytania, była życzliwa, część z troską mówiła o wspólnocie i pamięci przodków. Różnorodność, o której mówiono ze sceny, była faktem. Ale trudno było oprzeć się wrażeniu, że to różnorodność w obrębie jednej, dosyć wyraźnie wyznaczonej wspólnoty.

Maciej Belowski

eprasa.pl a6f76f4988

Spuścizna Tadeusza Kowalika

Zapomniane sumienie lewicy

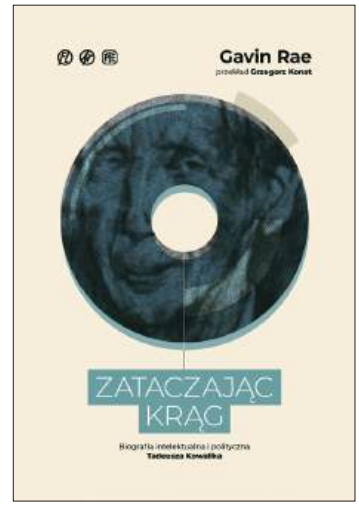
Gavin Rae

Jak uczcić pamięć Tadeusza Kowalika – jednego z najwybitniejszych, a zarazem najbardziej niedocenionych myślicieli polskiej lewicy XX w. – w 100. rocznicę urodzin? W czasach, gdy kapitalizm przechodzi kolejne kryzysy, nierówności społeczne osiągają zawrotny poziom, a narodowa prawica z powodzeniem przejmuje elektorat klas pracujących, spuścizna Kowalika okazuje się nie tylko aktualna, ale wręcz niezbędna do przetrwania lewicy. Jego życie, naznaczone biedą, wojną, próbami reformowania socjalizmu i samotną walką z neoliberalną transformacją, to historia intelektualisty, który nigdy nie zdradził ludzi pracy.

Kowalik przeżył prawie dziewięć dekad w trzech różnych systemach: w kapitalizmie międzywojennym, w socjalizmie Polski Ludowej i w kapitalizmie po 1989 r. W każdym z nich pozostał wierny tym samym wartościom: równości, godnej pracy, samorządności i ustrojowi gospodarczemu, który służy ludziom, a nie odwrotnie. Był przy tym człowiekiem niezwykle skromnym, żyjącym zgodnie z głoszonymi ideałami. By go zrozumieć, trzeba jednak spojrzeć nie tylko na jego życiorys, ale przede wszystkim na fundamenty intelektualne, z których wyrósł – na tradycję polskiej szkoły ekonomii politycznej.

Od biedy Kajetanówki do socjalistycznego zapału

Tadeusz Kowalik urodził się w 1926 r. we wsi Kajetanówka na Lubelszczyźnie, w jednym z najbiedniejszych regionów międzywojennej Polski. Dorastanie w warunkach skrajnego ubóstwa, gdy głód i choroby dziesiątkowały sąsiadów, na zawsze ukształtowało jego wrażliwość na krzywdę społeczną. Ojciec, działacz radykalnego ruchu ludowego, zaszczepił w nim antyklerykalizm i głębokie poczucie sprawiedliwości. Wojna dopełniła tej lekcji. Młody Tadeusz był świadkiem wywózek ludności żydowskiej do Majdanka, a w spółdzielni Przyszłość trafił na dzieła Edwarda Abramowskiego i Ludwika Krzywickiego, którzy pozostali dla niego intelektualnymi inspiracjami. Później wspominał, że doświadczenia wojenne otworzyły mu oczy – stały się zarzewiem jego buntu przeciwko światu, w którym możliwe jest istnienie czegoś takiego jak Majdanek.



Nadejście Polski Ludowej powitał z entuzjazmem. Uważał, że nowy system to szansa na wyciągnięcie mas ludowych z nędzy. Dzięki bezpłatnej edukacji zdobył wykształcenie ekonomiczne i szybko znalazł się w elitarnym środowisku reformatorów. Jednak konfrontacja ideałów z realnym socjalizmem, naznaczonym stalinowskim terrorem i biurokratyzacją, szybko ostudziła jego zapał. W Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych, mającym kształcić ortodoksyjne kadry partyjne, Kowalik współtworzył środowisko krytyczne. Jak sam wspominał, instytut stał się „wylęgarnią rewizjonizmu".

Rok 1956 był pierwszym wielkim politycznym sprawdzianem Kowalika. Jako redaktor naczelny „Życia Gospodarczego" stanął na czele grupy młodych ekonomistów domagających się decentralizacji, autonomii przedsiębiorstw i realnego samorządu robotniczego. Niestety, po październikowej odwilży Gomułka szybko wycofał się z reform, a Kowalik został odsunięty od redakcji. W 1968 r. został wyrzucony z partii, ale nie przestał być socjalistą.

Polska szkoła ekonomii: Luksemburg, Kalecki, Lange

O sile intelektualnej Kowalika stanowi jego głębokie zakorzenienie w tradycji polskiej szkoły ekonomii politycznej. Był nie tylko uczniem i kontynuatorem, ale wręcz znawcą i spadkobiercą myśli trzech jej gigantów: Róży Luksemburg, Michała Kaleckiego i Oskara Langego. Dla współczesnej lewicy właśnie ta część jego dorobku ma fundamentalne znaczenie, ponieważ pokazuje, jak połączyć analizę marksistowską z innymi szkołami myśli ekonomicznej oraz jak w kreatywny i elastyczny sposób podchodzić do kapitalizmu i jego alternatyw.

Kowalik rozpoczął od badania dorobku Ludwika Krzywickiego, ale to Oskar Lange stał się jego pierwszym wielkim mentorem. To u Langego młody ekonomista uczył się łączenia marksizmu z ekonomią neoklasyczną i zapoznawał się z tym, jak może funkcjonować racjonalny socjalizm rynkowy, oparty na decentralizacji i realnej samorządności pracowniczej. W latach 60. Kowalik zajął się redakcją dzieł Langego, a po jego śmierci stał się głównym depozytariuszem jego testamentu intelektualnego. Bronił Langego przed późniejszymi oskarżeniami o bycie „radzieckim szpiegiem", udowadniając, że jego celem zawsze była niepodległa, sprawiedliwa Polska.

eprasa.pl a6f76f4988



Tadeusz Kowalik wierzył w model gospodarki mieszanej.

Jednak najważniejszym osiągnięciem teoretycznym Kowalika było odkrycie i wyeksponowanie ciągłości między myślą Róży Luksemburg, Karola Marksa i Michała Kaleckiego. W czasach PRL, w których Luksemburg była postacią niewygodną, a Kaleckiego często marginalizowano, Kowalik napisał przełomową monografię „Róża Luksemburg. Teoria akumulacji i imperializmu". Udowadniał w niej, że teoria Luksemburg dotycząca akumulacji kapitału była przenikliwą analizą tendencji rozwojowych kapitalizmu. Wykazał, że do przetrwania kapitalizmu niezbędna jest ekspansja na obszary niekapitalistyczne, co z kolei jest źródłem imperializmu.

Co więcej, wbrew zachodnim interpretacjom, które widziały w Kaleckim jedynie „polskiego Keynesa", Kowalik dowiódł, że teoria cyklu koniunkturalnego Kaleckiego wyrosła bezpośrednio z marksowskich schematów reprodukcji, zinterpretowanych wcześniej przez Luksemburg. To właśnie Kowalik uwolnił Kaleckiego od łatki keynesisty, ukazując go jako oryginalnego myśliciela marksistowskiego, który jako pierwszy odkrył, że to inwestycje i wydatki kapitalistów (a nie konsumpcja pracowników) determinują poziom zysków i zatrudnienia.

Wreszcie Oskar Lange i jego wizja socjalizmu rynkowego. Kowalik konsekwentnie bronił poglądu, że socjalizm nie musi oznaczać totalnego zniewolenia państwowego. Wierzył w model gospodarki mieszanej, w której obok własności państwowej funkcjonują silne spółdzielnie, sektor prywatny oraz silne związki zawodowe i rady pracownicze. Twierdził, że demokratyzacja musi iść w parze z uspołecznieniem gospodarki, w przeciwnym razie biurokracja zniszczy potencjał systemu. Kowalik nie zawsze podzielał tak pozytywne podejście do roli rynku w socjalizmie, jakie prezentował np. Włodzimierz Brus. Później uznał również słuszność niektórych krytycznych uwag Kaleckiego dotyczących „socjalizmu rynkowego" – np. tej, że przyznanie przedsiębiorstwom zbyt dużej autonomii może prowadzić do wzrostu bezrobocia.

Sierpień 1980: nadzieja na samorządną Rzeczpospolitą

Kolejnym kluczowym momentem w życiu Kowalika była druga próba odnowy socjalizmu – Sierpień 1980. Kiedy strajk ogarnął Stocznię Gdańską, to Kowalik zaproponował wysłanie do Gdańska delegacji intelektualistów, którzy mieli doradzać strajkującym robotnikom. Wbrew późniejszym mitom nie był romantycznym rewolucjonistą, lecz pragmatycznym mediatorem. Uważał, że Solidarność nie była ruchem antysocjalistycznym, że to próba budowy samorządnej Rzeczypospolitej i głębokiej demokratyzacji systemu. Wraz z innymi ekspertami pomagał wypracować porozumienie, które dało początek masowemu ruchowi pracowniczemu.

Dla Kowalika Sierpień był dowodem, że klasa robotnicza odwróciła się nie od socjalizmu, lecz od biurokracji, która ten socjalizm wypaczyła. Robotnicy, z którymi rozmawiał w stoczni, uważali własność publiczną, opiekę społeczną i bezpłatną edukację za rzeczy oczywiste. Czuli, że to władza ich zdradziła. To doświadczenie umocniło go w przekonaniu, że jedyną szansą na uratowanie socjalizmu jest oddanie władzy w ręce załóg pracowniczych.

Kowalik przeżył prawie dziewięć dekad w trzech różnych systemach i w każdym pozostał wierny tym samym wartościom: równości, godnej pracy i samorządności.

Wprowadzenie stanu wojennego przekreśliło te nadzieje, a Kowalik, przebywając wówczas za granicą, mógł tylko z bólem patrzeć na upadek ruchu, który współtworzył.

Zdrada szokowa i koniec złudzeń

Przełom 1989 r. przyniósł Kowalikowi gorzkie rozczarowanie. Kiedy Polska zaczęła transformację ustrojową, on, w przeciwieństwie do większości dawnych towarzyszy z opozycji, w tym Geremka, Mazowieckiego czy Kuronia, nie uległ złudnemu czarowi neoliberalizmu.

Kowalik argumentował, że istniała alternatywa dla szokowego skoku w kapitalizm. Wskazywał takie modele jak skandynawski (szwedzki) i austriacki, które łączyły rynek z silnym państwem opiekuńczym i pluralizmem własności, czy niemiecka społeczna gospodarka rynkowa. Uważał, że Polska z jej potężnym, dziesięciomilionowym ruchem Solidarności, miała jedyną w swoim rodzaju

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl a6f76f4988

szansę, by zbudować sprawiedliwy system, zamiast naśladować skrajnie liberalny model anglosaski.

Co go najbardziej bolało? Zdrada przyjaciół. Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki stali się architektami neoliberalnej transformacji, a Jacek Kuroń „anestezjologiem" terapii szokowej, który własnym autorytetem uśpił czujność robotników. Dla Kowalika nie był to spisek, lecz tragedia intelektualistów, którzy dali się uwieść amerykańskim doradcom, zapominając o ludziach pracy, którzy wynieśli ich na szczyty władzy. Transformację określił mianem „epigońskiej rewolucji mieszczańskiej" – nowe elity przy braku rodzimej burżuazji same wcieliły się w jej rolę, budując kapitalizm kosztem najsłabszych.

Ostrzeżenie przed trzecią drogą i wzrostem prawicy

Kowalik nie poprzestał na krytyce transformacji. Aktywnie próbował budować alternatywę polityczną. Współtworzył Solidarność Pracy, a następnie Unię Pracy, wierząc, że na etosie Solidarności można zbudować nowoczesną, socjaldemokratyczną partię. Choć jego wysiłki organizacyjne nie przyniosły trwałych sukcesów, jego analizy krytyczne stały się fundamentem intelektualnym dla późniejszych pokoleń polskiej lewicy.

W 1968 r. został wyrzucony z partii, ale nie przestał być socjalistą.

Kiedy europejska socjaldemokracja skręciła w stronę „trzeciej drogi" (Blair, Schröder itp.), Kowalik bił na alarm. Ostrzegał, że lewica, która porzuca kwestie równości społecznej na rzecz liberalnej „sprawiedliwości" i „inkluzywności", jednocześnie akceptując nieuregulowaną globalizację, sama kopie sobie grób. Kiedy Sojusz Lewicy Demokratycznej poszedł w tym kierunku, flirtując z podatkiem liniowym, popierając wojnę w Iraku i szukając akceptacji liberalnego salonu, Kowalik nie krył oburzenia. Przewidywał, że skutki społeczne neoliberalnej transformacji i klęska sił postępowych zniszczą fundamenty młodej demokracji i otworzą drogę dla konserwatywno-nacjonalistycznej prawicy. Historia w pełni przyznała mu rację. Lewica, która po 1989 r. bywała największą siłą w polskiej polityce, stała się graczem marginalnym, a jej miejsce zajęły PiS i Platforma Obywatelska.

Dlaczego Kowalik jest ważny dzisiaj?

Tadeusz Kowalik zmarł w 2012 r., a jego dziedzictwem są nie tylko dziesiątki książek i artykułów, ale przede wszystkim postawa życiowa. Dlaczego jego myśl jest tak istotna dzisiaj, w 100. rocznicę urodzin?

Kowalik uczy nas, że wiarygodność lewicy zdobywa się, trwając przy ludziach pracy. Kiedy partie lewicowe porzucają klasę robotniczą, zostawiają wolną przestrzeń dla populistów. Co więcej, jego dorobek przypomina nam, że kapitalizm nie jest jedyną możliwą formą organizacji gospodarki. Wbrew twierdzeniu Thatcher o braku alternatywy (There is no alternative, TINA) Kowalik nieustannie alternatyw szukał. Wskazywał, że ekonomia nie jest nauką ścisłą, lecz nauką społeczną, która powinna służyć człowiekowi. W czasach, gdy neoliberalizm przeżywa kryzys, a nierówności są ogromne, jego postulat gospodarki mieszanej i silnego państwa opiekuńczego brzmi szczególnie aktualnie.

Wreszcie jego życie jest dowodem na to, że idee potrzebują ruchu. Kowalik mawiał, że „chodzi nie tyle o siłę argumentu, co o argument siły". Nie ma lewicowej polityki bez organizacji, związków zawodowych i masowych ruchów społecznych. Intelektualiści mogą tworzyć wizje, ale tylko zorganizowani pracownicy mogą wymusić ich realizację.

Współczesny świat, naznaczony rosnącymi nierównościami, niepewnością zatrudnienia, prekaryzacją, kryzysem klimatycznym i rosnącą siłą skrajnej prawicy, zdaje się potwierdzać jego najczarniejsze przewidywania. W 100. rocznicę urodzin Kowalika, gdy lewica w Polsce i Europie wciąż szuka tożsamości, warto wrócić do jego spuścizny – nie jako relikwii, lecz jako kompasu. Trajektoria jego życia – od walki z biedą, przez próby naprawy socjalizmu, po opór wobec neoliberalizmu – trwa. Jego największym dziełem, prócz książek, jest niezłomna wiara, że inny, lepszy i sprawiedliwszy świat jest możliwy, jeśli znajdziemy siłę, by o niego walczyć.

Gavin Rae jest socjologiem na Akademii Leona Koźmińskiego. Jego książka „Zataczając krąg. Biografia intelektualna i polityczna Tadeusza Kowalika" ukazała się w tym roku nakładem Wydawnictwa Heterodox

Prenumerata pocztowa PRZEGLĄDU 2027



Jeden egzemplarz w prenumeracie 9 zł

Zamówienia można składać do 25 listopada 2026 r.

117 zł – I kwartał 234 zł – I półrocze 468 zł – cały rok

We wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: **sklep.poczta-polska.pl**

eprasa.pl a6f76f4988

Czym groziłaby blokada Kaliningradu przez NATO?

Nie ma potrzeby przedstawiania sylwetki Anatola Lievena, skoro kilkukrotnie gościł już na łamach „Przeglądu”. Jego rozległa wiedza i kontakty czynią go jedną z bardziej kompetentnych osób, które mogą zajmować stanowisko w kwestii wojny rosyjsko-ukraińskiej. Głos Lievena w polskiej debacie publicznej wydaje się więcej niż potrzebny, bo w zasadzie nie jest reprezentowany przez żadnego publicystę głównego nurtu. Tym razem Lieven przytacza aroganckie i niczemu niesłużące wypowiedzi europejskich polityków, które wzmagają napięcia na linii Rosja-NATO. Niestety, w roli głównej występuje polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jeden z najważniejszych polskich polityków nie chce przyjąć do wiadomości bon motu dyplomaty wszech czasów Talleyranda, że „słowa służą do ukrycia myśli”. Cały tekst Lievena ukazał się na stronie Responsible Statecraft 23 października 2026 r. (responsiblestatecraft.org/kaliningrad-nato-russia/).

Anatol Lieven

(…) Były łotewski minister obrony Artis Pabriks bez gracji dyplomatycznej, ale słusznie oświadczył: „Stale zakładamy, że jeśli wojna (z Rosją – przyp. P.K.) miałaby wybuchnąć, Rosja odetnie przesmyk suwalski. Ale jakoś nie rozważamy możliwości, że jeśli Rosja by zaatakowała, Kaliningrad zostałby jako pierwszy opanowany przez siły NATO. Wówczas przesmyk suwalski przestałby mieć znaczenie”. Kaliningrad jest bazą rosyjskiej floty bałtyckiej oraz rosyjskich pocisków nuklearnych średniego zasięgu. (…) Postępująca od 1989 r. rozbudowa NATO – wejście do sojuszu wschodnich Niemiec, Polski, państw bałtyckich, Szwecji i Finlandii – zamieniła Bałtyk w natowskie jezioro. Kontrola nad nim Rosji ogranicza się obecnie do Kaliningradu i Sankt Petersburga, choć w czasie zimnej wojny obejmowała całe wschodnie i południowe wybrzeże.

Władimir Putin i rosyjski rząd oświadczyli ostatnio (1 października br. – przyp. P.K.), że jeśli NATO wprowadzi blokadę Kaliningradu, Rosja, jeżeli będzie to konieczne, odpowie za pomocą broni nuklearnej. Potwierdził to każdy przedstawiciel rosyjskiego establishmentu, z którym rozmawiałem. Sekretarz generalny NATO Mark Rutte z nonszalancją i szyderstwem, które stały się jego znakami rozpoznawczymi, odparł, że „nie traktuje tego poważnie”.

Ale to zagrożenie jest poważne. Moskwa uznałaby natowską blokadę za akt wypowiedzenia wojny. Co równie istotne, gdy znaczna część rosyjskiej armii jest zaangażowana w Ukrainie, Rosja nie dysponuje konwencjonalnymi siłami zbrojnymi, które pozwoliłyby jej utrzymać obwód kaliningradzki w obliczu ataku lądowego lub przeprowadzić ofensywę z terytorium Białorusi, pokonać polską armię i przełamać oblężenie. Przed inwazją na Ukrainę stacjonujący w Kaliningradzie korpus 11. armii liczył 12-18 tys. żołnierzy, wspomagany przez brygadę piechoty morskiej, ale według doniesień znaczna część tych żołnierzy została skierowana do Ukrainy i tam zginęła. Polska armia ma 100 tys. żołnierzy w czynnej służbie oraz 40 tys. rezerwistów i szybko rozbudowuje swoją siłę ognia.

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski oświadczył we wrześniu, że „nie powinniśmy ograniczać naszego myślenia o konfrontacji z Rosją wyłącznie do Ukrainy (…). Trzy dni temu byłem na Łotwie w polskiej bazie, mamy tam kompanię czołgów, a nie ma tam żołnierzy po drugiej stronie. Bacznie monitorujemy, jak możecie się domyślać, obwód kaliningradzki. Tam prawie nie ma wojsk”. Sikorski dodał: „Sugeruję, że powinniśmy przeprowadzić tak agresywne ćwiczenia po naszej stronie, aby [Putin] nie był pewny, co zrobimy, i doszedł do wniosku, że musi wycofać swoje siły z Ukrainy”.

Jak na ironię w tym czasie, gdy Sikorski mówił, że Rosja jest tak słaba w rejonie Bałtyku, iż NATO może bezkarnie jej grozić, inni polscy urzędnicy ostrzegali o prawdopodobieństwie rosyjskiego ataku na NATO, aby „przetestować” sojusz. Gdy weźmie się pod uwagę lekkomyślność i nieodpowiedzialność takich wypowiedzi oraz działań, dobrze się składa, że Rosja jasno określiła konsekwencje, jeśli państwa NATO zdecydują się wcielić te groźby w życie.

Jeżeli NATO wprowadzi blokadę Kaliningradu, Rosja, jeśli będzie to konieczne, odpowie za pomocą broni nuklearnej.

Zachodni analitycy często zbywają rosyjskie obawy, określając je mianem „paranoi” lub rezultatu celowej manipulacji rosyjskich władz. Jednak chwila refleksji nad własnymi postawami powinna uświadomić im fałszywość i hipokryzję takiego zarzutu. (…) Na dawnych alegorycznych przedstawieniach Roztropności postać ta często trzyma w dłoni lustro. Symbolizuje ono zdolność do samoświadomości i autorefleksji, co z kolei prowadzi do skromności oraz lepszego zrozumienia innych. Dla dobra nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby rządy państw europejskich poświęcały mniej czasu na wykrzykiwanie oskarżeń prosto w twarz Rosji, a więcej na przyglądanie się własnemu obliczu.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla. Tytuł pochodzi od tłumacza

eprasa.pl a6f76f4988

SEJM WIELKIEJ KOMPROMITACJI

Paweł Siergiejczyk

Próżno szukać 27 października 1991 r. wśród najważniejszych dat w naszej najnowszej historii – zarówno w państwowej „polityce historycznej”, jak i w społecznej pamięci Polaków. A przecież pierwsze w pełni wolne i demokratyczne wybory do Sejmu w powojennej Polsce powinny taką datą być. Jednak początki III Rzeczypospolitej zostały tak skutecznie zmistyfikowane, że prawda o nich nie ma szans przebić się do powszechnej świadomości. Tym bardziej prawda niewygodna dla polskiej prawicy, coraz skuteczniej narzucającej Polakom swoją narrację.

Przesądzony los Sejmu

35 lat temu Polską rządził prezydent Lech Wałęsa. A przynajmniej chciał rządzić, marząc – tak jak dziś Karol Nawrocki – o ustroju prezydenckim na wzór amerykański. Powoływał się przy tym na swój mandat społeczny z pierwszych powszechnych wyborów prezydenckich, które rozstrzygnęły się w grudniu 1990 r. Tyle że rekordowe zwycięstwo Wałęsy (ponad 74% głosów) było efektem powszechnego strachu przed tajemniczym populistą Stanisławem Tymińskim, który niespodziewanie dostał się do drugiej tury wyborów, pokonując premiera Tadeusza Mazowieckiego, a nie wyrazem poparcia dla samego lidera Solidarności – wszak w pierwszej turze zagłosowało na niego niespełna 40% wyborców.

Wałęsa uważał jednak, że jego mandat jest znacznie bardziej demokratyczny niż mandat parlamentu, a zwłaszcza Sejmu X kadencji, który został wyłoniony na mocy porozumień Okrągłego Stołu. W Sejmie tym „drużyna Wałęsy” z czerwca 1989 r. miała 35% miejsc, lecz dwa lata później po dawnej jedności nie było już śladu. Ogłoszona przez gdańskiego noblistę „wojna na górze” i jego wyborcza rywalizacja z Mazowieckim ostatecznie podzieliły środowiska solidarnościowe, z których zaczęły się wyłaniać kolejne ugrupowania o mniej lub bardziej zarysowanej tożsamości ideowej. Większość z nich popierała nowego prezydenta, z kolei sam Wałęsa własnej partii nie potrzebował, a tym bardziej nie zamierzał stawać się zakładnikiem żadnej z nich.

Najboleśniej przekonali się o tym bracia Kaczyńscy, których Porozumienie Centrum uchodziło za „partię wałęsowską”, co spowodowało masowy napływ do jej szeregów rozmaitych karierowiczów, także rodem z PZPR, ZSL, SD czy PAX – mimo głoszonego przez nią hasła dekomunizacji. W 1991 r. mało kto jeszcze wiedział o narastającym konflikcie między liderami PC a prezydentem, który to konflikt w kolejnych latach przerodził się w otwartą wojnę Jarosława Kaczyńskiego ze znienawidzonym przezeń „agentem Bolkiem”.

Początki III RP zostały tak zmistyfikowane, że prawda o nich nie ma szans przebić się do powszechnej świadomości, bo jest niewygodna dla prawicy.

Wyborcze zwycięstwo Wałęsy sprawiło, że tematem numer 1 dla polskich polityków stały się przyśpieszone wybory parlamentarne. Zwolennicy prezydenta coraz mocniej kwestionowali społeczną legitymację Sejmu „kontraktowego”, a ich koronnym argumentem stał się fakt, że w pozostałych krajach byłego bloku radzieckiego w pełni demokratyczne wybory odbyły się już w 1990 r. Był to oczywiście argument bardziej personalny niż merytoryczny, gdyż właśnie ten „nieprawomocny” Sejm X kadencji przeprowadził wszystkie najważniejsze zmiany polityczne, prawne i gospodarcze, które sprawiły, że PRL ostatecznie przekształciła się w III RP.

Los tego Sejmu był jednak przesądzony, zwłaszcza od momentu rozwiązania PZPR, której posłowie – mimo że nadal najliczniejsi – nie stanowili już zwartej siły i najczęściej bezdyskusyjnie popierali zmiany wprowadzane przez rząd Mazowieckiego (podobnie jak wybrany przez ten parlament prezydent Jaruzelski). Ostatnią ważną decyzją, jaką musiał podjąć Sejm X kadencji PRL/RP, było uchwalenie nowej ordynacji wyborczej, na podstawie której miał zostać wyłoniony Sejm I kadencji RP. Sprawa ordynacji stała się przyczyną wielomiesięcznego sporu pomiędzy Wałęsą a Sejmem, przy czym dla większości posłów była to walka o polityczne przeżycie, dla prezydenta zaś okazja do narzucenia swojej dominacji całej klasie politycznej.

Po kolejnych decyzjach Sejmu, konsekwentnie wetowanych przez Wałęsę, oraz projektach prezydenta odrzucanych przez izbę, ostatecznie przyjęto ordynację skrajnie proporcjonalną, gdyż wszelkie próby wprowadzenia systemu większościowego lub mieszanego, a także progów procentowych, wywoływały paniczny strach zwłaszcza nowych ugrupowań

eprasa.pl a6f76f4988



W wyborach parlamentarnych w 1991 r. prężnie reklamowały się partie katolickie.

prawicowych. Te nie dysponowały wystarczającym zapleczem kadrowym i organizacyjnym, by marzyć o zdominowaniu pozostałych sił politycznych, a ponieważ mnożyły się błyskawicznie, było jasne, że ich liderzy nie zdołają wejść w przedwyborcze porozumienia. Dodatkową nadzieję dawało im poparcie kleru, gdyż wskutek nacisków Wałęsy i sejmowej prawicy z ordynacji wykreślono zakaz prowadzenia kampanii wyborczej w kościołach.

Targowisko próżności

Jesienna kampania okazała się prawdziwym targowiskiem próżności. Swoje listy zarejestrowała ponad setka komitetów wyborczych, ale tylko ok. 30 było w stanie wystawić kandydatów w skali ogólnopolskiej. Nieskrępowany dostęp do audycji przedwyborczych w jedynej istniejącej wówczas państwowej telewizji pokazał niesłychaną różnorodność partyjnego planktonu – licznych ugrupowań ludowych, chrześcijańskich, narodowych, ekologicznych, które jednak łączył podobny poziom amatorszczyzny, dyletanctwa i niczym nieskrępowanej demagogii.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że wyborcy okazali się znacznie rozsądniejsi niż politycy, w większości bojkotując sam akt głosowania. Frekwencja wyniosła zaledwie 43% i była najniższa aż do pamiętnych wyborów z 2005 r., które po raz pierwszy wygrało PiS (40% głosów). Mniejszość Polaków wybrała zatem Sejm, w którym nikt nie miał większości. Co więcej, żadna trwała większość nie była w stanie się w nim wyłonić. Mandaty poselskie uzyskało aż 29 komitetów, przy czym 11 wprowadziło po jednym pośle, a kolejnych osiem komitetów – od dwóch do siedmiu posłów.

Pozostała dziesiątka ugrupowań osiągnęła wyniki świadczące zarówno o skrajnym rozbiciu obozu solidarnościowego, jak i o słabości wszystkich uczestników sceny politycznej. Pierwsze miejsce zajęła Unia Demokratyczna kierowana przez Tadeusza Mazowieckiego, która zdobyła tylko 12,3% głosów i 62 miejsca w Sejmie. Popierana przez dużą część proboszczów i biskupów Wyborcza Akcja Katolicka (pod tą nazwą kryło się Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe) dostała zaledwie 8,74% głosów, wprowadzając 49 posłów. Konfederacja Polski Niepodległej pod wodzą Leszka Moczulskiego zdobyła mniej, bo 7,5% głosów, ale dzięki zblokowaniu jej list z kilkoma małymi komitetami – które działacze KPN powołali do życia specjalnie w tym celu, wykorzystując kuriozalny zapis w ordynacji – do Sejmu weszło aż 51 konfederatów.

Porozumienie Obywatelskie Centrum – bo pod taką nazwą poszła do wyborów partia braci Kaczyńskich – dostało 8,71% głosów, co dało mu 44 posłów. Nieco słabszy był Kongres Liberalno-Demokratyczny, czyli pierwsza partia Donalda Tuska i ówczesnego premiera (z nominacji Wałęsy) Jana Krzysztofa Bieleckiego – 7,49% głosów i 37 posłów. W Sejmie znaleźli się jeszcze solidarnościowi ludowcy z Gabrielem Janowskim na czele w liczbie 28 (Porozumienie Ludowe, na które padło 5,47% głosów), 27 związkowców z Solidarności (lista związku dostała 5,05%) oraz największe kuriozum tamtych wyborów: Polska Partia Przyjaciół Piwa, czyli ośmieszający ówczesną politykę żart grupy artystów i biznesmenów pod wodzą Janusza Rewińskiego, który na poważnie wzięło 3,27% wyborców, umożliwiając wejście do Sejmu aż 16 piwoszom.

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl a6f76f4988

Skuteczniejszy Kaczyński

Znacznie ważniejszy w perspektywie dalszych dziejów III RP okazał się sukces partii wywodzących się z PRL-owskiej elity władzy. Skupiający niedawnych działaczy PZPR Sojusz Lewicy Demokratycznej z Aleksandrem Kwaśniewskim na czele tylko nieznacznie przegrał z UD, zajmując drugie miejsce z wynikiem 11,99% i wprowadzając 60 posłów. Wywodzące się wprost z ZSL Polskie Stronnictwo Ludowe pod przewodem młodego prezesa Waldemara Pawlaka było czwarte, uzyskując 8,67% głosów, co przełożyło się na 48 posłów.

Oba ugrupowania, których kampania wyborcza opierała się na krytyce dotychczasowych reform gospodarczych i awanturnictwa politycznego prawicy, bez wątpienia skorzystały z klęski Partii X, utworzonej po wyborach prezydenckich przez zwolenników Tymińskiego. Partia X próbowała wystawić swoje listy w całym kraju, lecz niemal wszystkie zostały unieważnione z powodów proceduralnych przez Państwową Komisję Wyborczą, której przewodniczącym był prof. Andrzej Zoll. W rezultacie partia zdobyła tylko trzy mandaty poselskie i nie odegrała już żadnej roli. A przecież gdyby nie decyzja PKW, klub stronników Tymińskiego mógł być jednym z większych w tamtym Sejmie.

35 lat temu Polską rządził Lech Wałęsa. A przynajmniej chciał rządzić, marząc jak Karol Nawrocki o ustroju prezydenckim na wzór amerykański.

Konfiguracje partyjne z początku kadencji nie okazały się jednak zbyt trwałe. Kluby i koła poselskie mnożyły się przez podział w coraz szybszym tempie. W efekcie niespodziewany koniec tego Sejmu w maju 1993 r. zastał dużą część posłów w zupełnie innych ugrupowaniach niż te, którym zawdzięczali mandaty. Właściwie tylko lewica i ludowcy potrafili utrzymać jedność, bo wszystkie partie postsolidarnościowe przechodziły kolejne rozłamy i odejścia parlamentarzystów. Z UD wyszła grupa pod wodzą Aleksandra Halla, tworząc Partię Konserwatywną, PC straciło połowę posłów, głównie na rzecz Ruchu dla Rzeczypospolitej Jana Olszewskiego, z Porozumienia Ludowego odeszła grupa zwolenników Artura Balazsa, która przyjęła nazwę Stronnictwo Ludowo-Chrześcijańskie, zwolennicy Antoniego Macierewicza opuścili ZChN, tworząc Akcję Polską, PPPP zaś podzieliła się na dwie grupy posłów, złośliwie nazywane „dużym piwem" i „małym piwem". Jedyny przykład integracji – i to ponad historycznymi podziałami – dało się zauważyć po lewej stronie w postaci Unii Pracy, utworzonej w czerwcu 1992 r. przez socjaldemokratów z dawnej Solidarności i z byłej PZPR.

Prawica wolała się dzielić i kłócić, co stało się główną przyczyną jej kompromitacji oraz krótkiego żywota całego Sejmu. Właściwie potrafiła się porozumieć tylko na początku kadencji, gdy Jarosław Kaczyński zmontował większość, której celem było powołanie na premiera Jana Olszewskiego. W ten sposób odebrał inicjatywę Wałęsie, który zaraz po wyborach testował różne pomysły: od kuriozalnej koncepcji połączenia funkcji prezydenta i premiera, poprzez pozostawienie rządu Bieleckiego, aż po powierzenie misji utworzenia nowego gabinetu Bronisławowi Geremkowi, kandydatowi zwycięskiej UD.

Taktycznie Kaczyński okazał się wtedy skuteczniejszy od Wałęsy, gdyż przeforsował swojego premiera, tyle że dzięki koalicji, która była w stanie jedynie podzielić stanowiska w prezydiach obu izb parlamentu. Marszałkiem Sejmu został prezes ZChN Wiesław Chrzanowski, wicemarszałkami zaś: Henryk Bąk z Porozumienia Ludowego, Andrzej Kern z PC, Jacek Kurczewski z KLD, Dariusz Wójcik z KPN i Józef Zych z PSL. Natomiast na marszałka Senatu wybrano Augusta Chełkowskiego z Solidarności, a na wicemarszałków: Andrzeja Czapskiego z KLD, Alicję Grześkowiak z PC i Józefa Ślisza z PL.

Nocna zmiana

Nietrudno zauważyć, że w obu prezydiach zabrakło przedstawicieli dwóch ugrupowań, które zajęły czołowe miejsca w wyborach – UD i SLD. Taka była koncepcja Kaczyńskiego, przyjęta przez pozostałe ugrupowania prawicowe: całkowicie izolować „postkomunistów" i zmarginalizować „różową udecję", choć tej ostatniej przyznano przynajmniej kilka stanowisk przewodniczących komisji sejmowych (z Geremkiem jako szefem Komisji Spraw Zagranicznych i Mazowieckim kierującym komisjami nadzwyczajnymi do rozpatrzenia projektu ustawy konstytucyjnej). Lewica nie mogła liczyć na żadne względy w tamtym parlamencie, choć na koniec kadencji – po rozłamie w UD – miała największy klub sejmowy. Doskonale ilustruje to sławetny film Jacka Kurskiego „Nocna zmiana" z zamieszczonymi tam nagraniami z poufnej narady nad odwołaniem rządu Olszewskiego, na których Wałęsa, Mazowiecki, Tusk, Moczulski, Pawlak i pozostali rozmówcy zastanawiali się, jak zagłosuje SLD. Oczywiście przedstawicieli lewicy nikt na takie narady nie zapraszał…

Owa „nocna zmiana" na trwałe podzieliła polską prawicę, a to za sprawą ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza, który wykorzystał napisaną na kolanie „uchwałę lustracyjną" Janusza Korwin-Mikkego, przyjętą przez Sejm 28 maja 1992 r., do rozpaczliwej obrony rządu Olszewskiego za pomocą esbeckich teczek. Dostarczona do Sejmu 4 czerwca lista rzekomych agentów bezpieki we władzach państwa przyśpieszyła i tak już przesądzony upadek tego gabinetu, który nie był w stanie porozumieć się ani z PSL, ani z KPN, ani z UD i KLD, ani tym bardziej z prezydentem. W rezultacie wszystkie te siły – które Macierewicz za sprawą swojej listy wrzucił do wspólnego agenturalnego worka – w ciągu jednej nocy

eprasa.pl a6f76f4988

doprowadziły do odwołania rządu, w którego obronie zagłosowało zaledwie 155 posłów.

Nowym premierem został Waldemar Pawlak, lecz i on nie był w stanie zbudować sejmowej większości, po miesiącu zatem postsolidarnościowi politycy z UD i ZChN zmontowali nową koalicję – już bez PSL i KPN, ale także bez Kaczyńskiego, Olszewskiego i Macierewicza, którzy odtąd stali się liderami prawicy antywałęsowskiej i antyrządowej równocześnie. Na czele nowego rządu stanęła blisko związana z Kościołem posłanka UD z Poznania, Hanna Suchocka. Jej najbliższymi współpracownikami zostali krakowscy liderzy prawego skrzydła Unii – Jan Maria Rokita jako szef Urzędu Rady Ministrów i Tadeusz Syryjczyk, kierujący zespołem doradców pani premier. Funkcję wicepremiera ds. gospodarczych objął zaś przykościelny działacz endecki Henryk Goryszewski, wiceprezes ZChN, który doprowadził do usunięcia z partii Macierewicza, po tym jak ten umieścił na liście agentów nazwisko marszałka Chrzanowskiego.

Krucha większość popierająca rząd Suchockiej składała się aż z ośmiu partii, było więc jasne, że każdy konflikt w koalicji zagrozi trwałości tego gabinetu. I tak się stało – wiosną 1993 r. z rządu wyszło Porozumienie Ludowe ministra rolnictwa Gabriela Janowskiego, posłowie Solidarności zaś w imieniu swojego związku złożyli wniosek o wotum nieufności dla gabinetu Suchockiej. Liderzy koalicji byli tak pewni posiadania większości, że nawet nie podjęli rozmów z klubami opozycyjnymi, zwłaszcza z „postkomunistami", których nadal izolowano, choć już nie tak konsekwentnie. Wszak to dzięki poparciu części posłów lewicy w kwietniu 1993 r. koalicji rządowej udało się uchwalić Program Powszechnej Prywatyzacji (przeciw któremu głosowała część ZChN), w zamian za co w pierwszym składzie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji znalazł się Marek Siwiec z SLD.

Jednak w głosowaniu nad wotum nieufności 28 maja 1993 r. lewica wraz z całą opozycją opowiedziała się przeciwko rządowi Suchockiej. Ale to nie opozycja przesądziła o losie gabinetu, lecz dwoje posłów ZChN, którzy nie przyszli na głosowanie: katolicka lekarka Bogumiła Boba i odwołany dwa miesiące wcześniej z funkcji ministra sprawiedliwości Zbigniew Dyka. Większością jednego głosu posłowie zdecydowali o upadku rządu, prezydent Wałęsa zaś nie dał już sejmowym partiom kolejnej szansy i, korzystając ze swoich konstytucyjnych uprawnień, rozwiązał parlament. W ten sposób mimowolnie przyczynił się do największej kompromitacji polskiej prawicy, jaką stały się przedterminowe wybory z 19 września 1993 r. Do Sejmu II kadencji zdecydowana większość prawicy już nie weszła, w dodatku na własne życzenie, gdyż ostatnią decyzją rozwiązanej izby było uchwalenie nowej ordynacji wyborczej, która wprowadzała pięcioprocentowy próg dla partii politycznych i ośmioprocentowy dla koalicji.

Jaki dorobek?

Prawicę zgubiła zarówno pewność siebie – każdy z liderów uważał, że jego ugrupowanie bez problemu ten próg przekroczy – jak i oderwanie od rzeczywistości społecznej. Prawicowi politycy w latach 1991-1993 byli bowiem zajęci takimi tematami jak lustracja i dekomunizacja, aborcja i kolejne przywileje dla Kościoła, a nade wszystko rywalizacja, której nie rozumieli nawet ich zdeklarowani zwolennicy. Nic dziwnego, że kolejne wybory przyniosły sukces szeroko pojętej lewicy (SLD i UP) oraz ludowcom.

Czy Sejm I kadencji zostawił po sobie jakiś trwały dorobek? Poza wspomnianą ordynacją wyborczą, której ogólne zasady obowiązują do dziś, można wymienić jeszcze tzw. Małą Konstytucję z 17 października 1992 r., która uregulowała najważniejsze kwestie ustrojowe do czasu wejścia w życie ustawy zasadniczej z 1997 r. Mała Konstytucja była rozwiązaniem kompromisowym (między większością sejmową a prezydentem Wałęsą), podobnie jak uchwalona w styczniu 1993 r. ustawa antyaborcyjna, która mocno ograniczyła istniejące w PRL prawo do aborcji, lecz nie na tyle konsekwentnie, by zadowolić konserwatywną prawicę.

Obie strony, które nie poparły tej ustawy – zarówno lewica, jak i skrajna prawica – w kolejnych latach próbowały zmienić jej zapisy, jednak poza wyrokiem pisowskiego Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r., zaostrzającym przepisy, nikomu to się nie udało i ustawa obowiązuje do dzisiaj.

Ówczesne skandale dziś mogą budzić uśmiech politowania. W kolejnych dekadach prawica udowodniła, jak bezgraniczna jest jej moralna hipokryzja.

Rozwiązanie tamtego Sejmu większość Polaków przyjęła z ulgą, bo półtora roku jego istnienia upłynęło pod znakiem licznych afer, zarówno kryminalnych, jak i obyczajowych. Kwintesencją tych ostatnich stał się głośny „Pamiętnik Anastazji P." z podtytułem „Erotyczne immunitety", mający skompromitować parlamentarzystów od prawicy po lewicę. Oczywiście bardziej zaszkodziło to politykom prawicowym, szermującym hasłami „wartości chrześcijańskich" i „obrony tradycyjnej rodziny", choć ówczesne skandale dziś mogą budzić tylko uśmiech politowania. W kolejnych dekadach polska prawica udowodniła bowiem, jak bezgraniczna jest jej moralna hipokryzja.

Spośród posłów I kadencji już tylko kilku nadal zasiada na Wiejskiej. Są wśród nich ci, którzy w XXI w. zdominowali naszą politykę: Jarosław Kaczyński i Donald Tusk. Ale nawet oni wolą nie przypominać początków swoich parlamentarnych karier. I słusznie, gdyż zdominowany przez weteranów solidarnościowej opozycji Sejm wybrany 35 lat temu dobitnie pokazał, jak łatwo i szybko kompromitują się elity okazujące swoją moralną i historyczną wyższość.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl a6f76f4988

Od zamszowych bombek do chemii budowlanej

Dragon Poland – sukcesy rodzinnej firmy

Marek Czarkowski



W każdym markecie budowlanym znajdziemy setki produktów marki Dragon ze znakiem smoka na pomarańczowym tle. Większość kupujących sądzi, że pochodzą one z Chin. Nic bardziej mylnego – Dragon Poland to rodzinna spółka z siedzibą w Skawinie pod Krakowem.

Jej historia zaczęła się w 1972 r., gdy Kazimierz Czekaj, asystent na Politechnice Krakowskiej, i jego żona Zofia, pracująca wówczas w dziale technologicznym krakowskiej fabryki Wedel, założyli własne przedsiębiorstwo, które zajęło się zamszowaniem i powlekaniem materiałów, wykorzystując autorską technologię opracowaną przez pana Kazimierza. Polegała ona na pokrywaniu powierzchni specjalnym, opracowanym przez wynalazcę klejem, a następnie osadzaniu na tak przygotowanym podłożu krótkich włókien bawełnianych. Firma produkowała zamszowy papier, lecz jej największym sukcesem okazały się zamszowe bombki choinkowe.

Proces ten wymagał stałego udoskonalania technologii, co w 1981 r. doprowadziło do zmiany profilu firmy. Na rynku pojawił się opracowany przez Kazimierza Czekaja klej Bunapren. Jego nazwa wzięła się od wykorzystywanego w procesie produkcji kauczuku typu Buna. Ponieważ bardzo przypominała nazwę innego popularnego kleju, Butaprenu, można trafić na informację, że to Czekaj opracował technologię jego produkcji. Tak jednak nie było.

Już w latach 80. XX w. firma starała się rozszerzyć ofertę i z czasem pojawiły się na rynku rozpuszczalniki oraz kolejne kleje. W 1989 r. jej założyciele zdecydowali o zarejestrowaniu marki Dragon i logotypu z charakterystyczną sylwetką czarnego smoka, nawiązując w ten sposób do legendarnego Smoka Wawelskiego.

Dragon Poland oferuje ponad 400 rodzajów produktów, które można kupić w prawie 5 tys. punktów i w internecie. Eksportuje też wyroby do kilkunastu krajów Europy i Azji.

W 1992 r. firma rozpoczęła produkcję farb, smarów i lakierów w spreju, co w tamtym czasie było nowością na polskim rynku. Trzy lata później podpisano pierwsze kontrakty na eksport kleju polimerowego. Produkty Czekajów trafiły także na półki powstających nad Wisłą sieci marketów budowlanych i spożywczych. Sukcesywnie zwiększała się też oferta firmy – pojawiły się kleje dla majsterkowiczów i rozpuszczalniki w metalowych opakowaniach.

9 maja 2003 r. doszło do dramatu. W Szczyglicach koło Krakowa doszczętnie spłonął zakład spółki. To mógł być koniec firmy. Jednak rodzina Czekajów się nie poddała i już w roku 2005 w nowo wybudowanym zakładzie ruszyła produkcja farb emulsyjnych i emalii oraz innych wyrobów, z których Dragon był znany.

W roku 2012 Kazimierz Czekaj przekazał zarządzanie spółką w ręce synów – Piotra i Michała. Pod nowym kierownictwem pojawiły się nowe marki: Sentic, Pomoc Domowa i Pikko. Rozszerzono ofertę o uszczelniacze, impregnaty, grunty, produkty do ochrony drewna oraz środki czystości. Z każdym rokiem rósł eksport.

W 2017 r. w Skawinie otwarto nową siedzibę firmy i nowoczesny zakład produkcyjny. Obecnie Dragon Poland oferuje ponad 400 rodzajów produktów, które można kupić w prawie 5 tys. punktów oraz w internecie. Eksportuje też wyroby do kilkunastu krajów Europy i Azji.

To niemal podręcznikowy przykład rozwoju firmy rodzinnej, której fundamentem były innowacyjność, stałe rozszerzanie oferty handlowej i troska o wysoką jakość. Okazuje się, że w Polsce możliwy jest sukces oparty na pracy i wysiłku pokoleń. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a6f76f4988



Z Galicji

Jan Widacki

Po krwawej sobocie w Krakowie

Coś, co do tej pory zdarzało się głównie w Ameryce, zdarzyło się w sobotę 7 listopada na Rynku Głównym w Krakowie. Szaleniec zabójca, strzelając z karabinu, dokonał wielokrotnego zabójstwa. Zabił sześcioro przypadkowych osób, 16 ranił, usiłował trafić znacznie więcej, bo oddał jeszcze strzały, które na szczęściae nikogo nie dosięgły. Szczegóły są powszechnie znane. Trzeba jednak, choćby to było po raz setny, wspomnieć bohaterską postawę dwóch policjantów, którzy, nie mając przy sobie broni długiej, ruszyli w pościg za zabójcą i ostatecznie go zneutralizowali, płacąc za to ciężkimi ranami. Trzeba wspomnieć dzielnych strażników miejskich, którzy, w ogóle nieuzbrojeni, pierwsi ruszyli w pościg, dzielnych chirurgów, przypadkowych świadków ostatniego epizodu dramatu, którzy udzielili na ulicy pierwszej pomocy rannym policjantom i zamachowcowi. Trzeba oddać cześć wielu ludziom dobrej woli, Polakom i obcokrajowcom, którzy, nie bacząc na osobiste bezpieczeństwo, ruszyli ratować osoby postrzelone na Rynku. Wszyscy oni, postawieni w obliczu tragedii, zdali egzamin z człowieczeństwa. Jakże nie wspomnieć o personelu medycznym krakowskich szpitali, który udzielił błyskawicznej pomocy rannym.

Zamachowiec nie żyje. Od niego niczego już się nie dowiemy. Przed morderczym rajdem po Krakowie w Ostrowcu Świętokrzyskim zamordował rodziców i siostrę. Wszystko wskazuje na to, że był głęboko zaburzony psychicznie. Czy na pewno? Żaden psychiatra już go nie zbada. Śledztwo być może, poprzez analizę pozostawionych przez niego zapisków, treści jego ostatnich rozmów, wejść w internet, czytanych lektur i gromadzonych przedmiotów, przybliży nam motywy jego działania. Podobno zafascynowany był Breivikiem. Znów: czy na pewno? Politycy spekulują na temat jego poglądów i każdy chciałby, aby były one zbieżne z poglądami przeciwników politycznych. Zastanawiają się, jak tę tragedię wielu osób przekuć w polityczną korzyść dla swojego ugrupowania. To obrzydliwe!

Byłem poza Krakowem. O zdarzeniu dowiedziałem się z mediów kilkanaście minut po pierwszym akcie tragedii na Rynku. Kilka minut później zadzwonił do mnie ze Lwowa znajomy profesor. Zapytał, jakiej narodowości był zamachowiec. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, ale podzielałem jego obawy. Podobnie jak on byłem w stanie wyobrazić sobie, co by się działo, gdyby to był Ukrainiec lub inny imigrant, i bałem się tego. Jakkolwiek dziwnie to brzmi, odetchnąłem z ulgą, gdy okazało się, że zamachowcem był Polak.

Kraków pogrążony jest w żałobie. W marszu milczenia szli obok siebie prezydent Nawrocki i premier Tusk. Czy dłużej niż przez pół godziny potrafią być solidarni? Mam wątpliwości.

Kiedy opadną nieco emocje, a śledztwo dostarczy nam więcej sprawdzonych informacji, trzeba będzie spokojnie przeanalizować całe zdarzenie. Co oprócz ewidentnych zaburzeń psychicznych (czy wywołanych środkami odurzającymi, być może powiedzą badania toksykologiczne materiału pobranego w czasie sekcji) przyczyniło się do tragedii? Niezależnie od wszystkiego warto będzie spokojnie przeanalizować przepisy reglamentujące dostęp do broni palnej. Niedawno prezydent postulował jego ułatwienie. Może teraz zmieni zdanie?

Ustawa o broni i amunicji jest kuriozalna i wymaga głębokiej nowelizacji. Pozwolenia na broń wymaga posiadanie straszaka, który po strzale wyrzuca na odległość 2 m plastikowe kulki niemogące nikomu zrobić krzywdy. Bez pozwolenia można legalnie kupić broń zabytkową, czarnoprochową wyprodukowaną przed rokiem 1885 albo jej współczesną replikę, np. rewolwer Colt lub Remington. Broń, która zabija! Aby to wiedzieć, nie trzeba być znawcą balistyki sądowej, wystarczy obejrzeć dowolny western. Kowboje takimi rewolwerami naprawdę się zabijali! Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy tak powinno być, że można legalnie w domu posiadać 12 sztuk broni, w tym karabinów automatycznych. Po co komu taki arsenał? Jak wiadomo, tyle sztuk posiadał ojciec zamachowca.

Jaka jest kontrola posiadaczy całych arsenałów broni, poza wizytą dzielnicowego przy przedłużaniu pozwolenia? Na czym polegają badania psychiatryczne i psychologiczne ubiegających się o pozwolenie lub jego przedłużenie? Kolejna fikcja. Pomijam już powierzchowność takich badań, ale jakie kryteria osobowościowe są pożądane u osoby ubiegającej się o pozwolenie? Kto je opracował? Czy są powszechnie akceptowane przez psychologów? I jeszcze jedno. Niemal 50 tys. osób ma w Polsce pozwolenie na broń palną w celu samoobrony. Ile razy w ostatniej dekadzie ktoś rzeczywiście skutecznie obronił się za pomocą tej broni? Może policja ma takie dane? Niech ogłosi. To czysta fikcja. Pozwolenie na broń „w celu samoobrony" to praktycznie najczęściej pozwolenie na posiadanie broni w celu podniesienia rzekomego prestiżu i zaspokojenia snobizmu.

Warto też się zastanowić, czy policjanci w służbie patrolowej nie powinni mieć w radiowozie na wszelki wypadek broni długiej. A może jeszcze jakieś wnioski da się wyciągnąć po analizie krakowskiej tragedii? Może będziemy troszkę mądrzejsi po szkodzie? Tym bardziej że takiego zdarzenia dotąd nie było i nic dziwnego, że zaskoczyło nas wszystkich. ■

eprasa.pl a6f76f4988

Jak lekarz z generałem

Przewodniczyłem akurat obradom i „osobiście” rozwiązałem PZPR

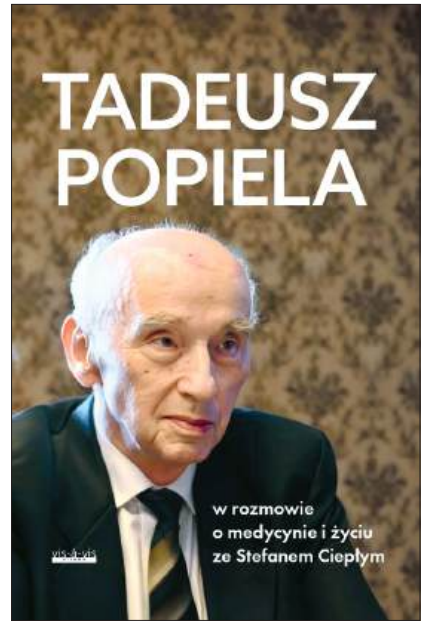
Rozmawia Stanisław Ciepły

Trafił się panu kiedyś pacjent z Warszawy?

– Poniekąd przypadkiem na początku lat 80. Nazywał się Wiesław Górnicki, był wybitnym dziennikarzem, dzięki znajomości z którym – nie wiem, czy o tym pisać – udało mi się później obronić „Przekrój” przed likwidacją. Zamysł taki lansował arbitralnie w swoim czasie Jan Główczyk, sekretarz KC, członek Biura Politycznego, i proszę mi wierzyć, był w mocy to przeprowadzić. Takie były czasy. Był odpowiedzialny w kierownictwie partii za media i forsował rozwiązanie redakcji oraz likwidację „burżuazyjnego” pisma. Nie wnikam w motywy ideologiczne tego stanowiska, zainteresowałem się sprawą po prostu z sympatii dla pisma, a zwłaszcza dla jego naczelnego redaktora, zaprzyjaźnionego ze mną Mieczysława Czumy.

Ta znajomość z Górnickim to zbieg okoliczności. Otóż któregoś dnia zadzwonił do mnie ówczesny minister zdrowia z prośbą, bym się przyjrzał stanowi zdrowia znanego doradcy gen. Jaruzelskiego. Wiedziałem, że to wybitny publicysta, wywodzący się z „Po prostu”, ze sporym dorobkiem reporterskim. Czytałem zresztą wcześniej jego „Raport z Hamburga” oraz „Bambusową klepsydrę” o Kambodży. Ceniono jego książki dotyczące Stanów Zjednoczonych, wysp indonezyjskich, Wietnamu, Afganistanu. Był laureatem prestiżowej Nagrody Prusa. Mówiono w kuluarach, że zajmuje się pisaniem międzynarodowych wystąpień ówczesnego pierwszego sekretarza partii. Krążyły o tym mity. Jak się okazało, był to człowiek bardzo skromny, szerokich horyzontów,

Prof. Tadeusz Popiela – wybitny lekarz, uczony i klinicysta zasłynął jako wybitny w skali światowej chirurg schorzeń układu pokarmowego, zwłaszcza raka trzustki i żołądka, nerek oraz wątroby. Jest autorem 746 referatów i wystąpień na międzynarodowych kongresach. Doczekał się niemal 3 tys. cytowań swojego dorobku w pracach innych uczonych. Współtwórca bazy naukowej, klinicznej i dydaktycznej AM i Collegium Medicum UJ (Biblioteka Medyczna, miasteczko akademickie, Wydział Farmacji Kliniki Chirurgii Akademii Medycznej). Na arenie międzynarodowej m.in. prezes Europejskiego Towarzystwa Chirurgów oraz Międzynarodowego Stowarzyszenia Raka Żołądka w Tokio, Członek Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy, w Polskiej Akademii Nauk członek rzeczywisty, podobnie w Polskiej Akademii Umiejętności.



wyjątkowego formatu. I rzeczywiście Jaruzelski konsultował z nim swoje międzynarodowe i ważniejsze krajowe wystąpienia. W każdym razie ja otrzymałem telefon od ministra, że są problemy ze zdrowiem redaktora. Zaproponowałem przyjazd chorego do Krakowa i okazało się, że ma typowe nawracające, przewlekłe, podostre zapalenie trzustki.

To było poważne schorzenie. Zatrzymałem chorego i on przeleżał u mnie w klinice kilka tygodni. Był w tym czasie przeze mnie operowany, a potem jego pobyt wydłużył się do kilku miesięcy. I wtedy się zaprzyjaźniliśmy. On wymagał specjalnej diety i ja wciągnąłem w opiekę nad nim żonę. Jedzenie musiało być dostosowane do kryteriów, które mu wyznaczyłem. Szpital nie był w stanie tego zrobić, zresztą nie mogłem przecież przestawić kuchni szpitalnej na jednego chorego.

Mówi pan o własnej żonie?

– Oczywiście, ona przyrządzała mu posiłki. To nas zbliżyło. Gdy wciągasz swoją rodzinę w akcję medyczną, a chory jest na twoim oddziale szpitalnym pod ścisłym nadzorem, to rodzą się więzi, które trudno pominąć. Zresztą pacjent, który jest oddalony od domu, w trakcie długotrwałej terapii odczuwa silną potrzebę kontaktu z osobą prywatną, bezinteresowną, i taką z natury rzeczy staje się lekarz. Takie zaangażowanie z reguły ma charakter dwustronny, bo lekarz też przywiązuje się do pacjenta, przeżywa jego cierpienia, uważa go za swego rodzaju własność („mój pacjent”). Powiem górnolotnie: taka jest natura człowieka. I tak z kontaktów lekarskich przeszliśmy na prywatne, ponieważ jego też ten długotrwały pobyt w klinice bardzo do mnie zbliżył. A my z żoną bardzo mu udomowiliśmy ten pobyt przez codzienne kontakty i opiekę. Ja zresztą przez całe

eprasa.pl a6f76f4988

lata miałem zwyczaj każdego dnia odwiedzać klinikę i chorych wieczorem. Było to podobno zmorą dla personelu, ale wtedy nawiązywało się prawdziwy kontakt z pacjentami i ja to lubiłem.

To był człowiek wybitnie inteligentny. Rozmawialiśmy o życiu i świecie, kiedyś mu opowiedziałem swoje perypetie z Domagałą, a także o latach swojego dzieciństwa i niezłomności ojca w dystansie do nowej władzy. Wiedziałem, że Górnicki był człowiekiem oddanym Jaruzelskiemu, ale jednocześnie miał poglądy polityczne dalekie od autorytaryzmu. Ściślej, był to człowiek, moim zdaniem, mocno skonfliktowany z aparatem partyjnym, socjaldemokrata z krwi i kości. Dlaczego związał się z Jaruzelskim? Wiem, że wysoko go cenił i miał odwagę stanąć po stronie generała.

A stosunek do aparatu partyjnego miał taki jak do polskiej cenzury, której zapisom poświęcił książkę. Ta moja opowieść bardzo nas zbliżyła. On sobie to potem pewnie wszystko posprawdzał, wiedział, że mu nie opowiadam rzeczy zmyślonych. A ja przy okazji manifestowałem mu swoje poglądy polityczne, pewnie bliskie jego poglądom. I on w pewnym momencie zaczął namawiać mnie, żebym porozmawiał z jego szefem, którym był kierownik kancelarii generała, płk Bogusław Kołodziejczak. Okazało się, że on też wymaga opieki medycznej, specjalnie przyjechał do Krakowa na konsultację, i w ten sposób poznałem drugiego z bliskich współpracowników Jaruzelskiego. Obaj nieoczekiwanie zaczęli mnie namawiać na rozmowę z generałem, przedstawiając go jako wielkiego Polaka, patriotę.

(…) Zostałem zupełnie nieoczekiwanie zaproszony do gen. Jaruzelskiego. Zostałem tam któregoś dnia przyjęty wieczorem, w obiekcie Rady Ministrów przy Alejach Ujazdowskich. Generał był, że się tak wyrażę, „na luzie", gościł mnie, jakbym przyjechał na zupełnie prywatną rozmowę. To była połowa lat 80.

W cztery oczy, czy jeszcze ktoś był?

– Absolutnie w cztery oczy. Miałem wtedy dystans do swojej przeszłości i mocną niechęć do aparatu partyjnego. Uważałem, że PZPR jako partia to fikcja; gdyby zamknąć komitety wojewódzkie, toby jej nie było. Sądziłem, że Jaruzelski o tym nie wie, jest izolowany od rzeczywistości i starałem się w rozmowie przekonać go, że taki właśnie jest stan rzeczy, że statystyki są fikcyjne, że nie ma mas partyjnych, a są jedynie komitety wojewódzkie, miejskie, dzielnicowe, powiatowe. Rządzi aparat – mówiłem – czyli grupa najmniej ideowa. Ostro, po nazwiskach, wymieniłem niektórych generałów, a potem zabrałem się do oceny członków Biura Politycznego. Jaruzelski mi nie przerywał, a ja nawiązałem do swojego wystąpienia na konferencji wojewódzkiej w Krakowie. Powtórzyłem, że mamy dość „socjalizmu wojskowego", bo to było już po stanie wojennym.

Jak on przyjmował pańskie uwagi?

– To było poruszające, jak dalece ten człowiek był przejęty losem Polski na tle świata. Opowiedział mi wtedy swój życiorys, losy swoich rodziców, jak był wychowywany w domu, wtedy szlacheckim. I potem swój szlak syberyjski. Trwało to trochę, od 18.00 do 22.30 wieczór. Długo. Zwracał się do mnie „Panie Profesorze". Ja mu natomiast krytycznie scharakteryzowałem sytuację, jak ona wyglądała w moich oczach, po stanie wojennym. (…)

Jakąś satysfakcję mi to spotkanie dało, choć, co charakterystyczne, nigdy w żadnej kwestii podczas rozmowy nie powiedział: „Pan ma rację!". Natomiast propozycja członkostwa w Komitecie Centralnym formalnie padła prawdopodobnie ze strony Górnickiego. Zresztą po tej wizycie zrobił się przyjazny klimat wokół mnie. Myślę, że nosicielem dobrych opinii był Kołodziejczak, bo jako szef kancelarii generała miał mnóstwo kontaktów. Doszło to w każdym razie do Józefa Gajewicza, wówczas I sekretarza w Krakowie. Postacią mocno niezależną w egzekutywie KW był wówczas sekretarz do spraw nauki Jerzy Hausner.

Liczył się też Hieronim Kubiak, który był członkiem Biura Politycznego. Moim zdaniem Hausner traktował bardzo krytycznie Gajewicza i cały jego aparat partyjny. Odcinał się wyraźnie, a jednocześnie nie miał najlepszych relacji z Kubiakiem. Ja tu nie snuję żadnej intrygi, tylko chcę przedstawić ówczesny stan rzeczy.

Kubiak rzeczywiście nie był przez wszystkich lubiany.

– Wobec tego, gdy miała miejsce poprzedzająca przedostatni Zjazd PZPR konferencja wojewódzka, Hausner mnie zaczął forsować jako delegata. Więcej szczegółów nie znam. Podszedł do mnie w kuluarach Lucjan Motyka i oświadczył, że zostanie mi prawdopodobnie zaproponowane członkostwo w KC. Ale kto był inicjatorem, nie powiedział. Dopiero później się dowiedziałem, już na zjeździe, że to Jerzy Hausner mnie przeforsował jako delegata z Krakowa na X Zjazd Partii w 1986 r. Pośrednio mnie sondowano wowczas, czy się zgodzę, bo wiedziano, że ja od takich funkcji raczej uciekam. Ale się zgodziłem, zostałem wybrany i uczestniczyłem we wszystkich posiedzeniach ostatniej kadencji.

Poruszające, jak dalece gen Jaruzelski był przejęty losem Polski na tle świata.

(…) Dotrwałem do XI Zjazdu PZPR, który odbył się w dniach 27–29 stycznia 1990 r. w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki, podczas którego rozwiązała się Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Ja nawet prowadziłem część obrad tego Zjazdu. Byłem w jego prezydium. Kronika Filmowa ujęła ten moment, kiedy udzielam głosu ostatniemu I sekretarzowi KC Mieczysławowi Rakowskiemu, który mówi: „Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wyprowadzić!".

Przewodniczyłem akurat obradom i „osobiście" rozwiązałem PZPR. Uczestniczyłem zatem w wielu wydarzeniach politycznych tamtych lat do ostatniej chwili.

Fragmenty książki *Tadeusz Popiela w rozmowie o medycynie i życiu ze Stefanem Ciepłym*, Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2026

eprasa.pl a6f76f4988

LEWICA KONTRA POPULIZM

Długa droga do pokonania Giorgii Meloni



Zgromadzenie programowe włoskiej centrali związkowej pod hasłem „Przyszłość jest teraz". Rzym, 5 listopada 2026 r.

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

„Przyszłość jest teraz" – pod takim hasłem 5 listopada br. odbyło się w Rzymie zgromadzenie programowe włoskiej centrali związkowej CGIL. Po raz pierwszy doszło wtedy do spotkania w pełnym składzie szerokiego bloku opozycyjnego (tzw. campo largo), skupiającego wszystkie ugrupowania przeciwne rządowi Giorgii Meloni.

Na scenie Teatru Brancaccio pojawili się: Maurizio Landini (sekretarz generalny Włoskiej Powszechnej Konfederacji Pracy, CGIL), Elly Schlein (Partia Demokratyczna, PD), Giuseppe Conte (Ruch Pięciu Gwiazd, M5S), Nicola Fratoianni (Włoska Lewica, SI) i Angelo Bonelli (Zielona Europa, EV), Riccardo Magi (+Europa) oraz Maria Elena Boschi w zastępstwie Mattea Renziego (Italia Viva). „Najpierw w ciągu miesiąca program, a w lutym powszechne prawybory, aby wyłonić kandydata na premiera", zapewniano w kuluarach.

Najnowszy sondaż Supermedia YouTrend dla agencji AGI (5 listopada) pokazuje wzrost poparcia dla szerokiego bloku opozycyjnego, który osiąga 45%, wyprzedzając centroprawicę, która spada do 42,5%. Na czele rankingu nadal pozostaje partia Meloni, Bracia Włosi, z wynikiem 27,9%, na drugim miejscu utrzymuje się Partia Demokratyczna – 20,2%, na trzecim jest Ruch Pięciu Gwiazd – 13,1%. Pozostałe partie opozycyjne uzyskują następujące wyniki: Sojusz Zielonych i Lewicy (AVS) – 6,3%, Italia Viva – 2,3%, +Europa – 1,5%.

W koalicji rządzącej Forza Italia notuje 7%, Liga – 5,7%, a Noi Moderati – 1%. Ugrupowanie Przyszłość Narodowa (Futuro Nazionale) Roberta Vannacciego nadal plasuje się wysoko – 6,9%, pretendując do miana drugiej prawicowej partii Włoch. Akcja (Azione) kierowana przez Carla Calendę osiąga 3,2%, mogąc się stać języczkiem u wagi, gdyż nie wyraziła jeszcze poparcia dla któregoś z bloków. Choć Calenda należy do liberalnej centrolewicy, jest gotowy poprzeć Meloni, gdyby ta nie weszła w koalicję z Vannaccim, a w szerokiej koalicji przeważyłaby pozycja M5S i Conte zostałby kandydatem na premiera.

Niezłomnie dążąca do jedności

Nie tylko Giorgia Meloni może się pochwalić sukcesami, będąc pierwszą kobietą na stanowisku premiera i stojąc na czele najdłużej działającego rządu w historii Włoch. Także Elly Schlein, w 2023 r. wybrana na sekretarz generalną Partii Demokratycznej, jest pierwszą kobietą oraz najmłodszą osobą w historii przewodzącą temu ugrupowaniu. Jej sukcesy to wzrost poparcia dla PD, odbudowa struktur lokalnych, poprawa sytuacji finansowej partii i większa jedność wewnętrzna.

Określenie testardamente unitaria – niezłomnie dążąca do jedności – powtarzane podczas wystąpień publicznych i kampanii wyborczych, stało się mottem politycznym i sloganem Schlein. Oznacza jej konsekwentne dążenie do zjednoczenia różnych ugrupowań centrolewicy i zbudowania szerokiego bloku opozycyjnego.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl a6f76f4988

Sekretarz Partii Demokratycznej często odwołuje się do stworzonej przez Romana Prodiego koalicji Drzewa Oliwnego (Ulivo) jako ideowych korzeni PD, postrzegając ten model jako jedyną sprawdzoną formułę, która pozwala zjednoczyć centrolewicę, radykalną lewicę, nurt reformatorski oraz ruchy obywatelskie i umiarkowane, by pokonać prawicę. Takie porównanie wywołuje jednak kontrowersje wśród krytyków z zewnątrz i zastrzeżenia samego Prodiego. Początkowo dwukrotny premier i były przewodniczący Komisji Europejskiej dostrzegał w Schlein potencjalną integratorkę centrolewicy. Sam odegrał podobną rolę w latach 1996 i 2006. Jednak w odniesieniu do Ruchu Pięciu Gwiazd Prodi, podobnie jak inni przedstawiciele nurtu reformatorskiego, wyraża obawy, że pierwotna tożsamość Drzewa Oliwnego, oparta na europeizmie, tradycji chrześcijańsko-demokratycznej i socjaldemokracji, może zostać zatracona lub podporządkowana stanowisku Contego.

Zdaniem Elly Schlein dziś nie wygrywa się, stawiając na centrum – potrzebny jest radykalizm. Schlein, która ma oprócz włoskiego i szwajcarskiego obywatelstwo amerykańskie, utrzymuje bliskie więzi ideologiczne i polityczne z postępowym skrzydłem Partii Demokratycznej w USA, które uważa za wzór do naśladowania przy budowaniu Partii Demokratycznej we Włoszech.

Po wyborach połówkowych w USA wyraziła entuzjazm, chwaląc aktywną rolę kobiet oraz kandydatów z lewego skrzydła partii, takich jak James Talarico, Abdul El-Sayed czy Keisha Lance Bottoms. Zdaniem sekretarz PD amerykańscy demokraci wygrali dzięki skupieniu się na kwestiach społecznych i bytowych. To agenda, którą sama zamierza wdrożyć we Włoszech jako alternatywę dla rządu Meloni.

Zaklinacz węży

„Dość pieniędzy i broni dla Ukrainy. Dość, dość, dość. Przesadziliście już z tą Ukrainą. Zadaniem, za które wam płacą, jest poprawa warunków życia Włochów" – to słynna, pełna emocji wypowiedź Contego krytykującego dotychczasową linię polityczną rządu. Conte w parlamencie oskarżył rząd Meloni o to, że wyda z budżetu 14 mld euro na zbrojenia, zamiast przeznaczyć te środki na publiczną służbę zdrowia, szkołę i świadczenia socjalne.

W lipcu br., podczas pierwszej manifestacji szerokiej koalicji w Neapolu, lider M5S krytykował plan zwiększenia wydatków na zbrojenia i „kupowania amerykańskiej broni, żeby przypodobać się Trumpowi". Stwierdził wręcz: „Pomyślcie, tworzą zagrożenie ze strony Rosji, żeby przekonać nas, że musimy uzbroić się po zęby. Tego wam nie mówią, ja wam to mówię. Podają nawet datę, kiedy wojna ma wybuchnąć – 2030 r.". Po tym wystąpieniu Conte tłumaczył się, że został źle zrozumiany.

Polityka zagraniczna to pierwsza rzecz, która dzieli M5S i PD. Przedstawiciele Ruchu Pięciu Gwiazd wielokrotnie wygłaszali opinie, które w pewnym stopniu powielają rosyjską propagandę. Ta partia sprzeciwia się nie tylko zbrojeniom, lecz od lat także wysyłaniu broni Ukrainie. Dziennik „Il Fatto Quotidiano", związany ze środowiskiem politycznym M5S i kierowany przez Marca Travaglia, bywa nazywany ironicznie Fatto Putiniano (Faktem Putinowskim). Z kolei przeciwnicy szerokiej koalicji określają ją mianem koalicji Ławrowa. Europosłowie M5S niejednokrotnie głosowali w Parlamencie Europejskim wraz z europosłami Ligi czy byłym generałem Vannaccim przeciw pomocy dla Ukrainy i sankcjom wobec Rosji oraz przeciw przyjęciu dorocznego sprawozdania dotyczącego postępów Ukrainy w długim i niepewnym procesie akcesji do UE.

Natomiast Partia Demokratyczna, a przede wszystkim jej umiarkowany nurt reformatorski, od czasu rosyjskiej inwazji z 2022 r. konsekwentnie popiera Ukrainę.

Giuseppe Conte zadeklarował, że po objęciu władzy doprowadzi do natychmiastowych rozmów pokojowych poprzez bezpośredni kontakt telefoniczny z Zełenskim i Putinem. Jego propozycja wywołała kontrowersje we Włoszech. Lider Ruchu Pięciu Gwiazd gani dotychczasową unijną strategię wsparcia militarnego dla Kijowa, uważając, że UE podsyca wojenną retorykę, a nie zrobiła nic na drodze dyplomatycznej. Jego zdaniem należy zawrzeć pokój kosztem ustępstw terytorialnych na rzecz Moskwy. Wielu wyborców M5S postuluje powrót do zakupu gazu od Rosji i zniesienie sankcji ekonomicznych.

„Kiedy dojdziemy do władzy, uznamy państwo Palestyny i zerwiemy umowę o współpracy wojskowej z Izraelem", oświadczył Conte w Izbie Deputowanych. Stanowisko to popiera również Schlein – w tej kwestii szeroka koalicja jest zgodna.

M5S przedstawił 20-punktowy dokument programowy Una alleanza per la Costituzione (Sojusz na rzecz Konstytucji). Jego propozycje są następujące: płaca minimalna, ochrona zdrowia i edukacji, stawianie dobra wspólnego ponad interesy wielkich korporacji i lobby, ożywienie zielonej agendy inspirowanej Europejskim Zielonym Ładem, oddolna partycypacja, sprzeciw wobec dalszego wsparcia zbrojeniowego dla Ukrainy, sprzeciw wobec reform instytucjonalnych rządu Meloni i przede wszystkim dochód podstawowy (reddito di cittadinanza). Conte dąży do przywrócenia zreformowanej i zaktualizowanej wersji zasiłku wspierającego osoby najuboższe i przeciwdziałającego wykluczeniu społecznemu.

Sojusz na rzecz Konstytucji stanowi ofertę programową M5S w rozmowach z koalicją centrolewicową. Ruch Pięciu Gwiazd, szczególnie pod wodzą Contego, unika tradycyjnej etykietki „lewica", definiując się zamiast tego jako „progresiści". Jego członkowie często deklarują, że nie

Większość Partii Demokratycznej i jej wyborców uważa, że prawybory mogą tylko podzielić szeroką koalicję i faworyzować Meloni.

eprasa.pl a6f76f4988

są ani lewicą, ani prawicą. Krytycy z tradycyjnego skrzydła PD i z centrolewicy uważają, że ów deklarowany progresywizm jest tylko fasadą, za którą kryje się dawna natura „partii antysystemowej" bez kręgosłupa ideologicznego.

Wiele postulatów lidera M5S jest atrakcyjnych dla wyborców, zwłaszcza dochód podstawowy. Krytycy nie zapominają jednak posunięć gospodarczych Contego w okresie jego rządów. Superbonus 110%, wprowadzony w 2020 r. przez drugi rząd Contego, okazał się znacznie droższy, niż zakładano, i stał się poważnym obciążeniem dla finansów publicznych również w kolejnych latach. Jak podał dziennik internetowy Il Post, „kiedy Giuseppe Conte obejmował urząd premiera w czerwcu 2018 r., wydatki wojskowe w relacji do PKB wynosiły według obliczeń NATO ok. 1,2%. Dwa lata później, pod koniec jego kadencji, wskaźnik ten wzrósł do 1,58%. Nominalnie wydatki zwiększyły się z 21,7 do 26,4 mld euro, czyli o ok. 20% w ciągu dwóch i pół roku. Był to wówczas największy nominalny wzrost wydatków na obronność w ciągu poprzednich 15 lat".

Giuseppe Conte uprawia polityczną sztukę zaklinania węży: potrafi oczarować wyborców pacyfistycznymi hasłami i kupić ich poparcie, przemilczając własne decyzje i błędy z czasów, gdy dwukrotnie sprawował władzę.

Prawybory – tak czy nie?

Nie tylko polityka zagraniczna dzieli M5S i PD. Przede wszystkim to kwestia władzy: kto zostanie premierem, jeżeli szeroka koalicja pokona Giorgię Meloni w wyborach parlamentarnych w 2027 r.? Elly Schlein czy Giuseppe Conte?

Lider Ruchu Pięciu Gwiazd już dzień po referendum konstytucyjnym z marca br., przegranym przez Meloni, oświadczył, że trzeba przeprowadzić prawybory, aby wskazać kandydata na premiera. Od ponad pół roku w szerokiej koalicji toczy się spór o to, czy najpierw stworzyć wspólny program, czy przeprowadzić prawybory. Conte wciska gaz, Schlein hamuje.

„W żadnym innym europejskim kraju nie byłoby o czym dyskutować: przywództwo przypada największej partii. Jeśli jednak ktoś nie uznaje tej zasady, zorganizujemy prawybory i je wygramy", oświadczyła Schlein podczas posiedzenia władz PD na początku października. „Nikt nam niczego nie podarował. Zdobyliśmy dwukrotnie więcej głosów niż pozostałe ugrupowania. Jesteśmy hojni, ale nie naiwni", zaznaczyła i oficjalnie zgłosiła swoją kandydaturę na stanowisko premiera, niezależnie od tego, czy prawybory się odbędą, czy nie.

Giuseppe Conte potrafi oczarować wyborców, przemilczając własne decyzje i błędy z czasów, gdy był premierem.

Po raz pierwszy odpowiedziała tak otwarcie na zaczepki lidera Ruchu Pięciu Gwiazd, który od miesięcy próbuje podważyć jej przywództwo na włoskiej centrolewicy. Dzień wcześniej Conte ujawnił, że zaproponował jej wspólne wycofanie się z rywalizacji o przywództwo szerokiego bloku opozycyjnego i poszukanie „trzeciego kandydata".

Większość PD i jej wyborców uważa, że prawybory mogą tylko podzielić szeroką koalicję i faworyzować Meloni. To PD jako największe ugrupowanie opozycyjne powinna wyznaczyć premiera.

Prawybory w Partii Demokratycznej mają długą tradycję. Wprowadził je Romano Prodi w 2005 r., a w kolejnych latach wyłoniły one krajowych liderów ugrupowania. Byli to Walter Veltroni – 2007, Pier Luigi Bersani – 2009 i 2012, Matteo Renzi – 2013 i 2017, Nicola Zingaretti – 2019, Elly Schlein – 2023. Zawsze jednak były to prawybory wewnątrzpartyjne. Problemem nie są więc one same, ale to, w jakiej formie mają zostać przeprowadzone. Conte chce, aby były otwarte dla wszystkich i aby brało w nich udział więcej kandydatów. Schlein uważa, że powinny obejmować tylko dwójkę liderów i odbyć się w ramach koalicji.

Sondaże nie są zgodne, ale gdyby prawybory były otwarte dla wszystkich obywateli (także dla ewentualnych wyborców prawicowych) i brałoby w nich udział więcej kandydatów – w rywalizacji o przywództwo wygrałby Conte, zdobywając 41,8% głosów, wobec 27,2% poparcia dla Schlein. Natomiast w prawyborach wśród samych wyborców szerokiej koalicji Schlein uzyskałaby 49% poparcia, a Conte – 46%. Na Schlein zagłosowałoby 79% wyborców PD, a także 75% wyborców Sojuszu Zielonych i Lewicy (AVS). Conte zdobyłby poparcie 97% wyborców Ruchu Pięciu Gwiazd oraz 22% wyborców AVS.

Ponad połowa wyborców szerokiej koalicji chciałaby, aby prawybory odbyły się jak najszybciej – w grudniu lub styczniu. Natomiast jedna trzecia wolałaby poczekać na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie nowej ordynacji wyborczej, którego należy się spodziewać w marcu lub kwietniu. Ordynacja bowiem może być uznana za niekonstytucyjną, zwłaszcza w kwestii konieczności ustalenia premiera przed wyborami.

Na razie szeroka koalicja spotkała się po raz pierwszy w jak najszerszym składzie, z udziałem wszystkich partii opozycyjnych. Do tej pory M5S nie chciał dopuścić do udziału Italia Viva, centrowej partii kierowanej przez byłego premiera Renziego. Conte chce, aby Schlein była jego gwarantem koalicyjnym. Wyborcy Ruchu Pięciu Gwiazd nie ufają Renziemu, ale jego głosy są niezbędne do pokonania prawicy.

W ciągu najbliższego miesiąca ma powstać program polityczny, a co dalej… nie wiadomo. Gdyby prawybory wygrał Conte, Partii Demokratycznej grozi wybuch. Wielu jej wyborców nie pójdzie do urn lub zagłosuje na Akcję Carla Calendy, który może poprzeć Meloni.

Stworzenie „nowego Drzewa Oliwnego" pozostaje wyzwaniem. Trzeba zsumować poparcie różnych ugrupowań opozycyjnych, które więcej dzieli, niż łączy.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl a6f76f4988

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Słabi nigdy nie mają racji

Wysłuchaliśmy rewelacji amerykańskiego komentatora Tuckera Carlsona na temat odpowiedzialności za wybuch II wojny światowej – stanowczość Polski Carlson uznał w istocie za lekceważenie niemieckich interesów, za przejaw arogancji godzącej w racjonalne podstawy polityki. Czy świat powinien teraz łaskawiej spojrzeć na Hitlera, przenosząc część winy na Polskę? No cóż, wielkiej dyskusji pewnie nie będzie.

Zresztą ile warte są fakty? Bywa różnie. W 2014 r. gazeta „The Washington Post" zapytała o to, gdzie leży Ukraina. Część respondentów stwierdziła, że w Australii. Dziś jest jeszcze ciekawiej. Techniki cyfrowe wyrwały z zawiasów pojęcie rzeczywistości. Za ich pomocą można obdarzyć kształtem każdą „prawdę" i stworzyć dowolne „fakty". Reszta dzieje się w internecie, gdzie widma rzeczy mogą płodzić swoje potomstwo na rynku opinii. Poczciwe apele, by reagować na dezinformację, są anachroniczne. Należą do świata, w którym istniał jakiś wspólny mianownik, w którym liczyło się pojęcie prawdy.

Wypowiedź Carlsona warto jednak zapamiętać – ma ona charakter symptomatyczny. Obwinianie Polski mieści się w ramach pewnych trendów historycznych. Przypomnijmy sobie rok 1938, Monachium, a potem sprawę Zaolzia. W swojej „Dyplomacji" Henry Kissinger zauważył: „Porozumienie z Monachium zostało przez olbrzymią większość współczesnych przyjęte z entuzjazmem". Prezydent Roosevelt gratulował Chamberlainowi i podkreślał, że ten „dobrze się spisał". Premier Kanady mówił o zasługach, które „wyświadczył on całej ludzkości". Po zajęciu przez Polskę Zaolzia zapanowało natomiast zgorszenie. Zastanawiano się, czy nie działaliśmy w porozumieniu z Niemcami. Winston Churchill w pamiętnikach umieścił Polskę, obok Niemiec i Węgier, w gronie „szakali" (nigdy nie nazwał jej wszakże „hieną Europy", to był wymysł nienawistnej propagandy).

Z rzeczy najświeższej daty odnotujmy pesymistyczną diagnozę, którą na łamach czasopisma „Foreign Affairs" przedstawił brytyjski ekspert Mark Leonard, dyrektor European Council on Foreign Relations: „Pora stwierdzić, że dawny porządek naprawdę zniknął bez śladu". Żyjemy w „epoce bezładu" („orderless age"). Najlepiej poradzą sobie państwa, które nie będą czekać na powstanie nowego „systemu zasad" i wezmą „swój los we własne ręce". Od siebie dodam, że służalczość nie jest gwarancją bezpieczeństwa. Silni z zasady czują odrazę do pochlebców, którzy udają równorzędnych partnerów, a są beznadziejnie słabi, o czym najwymowniej świadczy ich lizusostwo.

Wybitnego węgierskiego pisarza Sándora Máraiego wybuch II wojny światowej przywiódł do rozpaczy. Wiedział, że nadchodzi koniec, że wydarzyły się rzeczy nieodwracalne. 6 września 1939 r. w dzienniku „Pesti Hírlap" napisał: „Kiedy gaśnie światło rozumu, zaczynają działać instynkty, zaczynają kierować ślepcy". Co z tego może wynikać? Nawet geniusz Szekspira – kontynuował myśl Márai – nie znalazłby odpowiedzi. Nic przecież nie prześcignie szaleństwa losu. Co nas prowadzi dzisiaj? Instynkty wojny w paradnym stroju sprawiedliwości? W wywiadzie dla „Le Matin" z 22 listopada 1933 r. Hitler oburzał się: „Obrażają mnie, mówiąc, że chcę wojny". Ile w polityce warte są słowa?

Mówiąc o słabości i sile państw, rzućmy okiem na własne podwórko. Raport komisji śledczej ds. Pegasusa leży na stole. Widzimy teraz, jak pisowskie koterie „wstawały z kolan", depcząc elementarne zasady godności, lojalności, szacunku dla państwa i jego obywateli. Premier mówi o zdradzie stanu i ma rację. Bo czymże jest przekazanie obcym ośrodkom dostępu do najbardziej wrażliwych informacji dotyczących chronionej strefy wewnętrznych interesów państwa? Ściśle tajne dane na obcych serwerach? Co za tym stoi? Deficyt szarych komórek czy cynizm zgodny z prostą zasadą: skrupuły kończą się tam, gdzie zaczynają się nasze korzyści?

Służalczość nie jest gwarancją bezpieczeństwa. Silni z zasady czują odrazę do pochlebców.

Grozę zaiste budzi fakt, że ludzie gardzący interesami własnego państwa nadali sobie miano patriotów. Kłania się nam tutaj końcówka XVIII stulecia – czasy, w których uwikłana w walkę stronnictw polska polityka dławiła się nienawiścią i żądzą zemsty, a najwyższą ambicją było zdobycie poklasku na obcych dworach. Strach, że te paskudne desenie jak pleśń znowu wypełzły na powierzchnię. Co do „patriotyzmu" nawigatorów Pegasusa – czysta perwersja, blisko rekordu świata. Myślę, że nawet w Sodomie dostaliby oklaski.

Na końcu przymierzę togę adwokata diabła i postawię pytanie: a może zarzut zdrady stanu jest niesprawiedliwy i nie wchodzą w grę żadne podłe intencje? Może pisowcy to ludzie ideowi – ukrywający się w katakumbach kosmopolici – którzy, tak jak kiedyś Róża Luksemburg, uważają, że wszystkie państwa są niepotrzebne i należy je zniszczyć? Zaczynając od państwa własnego. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a6f76f4988



CZY WIATRAKOM POWIEJE WSCHODNI WIATR?

Chiny walczą z Zachodem o rynek energii wiatrowej

Chrystian Ślusarczyk

Chińscy producenci turbin wiatrowych nie zdobywają europejskiego rynku szturmem. Strategia Pekinu, jeśli chodzi o wejście do Europy, opiera się przede wszystkim na partnerstwie i… cierpliwości.

Jak informuje WindEurope, organizacja non profit reprezentująca sektor energetyki wiatrowej, do końca 2026 r. Europa ma zainstalować rekordowe 24 GW nowych mocy wiatrowych, a energia z wiatru pokrywa obecnie około jednej piątej jej zapotrzebowania. Ta sama organizacja prognozuje, że do 2030 r. łączna moc elektrowni wiatrowych osiągnie 436 GW, podczas gdy unijny cel wynosi 500 GW. Plan jest ambitny. Ale czy uda się go zrealizować bez chińskiej ingerencji w ten sektor? Specjaliści powątpiewają.

Podbój przez partnerstwo

Powoli przyzwyczajamy się, że znane zachodnie marki samochodowe są zastępowane przez auta chińskie. Prawdopodobnie nie ma od tego odwrotu. W branży samochodowej Pekin stosuje tzw. partnerstwo biznesowe, które chętnie przeniesie też na inne działy gospodarki, chociażby energetykę wiatrową.

Chińczycy myślą tu o podobnych działaniach jak te z udziałem marki Ford. Latem doszło bowiem do podpisania umowy między Ford Motor Company a chińskim Geely Automobile Holdings, na podstawie której w jednej z fabryk na terenie Hiszpanii mają być produkowane pojazdy elektryczne.

Mimo napięć politycznych, dochodzeń w sprawie państwowych dotacji oraz jawnego sceptycyzmu ze strony rządów wielu krajów europejskich chińscy producenci turbin wiatrowych intensyfikują ekspansję na rynku europejskim. Trend ten podkreśla niedawny raport „Financial Timesa". Dziennik opisuje, jak chiński gigant w dziedzinie energetyki wiatrowej Mingyang Smart Energy Group skutecznie przekuwa wszystkie przeszkody polityczne w lokalne kontrakty i hybrydowe, chińsko-europejskie partnerstwa. Mingyang Smart Energy Group i podobne jej firmy już teraz w Europie uruchamiają potężne turbiny o mocach 18-20 MW (jak model MySE 18.X-20MW), wyznaczając globalne rekordy w morskiej energetyce wiatrowej.

Horatio Evers, prezes Mingyang Smart Energy Group na Europę, jest zdeterminowany, by rozwijać działalność spółki na Starym Kontynencie. „To, co tu robimy, nie jest jednorazową próbą", mówił „Financial Timesowi", dodając, że jako czołowy producent turbin na świecie Mingyang musi dywersyfikować swoje portfolio. Europa odgrywa kluczową rolę w tej strategii, będąc jednym z największych i najatrakcyjniejszych rynków na świecie, ponieważ szuka i dramatycznie potrzebuje nowych, najlepiej odnawialnych źródeł energii.

Dziś kapitalizacja rynkowa Mingyang Smart Energy Group na giełdzie w Szanghaju wynosi ok. 21,48 mld juanów (3,04 mld dol.), co czyni ją jedną z najbardziej rozpoznawalnych firm wśród chińskich producentów turbin na światowym rynku energii wiatrowej. Jej akcje są także notowane na londyńskiej giełdzie.

Panujące w tej sprawie nastroje odzwierciedla komentarz Yu Fenga, szefa międzynarodowego oddziału firmy Windey Energy Technology Group Co. Ltd., opublikowany na portalu Semafor. Według niego napięcia geopolityczne między Pekinem a stolicami europejskimi nie powstrzymają chińskiej ekspansji na Zachód, jedynie może ją opóźnią. W 2024 r. Windey był trzecim co do wielkości producentem turbin wiatrowych na świecie, z ok. 10% udziału w rynku. Yu Feng uważa, że nowe lokalizacje ich produkcji złagodzą obawy dotyczące bezpieczeństwa, zjednując Windey zaufanie europejskich polityków – to strategia stosowana również przez konkurentów. „Surowe europejskie przepisy są jak szkoła, z której firma może i czerpać, i uczyć się, jak na stałe

eprasa.pl a6f76f4988



Goście Forum Mediów Azji i Pacyfiku 2026 odwiedzają producenta turbin wiatrowych Mingyang w Zhongshan w południowych Chinach. 4 września 2026 r.

zagościć na Starym Kontynencie", uważa Yu Feng.

Konkurencja rzeczywiście nie śpi. W czerwcu kolejny chiński gigant, Sany Renewable Energy, pochwalił się swoją pierwszą dużą turbiną wiatrową w Europie. Model SI-172 o mocy 6,25 MW został uruchomiony w pobliżu Saragossy w Hiszpanii. Jak donosi „Financial Times", dostarcza energię elektryczną koncernowi spożywczemu Grupo Jorge.

Europejskie obawy

Chińskie turbiny dzięki silnemu wsparciu państwa są o 30-50% tańsze od rozwiązań oferowanych przez producentów zachodnich. Mimo to obecność chińskich gigantów wiatrowych w Europie jest na razie stosunkowo skromna. W 2025 r. Chińczycy dostarczyli na Stary Kontynent 446 MW. Według Global Wind Energy Council (GWEC) to mniej niż 3% wszystkich instalacji wiatrowych uruchomionych w Europie. Pojedyncza turbina wiatrowa na lądzie (onshore) ma zazwyczaj moc 2-7 MW, natomiast nowoczesne turbiny morskie (offshore) osiągają moc 8-15 MW.

Zadanie, które Pekin sobie wyznaczył, nie jest łatwe, ponieważ europejscy politycy i branża boją się o przyszłość krajowych liderów w produkcji turbin, takich jak Vestas Wind Systems z Danii czy Siemens Gamesa Renewable Energy (SGRE). Obawiają się, że mogą podzielić los europejskiego przemysłu fotowoltaicznego, który został zmiażdżony przez chińskich konkurentów.

Nie sposób pominąć obaw dotyczących cyberbezpieczeństwa i potencjalnych wpływów państwa chińskiego. Właśnie te obawy sprawiły, że nie udało się wejście firmy Mingyang na rynek w Wielkiej Brytanii. W marcu brytyjski rząd ogłosił, że wykorzystanie turbin Mingyang w projektach offshore stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i nie może być wspierane. Według „Financial Timesa" administracja Trumpa wyraziła zaniepokojenie wpływem Pekinu na brytyjski rząd i ryzykiem „upolitycznienia" inwestycji. Decyzja ta pokrzyżowała plany Chińczyków, którzy chcieli zainwestować 1,5 mld funtów w fabrykę w Szkocji. W wartość straty w Zjednoczonym Królestwie wlicza się także 1,5 tys. planowanych miejsc pracy.

Unia Europejska wszczęła dochodzenie w tej sprawie i wprowadziła przepisy mające ograniczyć udział turbin produkowanych w Chinach w projektach otrzymujących dotacje publiczne.

Problem nie jest nowy. W kwietniu 2024 r. Komisja Europejska wszczęła dochodzenie w sprawie subsydiów zagranicznych dla chińskich producentów turbin, obejmujące projekty w pięciu państwach członkowskich: Hiszpanii, Grecji, Francji, Rumunii i Bułgarii. Ówczesna komisarz ds. konkurencji, Dunka Margrethe Vestager, porównała tę sprawę do wcześniejszych szkód dla rynku europejskich producentów paneli słonecznych. W komentarzu dla magazynu „Fortune" przestrzegała Europę: „Doskonale pamiętamy scenariusz z panelami słonecznymi. Czy to samo ma się stać z wiatrakami?".

Efekty politycznych napięć widać np. w historii kontraktu, który 2024 r. podpisały niemiecka firma Luxcara i Mingyang. Chodziło o dostawę 16 gigantycznych turbin, które, jak donosiła Agencja Reutera, miały zostać wykorzystane w 300-megawatowej morskiej farmie wiatrowej Waterkant na Morzu Północnym.

W sierpniu 2025 r. Luxcara zrezygnowała z kontraktu na rzecz producenta hiszpańsko-niemieckiego, Siemens Gamesa. Oficjalnie powodem była „decyzja komercyjna", ale według komentarzy medialnych stała za tym presja polityczna.

Kosmiczna moc

Europejskie firmy z branży wiatrowej nie kryją, że kosmiczne wręcz postępy technologiczne Chin robią na nich wrażenie. W ubiegłym roku w regionie Sinciang odbył się pierwszy zakończony pełnym sukcesem... lot elektrowni wiatrowej S1500, największej na świecie platformy do

FOT. XINHUA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl a6f76f4988

pozyskiwania energii wiatrowej z dużych wysokości. Za megaprojektem stoi Beijing SAWES Energy Technology, przedsiębiorstwo współpracujące z Uniwersytetem Tsinghua i Chińską Akademią Nauk.

Jak informuje portal Gramwzielone.pl, projekt ma na celu wykorzystanie silnych i stabilnych prądów powietrznych występujących na wysokościach między 500 m a 10 tys. m nad ziemią. Turbina wiatrowa S1500 przypomina wypełniony helem sterowiec, o wymiarach 60 × 40 × 40 m, co czyni ją największym tego typu urządzeniem na świecie. Wewnątrz głównego płata oraz skrzydła pierścieniowego umieszczono 12 turbin-generatorów, z których każda ma moc 100 kW. Łączna moc systemu wynosi 1 MW, co odpowiada tradycyjnej turbinie wiatrowej o wysokości 100 m. Wytworzona energia przesyłana jest na ziemię za pomocą kabla energetycznego zintegrowanego z liną kotwiczącą.

Chińska technologia oprócz niepodważalnych zalet ma jedną bardzo istotną wadę. Jest realnym zagrożeniem dla lotnictwa cywilnego. Znalezienie bowiem przestrzeni, gdzie nie latają samoloty pasażerskie, z roku na rok staje się coraz trudniejsze.

Pojedyncza turbina wiatrowa na lądzie ma zazwyczaj moc 2-7 MW, a nowoczesne turbiny morskie osiągają 8-15 MW.

W polskim systemie energetycznym również przybywa mocy. Według danych PSE (wrzesień br.) największy udział w tzw. mocy osiągalnej systemu wciąż należy do węgla kamiennego i wynosi 28%. Tuż za nim plasuje się energetyka słoneczna, na trzecim miejscu znalazła się energetyka wiatrowa (ok. 11 GW, 14%).

W Polsce nie mamy dużych producentów chińskich morskich i lądowych turbin wiatrowych, takich jak Goldwind, Mingyang czy Envision Group. Chiński sektor wiatrowy jest jednak obecny na polskim rynku poprzez dostawy różnego rodzaju mniejszych systemów i komponentów. Na naszym rynku z powodzeniem działa chińska firma Jiangsu DHC, która dostarcza m.in. systemy hybrydowe (wiatrowo-słoneczne) i mniejsze turbiny wiatrowe. Pojawiają się też zapowiedzi i przymiarki do ekspansji ze strony chińskich dostawców np. łopat wirników.

Dziś w Polsce w branży wiatrowej wciąż dominują producenci zachodni. To m.in. piąty w światowym rankingu (po firmach z Chin) duński Vestas, posiadający zakłady produkcyjne w Szczecinie i Goleniowie, Siemens Gamesa, który jest dostawcą m.in. turbin dla powstającej morskiej farmy wiatrowej Baltica 2, oraz światowy gigant z Niemiec Nordex i Nordex/Acciona dostarczający urządzenia dla polskich farm lądowych.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl a6f76f4988



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Co po strzałach?

Nie ma wątpliwości, że atak terrorystyczny w Krakowie i jego ofiary ogniskują naszą uwagę i każą szukać odpowiedzi na nasuwające się pytania. Spróbuję pytania te uporządkować, według własnego klucza, i częściowo na nie odpowiedzieć.

Tym, co najistotniejsze, a zasadniczo pomijane, jest prosty, niewymagający badań, analiz balistycznych ani wiedzy specjalistycznej fakt: sprawcą był biały (akurat młody) mężczyzna. Czy zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego sprawcami podobnych aktów ślepej przemocy są właśnie biali mężczyźni o fascynacjach politycznych związanych z taką czy inną prawicą, konserwatyzmem, tradycyjnym światem „męskich" wartości? Dlaczego w przypadku takiej identyfikacji sprawcy olbrzymią trudność sprawia użycie wobec niego słowa terroryzm? Dlaczego w tym jednym przypadku rozpoczyna się przewidywalny do bólu scenariusz pogoni za wyjaśnieniami natury psychicznej, w trudnych doświadczeniach rodzinnych, środowiskowych? A po pierwszych doniesieniach natychmiast uruchamia się machina zrzucania winy na kogoś innego, obcego: migranta, Ukraińca, bo przecież Polak nie mógłby, nie byłby zdolny.

Pamięć ofiarom, cisza mordercom.

Tak też się działo, kiedy w Norwegii zamachowiec dokonywał z zimną krwią masakry na wyspie Utøya. W Polsce menda medialna Sakiewicz nadawał z rynku w Krakowie, że „dostał" informacje, że sprawcy to grupa cudzoziemców.

A co ma do rzeczy to, że był to mężczyzna? Otóż przemocowy model wychowawczy jest przemożnie obecny w kulturze. Szerzy się otwarcie kult strzelectwa i potrzeba powszechnego i niezbyt kontrolowanego dostępu do broni palnej. Gdyby wszyscy na krakowskim Rynku mieli AR-15, to do żadnej masakry by nie doszło – brzmi ta brednia w czystej formie.

Primo więc, to samotny, młody, biały mężczyzna. Reszta to przypisy, choć zasadniczo bez wyjątków. Secundo, miłośnik prawicowej nibywiedzy o świecie.

Dalej idą media. Od dekad powtarzam truizm: od kiedy media stały się biznesem, a informacja towarem, nie istnieją żadne granice odpowiedzialności i kultury. To się musi sprzedać teraz, trzeba zatem grzać: babcią sprawcy, sąsiadem, nauczycielem zamordowanej siostry, nauczycielką, co tylko się rusza, a miało kontakt ze sprawcą – trzeba wyeksplorować, wyżąć, wycisnąć.

Ukaże się nawet osamotniony, bo sensowny tekst – wywiad z Leną Fahre, dyrektorką Centrum 22 Lipca w Oslo, zamieszczony w „Gazecie Wyborczej". Mówi ona rzeczy oczywiste, ważne i kompletnie pomijane przez media w Polsce, które idą za krwią. Po pierwsze, cała uwaga powinna się skupiać na ofiarach, a nie na sprawcy, na świadkach, a nie na sprawcy, na pomocy świadkom, rannym i ich rodzinom. A nie na sprawcy. A co dzieje się w Polsce? Wszystko na odwrót. Reflektory na zabójcę, który co prawda pośmiertnie, ale osiąga sukces swojej zbrodniczej strategii.

Zostaje jeszcze gawędziarstwo rządzących: że państwo działa, że policjanci zostaną uhonorowani, a wiara w instytucje przywrócona. Tymczasem rusza jakaś gigantyczna zrzutka na leczenie rannych policjantów, którzy powstrzymali zamachowca, ryzykując życiem. Co zatem z naszą 20. gospodarką świata? Nie jest w stanie otoczyć opieką zdrowotną i rehabilitacyjną dwóch policjantów? Państwo nawet w takim wąskim zakresie nie stanie na wysokości zadania? Ich zdrowie i bezpieczeństwo to nie priorytet? Bo Putin? Bo czeka zakup nowych czołgów? Bo co jeszcze? A kłamcy z TV Republika nie spadnie włos z głowy i tylko RTV Euro AGD zachowa się jak należy i wycofa reklamy? To jest sprawnie funkcjonujące państwo?

Lena Fahre przypominała: „Doświadczenia Norwegii pokazują, że skutki podobnych wydarzeń mogą być odczuwalne przez wiele lat. Kiedy znikną telewizyjne wozy transmisyjne (...), tragedia nie skończy się dla tych, których bezpośrednio dotknęła. W Norwegii wiemy, że nawet po 15 latach osoby, które przeżyły zamachy, oraz rodziny ofiar nadal potrzebują pomocy i opieki, nie tylko ze strony państwa, ale również od społeczeństwa, od nas wszystkich. Tego musieliśmy się nauczyć". I jeszcze: „Potrzebujemy szybkich odpowiedzi: tak nas skonstruowano. Chcemy jak najszybciej wiedzieć, co się wydarzyło, dlaczego do tego doszło i kto jest winny. Wbrew odruchom musimy odnaleźć w sobie siłę, by cierpliwość wygrała". Ekspertka przestrzega przed przypisywaniem sprawcy motywów, zanim zostaną one ustalone. Jej zdaniem szczególnie niebezpieczne mogą się okazać plotki i niepełne informacje, które zaczynają funkcjonować jako fakty. Dlatego zachęca do korzystania z oficjalnych źródeł.

Nie komentowałem tragedii krakowskiej w mediach społecznościowych. I tu nie wymieniłem nazwiska ani norweskiego mordercy, ani polskiego. To jakieś minimum. Pamięć ofiarom, cisza mordercom. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a6f76f4988



NOWA KALEDONIA

Jedna z ostatnich kolonii na świecie

Maria Renaud

Nowa Kaledonia to archipelag na Oceanie Spokojnym, w rejonie Morza Koralowego, położony ok. 1,5 tys. km na wschód od wybrzeży Australii. W tej części świata znajdują się również dwie inne zamorskie wspólnoty Francji: Polinezja Francuska oraz Wallis i Futuna. Jest to na pewno strategiczny dla Europy punkt na mapie świata. Zgodnie z danymi z Insée, w 2025 r. Nową Kaledonię zamieszkiwało niecałe 265 tys. mieszkańców, a więc trochę mniej niż ma ich Białystok.

Historia tutejszej ludności rozpoczęła się jakieś 3 tys. lat temu wraz z pojawieniem się pierwszych osadników. Autochtonów nazywa się Kanakami, lecz stanowią oni mniej liczną część wyspiarskiej populacji. W 1774 r. dopłynął tutaj Brytyjczyk James Cook. Podejrzewam, że piękno tego miejsca musiało zrobić na nim piorunujące wrażenie. Kolor wody jest tam niesamowity. To tutaj znajduje się największa na świecie laguna, depcząca swoim rozmiarem (24 tys. km kw.) po piętach województwu lubelskiemu, a rafa koralowa zapiera dech w piersiach.

Ta perełka natury została wpisana przez UNESCO na Listę światowego dziedzictwa. Dopływający na statkach Europejczycy na pewno przecierali oczy ze zdumienia, widząc ten ziemski raj. James Cook nazwał go Nową Kaledonią (ang. New Caledonia), ponieważ górzysty krajobraz przywodził mu na myśl Kaledonię, czyli krainę historyczną odpowiadającą terenom dzisiejszej Szkocji.

Niestety, pojawienie się ludzi z Europy otworzyło zupełnie nowy rozdział w życiu Kanaków. I wkrótce przelało się mnóstwo krwi. Archipelagiem zainteresował się Napoleon III, który postanowił utworzyć tam więzienia dla skazańców. U wybrzeży zjawili się więc Francuzi, zajmując wyspę i mordując plemiona, które stanęły w obronie swoich ziem. Tubylcy nie tylko polegli w krwawych walkach, ale też zostali zdziesiątkowani przez choroby sprowadzone z Europy. W 1853 r. Nowa Kaledonia stała się oficjalnie francuską kolonią, a rdzennej ludności z każdym rokiem ubywało coraz bardziej…

Największa wyspa archipelagu to taki „ogórek" na mapie: rozciąga się na długości 500 km, przy czym jest szeroka na zaledwie 50 km. Żyjące obok siebie dwie społeczności zaczęły tworzyć dwa odrębne światy. Z jednej strony przybysze z Europy, których nazwano Kaldoszami, *les Caldoches*, panoszyli się, jakby byli u siebie, a z drugiej Kanakowie, *les Kanaks*, żywiący ogromną urazę za wyrządzone krzywdy i wtargnięcie na ich grunt. Historia już pokazała, że takie sytuacje nie kończą się dobrze. Pamięć pozostaje. Złość zwykle też. Kotłuje się jak magma w wulkanie, a w końcu dochodzi do erupcji…

Jest jednak coś jeszcze. Nowa Kaledonia ma ogromne złoża niklu – metalu, który przeżył ekonomiczny bum w latach 60. XX w., przyczyniając się do napływu tysięcy Francuzów

eprasa.pl a6f76f4988

Dopływający na statkach Europejczycy na pewno przecierali oczy ze zdumienia, widząc ten ziemski raj.

z kontynentu, a tym samym przekształcenia lokalnej gospodarki.

Procent rdzennej ludności w populacji archipelagu nadal malał, aż pewnego dnia Kanakowie zaczęli stanowić mniejszą część jego mieszkańców. Było więcej kolonizatorów niż autochtonów! Nic dziwnego, że do życia zaczęły się budzić ruchy nacjonalistyczne – powstało ugrupowanie FNLS, czyli Front Narodowego i Socjalistycznego Wyzwolenia Kanaków (fr. Front de Libération Nationale Kanak et Socialiste). Tym bardziej że w podobnym czasie leżąca nieco dalej na Pacyfiku wyspa Fidżi, będąca od 96 lat brytyjską kolonią, uzyskała niepodległość (1970). W jej ślady pięć lat później poszła dalsza „sąsiadka", Papua-Nowa Gwinea, stając się niezależnym państwem.

Te wydarzenia na pewno rozbudziły ogromne nadzieje w sercach Kanaków. Czas na Nową Kaledonię – pomyślało zapewne wielu z nich. Marzenie o suwerenności nabrało rumieńców, a marzenia trzeba przecież spełniać. Napięcia w społeczeństwie nadal rosły. Skomasowana od lat negatywna energia musiała się w końcu uwolnić. Na archipelagu mocno zawrzało i doszło do zamieszek. Do tego stopnia, że sytuacja zaniepokoiła Organizację Narodów Zjednoczonych, która w efekcie w 1986 r., ku niezadowoleniu francuskiego rządu, ponownie wpisała Nową Kaledonię na listę terytoriów niesamodzielnych, a więc takich, które jeszcze nie przeszły procesu dekolonizacji i nadal znajdują się pod administracją innego państwa.

Lista ta istnieje od 1945 r. i Nowa Kaledonia już na niej widniała w latach 1946-1947, po czym została wykreślona. I wróciła 40 lat później. Obecnie figuruje tam jedynie 17 terytoriów nadal uważanych za kolonie, w tym dwa francuskie: Nowa Kaledonia i Polinezja Francuska (od 2013). Epoka kolonializmu ewidentnie jeszcze nie dobiegła końca…

Pod koniec lat 80. sytuacja w Nowej Kaledonii zaczęła wymykać się spod kontroli. Doszło do tego, że nacjonaliści wzięli do niewoli żandarmów i przetrzymywali ich w jednej z grot na wyspie Ouvéa należącej do archipelagu. Zrobiło się niebezpiecznie, a rząd francuski w odpowiedzi na to zdarzenie wysłał wojsko. Nie udało się zakończyć tego polubownie i doszło do strzelaniny, w wyniku której zginęło 19 Kanaków i dwóch żołnierzy. Nikt nie chciał jednak dalszego przelewu krwi i wkrótce podpisano porozumienie z Matignon, kończące konflikt zbrojny. Po dziesięciu latach, w 1998 r. podpisano kolejne porozumienie, tym razem z Numea, które przewidywało m.in. organizację trzech referendów niepodległościowych w przyszłości.

Problemy, a w szczególności nierówności społeczne, mimo upływu lat nie zostały jednak zażegnane. Wspomniane referenda odbyły się

W 2025 r. Nową Kaledonię zamieszkiwało niecałe 265 tys. mieszkańców.

w latach 2018, 2020 i 2021 i każdorazowo kończyły się zwycięstwem zwolenników utrzymania więzi z Francją. Problem jednak pojawił się przy ostatnim głosowaniu. Kanakowie domagali się jego przełożenia w związku z pandemią COVID-19, na co rząd francuski nie wyraził zgody. W rezultacie postanowili je zbojkotować, nie stawiając się przy urnach. Efekt? Pozostali głosujący prawie jednogłośnie (ponad 96%) opowiedzieli się za tym, że nie chcą, by Nowa Kaledonia stała się suwerennym państwem. Summa summarum, zgodnie z umową, mieszkańcy mogli skorzystać z prawa do trzykrotnego głosowania i za każdym razem przeważyło „NIE" wobec propozycji niepodległości. To powinno zakończyć pewien rozdział. Ale tak się nie stało.

– Razem z moim partnerem na przełomie 2022 i 2023 r. pracowaliśmy w klinice weterynaryjnej w miejscowości Koné w Nowej Kaledonii – powiedziała mi Paulina, jedna z moich obserwatorek w sieci. – Ludzie byli tam bardzo sympatyczni i pozytywnie nastawieni do życia. Nie czuliśmy, że sytuacja jest napięta, chociaż inaczej mogło to wyglądać w stolicy i w kręgach rdzennych Kanaków.

Paulina obracała się przede wszystkim w środowisku Kaldoszy i osób, które przyjechały pracować na kontrakcie. Nic nie wskazywało na to, by wkrótce na archipelagu miało dojść do zamieszek. Zauważyła jednak, że społeczeństwo jest podzielone.

– Mówiono nam, by nie wychodzić po zmroku ani nie zapuszczać się na teren Kanaków – kontynuowała, przytaczając po chwili anegdotkę ze ślubu jednej z koleżanek, na który została zaproszona razem z partnerem. – Panna młoda powiedziała nam, by nie szukać przygód, tzn. nie wychodzić poza ogrodzenie, bo w okolicy mieszkają Kanakowie. Po zakończonej imprezie kilka osób na wszelki wypadek odprowadziło nas nawet do samochodu.

W 2024 r. Francja dolała oliwy do ognia, zmieniając zasady gry i przyznając prawo do głosowania każdemu obywatelowi francuskiemu mieszkającemu w Nowej Kaledonii od minimum 10 lat. Kanacy, stanowiący już i tak mniejszość liczebną (41% według danych Insée z 2019 r.), uznali, że jeszcze mniej słyszalny będzie ich głos w sprawach przyszłości archipelagu. I właśnie to stało się punktem zapalnym, który na nowo rozgrzał atmosferę do czerwoności. Wybuchły masowe protesty, które przerodziły się w poważne starcia ze służbami bezpieczeństwa, a wszystko relacjonowały media.

Ponieważ na Nową Kaledonię chrapkę mają Chiny, Francja zablokowała TikToka na obszarze archipelagu. Zdaniem polityków ta chińska aplikacja za pomocą filmików tylko wzniecała chaos. Potem temperatura trochę opadła, jednak temat jeszcze szerszej autonomii i dekolonizacji wciąż jest żywy. Trzeba poczekać na to, co przyniesie przyszłość.



Fragmenty książki Marii Renaud *Francja. Dalej niż Paryż*. Bezdroża, Gliwice 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a6f76f4988

NIEKOCHANA

Polska myśl szkoleniowa za granicą

Wojciech Kuczok

Polskie kluby zaliczają epizody w Lidze Mistrzów raz na 20 lat. Gdyby ktoś myślał, że to oddaje najdobitniej nędzę naszego futbolu, jest w błędzie. Tę nieobecność na szczytach można złożyć przecież na karb dysproporcji finansowych, systemu rozgrywek, który premiuje najbogatszych, poza tym nasze czołowe kluby zatrudniają Polaków w mniejszości. Jeśli coś rzeczywiście bezpośrednio świadczy na niekorzyść polskiej piłki, to europejskie losy naszych szkoleniowców.

W październiku tymczasowym trenerem Dynama Kijów został Maciej Kędziorek, dotychczasowy asystent Ihora Kostiuka. Trzymajmy za niego kciuki, bo to nasz absolutny rodzynek, jedyny polski coach doceniony w solidnym europejskim klubie. Solidnym, bo powiedzieć silnym byłoby nadużyciem. Dynamo w Europie nie gra, baraże o Ligę Konferencji przegrało z Karabachem, ale w tabeli ligi ukraińskiej utrzymuje miejsce na podium.

Oprócz Kędziorka nie mamy obecnie ż a d n e g o trenera zatrudnionego w którejkolwiek z pierwszych lig europejskich. Jedynie trzech pracuje na niższych szczeblach – gdzieś na Litwie, Słowacji i w niemieckiej lidze regionalnej. Poza kontynentem też polskiej myśli szkoleniowej ze świecą szukać – Maciej Skorża już w Japonii nie pracuje, zostali nam dwaj trenerzy na krańcach futbolowego świata, jeden pracuje w Indiach, drugi w Nowej Zelandii. Celowo nie podaję ich nazwisk, bo to poziom nauki wiązania butów piłkarskich, nie ma czym się chwalić w portfolio.

Nie ma nas i tak naprawdę nigdy nie było – polski trener jest zjawiskiem poza granicami naszego kraju nieznanym lub co gorsza znanym z obiegowej opinii o swojej skrajnej nieudolności.

Minęło właśnie 28 lat, od kiedy Henryk Kasperczak pożegnał się po dziewięciu meczach ligowych ze stanowiskiem pierwszego trenera korsykańskiej Bastii. Od tej pory żaden polski szkoleniowiec nie prowadził klubu z europejskiego TOP 5.



Eugen Polanski ma dar wyciągania maksimum z przeciętnych piłkarzy. Mecz Borussia Mönchengladbach – SV 07 Elversberg, 5 września 2026 r.

Tę koszmarną statystykę czysto teoretycznie poprawił Eugen Polanski, który przed miesiącem, po bęckach we Freiburgu, stracił posadę trenera Borussii Mönchengladbach. Tylko że mały Genek wyjechał z rodzinnego Sosnowca już jako trzylatek i z polską myślą szkoleniową zaczął mieć do czynienia dopiero jako reprezentant kadry narodowej Biało-Czerwonych.

Polanski przetrwał w Gladbach cały rok, zaczął wcale nieźle, po kilku spotkaniach zarząd podpisał z nim umowę, dzięki której z trenera tymczasowego stał się pełnoprawnym coachem. Przepracował sezon do końca, zapewnił klubowi spokojne utrzymanie w Bundeslidze, co od lat jest jedynym realnym celem Źrebaków. Latem ściągnięto

FOT. HORST MAUELSHAGEN/IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl a6f76f4988

z Legii zdolnego młodego stopera Jana Leszczyńskiego, który jednak na żadne sentymenty ze strony trenera rodaka liczyć nie mógł – Polanski wpuścił go ledwie na 13 minut. Skądinąd Polak miał pecha – u następcy Polanskiego natychmiast doczekał się miejsca w pierwszym składzie, ale zdążył zagrać dwa razy i na treningu doznał skomplikowanej kontuzji kolana. Obecnie Leszczyński jest wyłączony z gry na wiele miesięcy.

Jeśli niemieccy włodarze klubu stracili we wrześniu cierpliwość do Polanskiego z nadzieją na poprawę wyników, na razie muszą obejść się smakiem – Borussia pod wodzą nowego coacha zagnieździła się na ostatnim miejscu w tabeli i wydaje się murowanym kandydatem do spadku. Polanski, choć wychowany w Niemczech i reprezentujący ten kraj w kolejnych juniorskich kadrach (dopiero jako senior wybrał grę dla Polski), najwyraźniej ma zakodowany w genach dar wyciągania maksimum z piłkarzy wysoce przeciętnych.

Od września pozostaje bez pracy – w kontekście prawdopodobnego zwolnienia Jana Urbana po meczu ze Szwecją zalecałbym rozważenie tej kandydatury. Cezary Kulesza wykazałby się sprytem, dał Bogu świeczkę i diabłu ogarek, bo przecie Herr Eugen po polsku mówi biegle, a ma dwa paszporty – iście salomonowe rozwiązanie wobec odwiecznego sporu między zwolennikami frakcji zagranicznej i rodzimej.

W kadrze artystów miałby niewielu – ale kto zajął z Gladbach 12. miejsce w lidze niemieckiej, dałby radę i z polskimi piłkarzami osiągnąć wyniki nad stan. Polanski jest ledwie dwa lata starszy od Roberta Lewandowskiego, panowie pamiętają się jeszcze z reprezentacji – taki trener u progu kariery byłby też odważną inwestycją w przyszłość. No i jednak śmiem twierdzić, że sezon przepracowany w Bundeslidze to dyplom uniwersytecki w porównaniu z ekstraklasowym przedszkolem.

W ciągu bez mała trzech dekad nikt z naszych trenerów nawet nie powąchał ławki w poważnej lidze. Franz Smuda po rozstaniu z kadrą narodową dostał szansę w Ratyzbonie i jak przejął klub na dnie drugiej Bundesligi, tak go tam pozostawił, przegrywając dwie trzecie meczów. Nie przeszkodziło mu to wrócić do Wisły Kraków, gdzie znalazł spokojną posadę na dwa lata. To jest najlepszy probierz możliwości polskiej myśli szkoleniowej w skali europejskiej.

Owe 28 lat przerwy zawdzięczamy krótkiemu stażowi Kasperczaka w Ligue 1 – latem 1998 r. zaczęło się całkiem nieźle, po przejęciu drużyny Polak dotarł z nią do półfinału Pucharu Intertoto, ale w lidze już wszystko klapnęło jak przekłuty balon. Kasperczak miał w zespole Piotra Świerczewskiego, do którego z jego inicjatywy dołączył Mariusz Piekarski – i nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Naszego trenera zwolniono już w październiku, potem zarabiał na życie na innych kontynentach, by po kilku latach stać się topowym trenerem Ekstraklasy – stworzył najpotężniejszą Wisłę w czasach Cupiała, zdobył z nią dwa mistrzostwa Polski i dzielnie rywalizował w pucharach (pamiętne dwumecze z Parmą, Schalke i Lazio).

Europa jednak nie upomniała się o niego, Kasperczak kontynuował karierę w Afryce, potem jeszcze zaliczył spektakularną katastrofę w Zabrzu, gdzie dostał skład na mistrzostwo Polski, a spadł z Górnikiem z Ekstraklasy. Tak naprawdę ostatnie sukcesy naszego fachowca w ligach z europejskiego topu zawdzięczamy wynikom Kasperczaka jeszcze z lat 80. i początku 90. Jako coach Montpellier został nawet wybrany we Francji na ligowego trenera roku.

Nasz wciąż jeszcze obecny selekcjoner Jan Urban, choć pamięta mu się jako sukces „odkrycie" obecnej gwiazdy hiszpańskiej piłki, Mikela Merina, przed kilkunastu laty prowadził Osasunę ledwie kilka miesięcy w Segunda División.

W Anglii i Włoszech o polskich trenerach nie słyszano nigdy. Największe sukcesy Polacy odnosili w Grecji, ale było to za króla Ćwieczka. Kazimierz Górski po zakończeniu pracy z reprezentacją Polski zdobywał mistrzostwa Grecji z Panathinaikosem i Olympiakosem, podobnie rzecz się miała z Jackiem Gmochem – także mistrzostwo z „wszechateńskimi", a potem triumf z prowincjonalną Larissą, gdzie do dziś ma status trenerskiej legendy. Trzeba jednak pamiętać, że Grecy mieli w tamtym czasie ligę bardzo przeciętną, słabszą nawet od naszej Ekstraklasy.

Nie była zatem nasza myśl szkoleniowa kochana nigdy i nigdzie poza krajem, w którym też raczej przyświeca jej chwalcom zasada „jak się sami nie docenimy, to nikt nas nie doceni".

Piłkarzy klasy światowej mamy, sędziów takoż – Szymon Marciniak w swoim zawodzie osiągnął absolutne szczyty, trudno zatem nie zauważyć drastycznego rozziewu między ich renomą a opinią o naszym szkoleniu. Albo mamy trenerów tak genialnych, że świat za nimi nie nadąża, nie poznaje się na ich talencie i metodach wyprzedzających swoją epokę, albo jesteśmy krajem najgorszych trenerów na kuli ziemskiej, od których zasadniczo stroni się jak od trędowatych.

Mam nadzieję, że ten problemat zostanie rozstrzygnięty jeszcze za mojego życia. ■

Nie mamy obecnie żadnego trenera zatrudnionego w którejkolwiek z pierwszych lig europejskich.

Tymczasowy trener Dynama Kijów, Maciej Kędziorek, to nasz absolutny rodzynek, jedyny polski coach doceniony w solidnym europejskim klubie.

eprasa.pl a6f76f4988



Wielki powrót Meli Muter

Daniel Wójtowicz

W prywatnej podwarszawskiej galerii Villa la Fleur trwa wystawa malarstwa Meli Muter (1876-1967). W komentarzach artystka określana jest jako jedna z największych polskich malarek XX w.

Muter była do tej pory mało popularna. W polskich muzeach do niedawna można było znaleźć tylko kilkanaście jej obrazów. Ostatnia większa, przekrojowa prezentacja jej dorobku miała miejsce ponad 30 lat temu w warszawskim Muzeum Narodowym – pokazano wówczas ok. 60 prac wypożyczonych z kolekcji prywatnej. Teraz Villa la Fleur prezentuje ich... ponad 200!

Mela Muter (Maria Melania Mutermilch), Polka z bogatej żydowskiej rodziny Klingslandów z Warszawy, zabłysnęła po 1902 r. w słynnym środowisku École de Paris jako malarka, jednocześnie kobieta o bardzo dużej pewności siebie i umiejętności kreowania – dziś byśmy powiedzieli – własnego wizerunku. W Paryżu prowadziła dom otwarty. W jej znanym salonie bywali najwięksi ze świata kultury: malarze, pisarze i poeci, w tym polscy, tacy jak Gottlieb, Reymont czy Staff. To dość mocno osadziło ją w paryskich kręgach artystycznych. Sprzyjało pozyskiwaniu zamożnych nabywców jej sztuki i zleceniodawców portretów, a wykonane prace szybko przyciągały innych zainteresowanych. Stała się nie tylko bogata, ale i bardzo znana.

Wystawa w kameralnej Villi la Fleur już od wejścia nie pozostawia wątpliwości, że to portrety są najbardziej charakterystyczną i znaczącą częścią dorobku artystki. Tworzyła je w latach, kiedy fotografia nie była jeszcze tak popularna, natomiast malarstwo – w impresjonizmie, rodzącym się ekspresjonizmie, fowizmie i wielu innych nurtach – przeżywało erupcję. Portrety autorstwa Meli Muter zdają się czerpać z tego garściami: pełnię kolorów, śmiałą grę światła, impresjonistyczną lekkość obserwacji i kompozycji, swobodną linię oraz geometrię. Do tego dochodzą wyraźne ślady użycia pędzla i grube fałdy nierozprowadzonej farby. Można dostrzec nawet okiem laika, że są to bardzo nowoczesne przejawy malarstwa tradycyjnego (do którego zaliczyć należy dość dosłowne portrety). I to zapewne robiło wrażenie na ówczesnych klientach: być zobrazowanym „po nowemu", chociaż ciągle „po bożemu". Dziś nas już te artystyczno-warsztatowe aspekty nie zdumiewają, nasze oczy są już z tym oswojone. Tym, co obecnie wciąż zachwyca i robi wrażenie, jest ekspresjonistyczny ton tych pozornie tradycyjnych portretów. Z każdej twarzy emanują złożone emocje, widzimy już nie tylko powierzchowność, lecz także wnętrze portretowanej osoby.

Ta ogromna wnikliwość pokazuje wielką intuicję psychologiczną malarki. Każda portretowana osoba zaciekawia, przed każdym obrazem można by pozostać dłużej. Tym bardziej że dostrzec wtedy można istotne czy intrygujące szczegóły w tle – jak choćby twarz cyrkowego błazna za sylwetką starego, zabiedzonego i śmiertelnie smutnego żydowskiego sprzedawcy zabawek...

Patrząc na tę ukrytą moc portretów Meli Muter, trzeba pamiętać, że tworzyła je w chwili, gdy ekspresjonizm w malarstwie dopiero się rodził. Nie sposób zatem nie dopisać naszej artystki do jego współtwórców. To mogłoby wystarczyć na jej pomnik.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl a6f76f4988

Zaskakujący okazał się dla mnie także nastrój i wybór obrazowanych postaci. Mela Muter śladem wielkich innowatorów malarstwa zdecydowała się na portretowanie również osób „zwykłych", w tym z marginesu społecznego – często biednych, zagubionych, starych.

„Za bardzo kocham. Kocham wszystko w życiu – chmury i kolory, dźwięki i piękne słowa. Ale nade wszystko kocham ludzi", napisała w liście do przyjaciółki. Jeśli rzeczywiście była to miłość, można ją odebrać raczej jako opartą na współczuciu, a nie na zachwycie. Starzy są zastygli, matki w swoim macierzyństwie – umęczone, a dzieci (w ekspresjonizmie przypominającym Schielego) – okropnie brzydkie. Brak radości u tych postaci można łatwo wytłumaczyć ciężarem życia, choć wiadomo, że takie ich przedstawienie nie było jedynym możliwym.

Teoretyków zachwyca, że malarka objawiła się jako prekursorka mizerabilizmu – stylu w malarstwie koncentrującym się na cierpieniu, biedzie i odrzuceniu, który rozwinął się szerzej dopiero kilkadziesiąt lat później, po II wojnie światowej. Był to ważny ruch w sztuce, który musiał mieć wpływ na przemiany społeczne na Zachodzie jako sprzeciw zarówno wobec konsumpcjonizmu, jak i samozadowolenia elit. Mela Muter już w latach 20. XX w. okazała się jego wizjonerką.



Matka z dziećmi, kolekcja Marka Roeflera, Villa la Fleur.



Sudańczycy, kolekcja Musée d'Art Moderne w Paryżu.

Wspomniany smutek wyziera ze wszystkich wizerunków osób z salonów. Łatwiej go zrozumieć w twarzy chorego na nowotwór Jana Żyznowskiego – zaprzyjaźnionego pisarza, malarza i mecenasa Meli Muter, portretowanego w roku jego śmierci, 1924. Trudniej przyjąć go w obliczach wielu innych osób, których nie kojarzymy z żadnym szczególnym cierpieniem, raczej z zamożnością i życiowym sukcesem. Nastrój taki widoczny jest również w autoportretach, i to z lat, gdy kariera artystki rozkwitała.

Wszystkie postacie są zadumane, a może raczej niepewne, jakby ciążyła im jakaś tajemnica. W dodatku większość nie patrzy wprost na nas, lecz piękne zwykle oczy kieruje gdzie indziej, jakby uciekając od spotkania z widzem. Dlaczego w tych postaciach nie ma żadnej radości? Pytanie to pozostało w mojej głowie jako najsilniejsze echo wystawy.

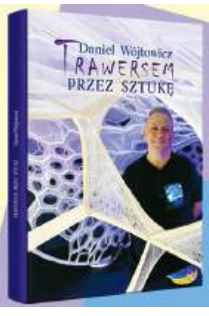
„Miotamy się w nużących mrokach, jak ludzie z X czy XI w. Tylko miłość i sztuka nas ratują. Trzeba je pielęgnować bardziej niż kiedykolwiek, by przetrwać", pisała przed 1920 r. w liście do swojego partnera (po rozwodzie z Michałem Mutermilchem), znanego socjalisty Raymonda Lefebvre'a, pokazując tym samym zatrucie dekadentyzmem i głębokim pesymizmem.

Portrety powstawały w czasach, gdy świadomość Europejczyków przywalona była bezmiarem tragedii I wojny światowej i jej konsekwencji. To, wraz z bardziej odległą, ale we Francji głęboką traumą Komuny Paryskiej, jak rak wgryzać się musiało w psychikę ludzi myślących, czego sami mogli nie być w pełni świadomi. Ale dostrzegała to swoimi oczami i intuicją przenikliwa i genialna artystka. Bohaterowie jej portretów nosili w sobie (co widzimy na obrazach) brak wiary w sens rozwoju ludzkości i ból niepewności. Lęk o przyszłość. Historia miała pokazać, jak bardzo uzasadniony...

Ciekawe, jak Mela Muter portretowałaby nas teraz? Czy w nasze twarze wpisywałaby dumę ze stanu, do którego doprowadziliśmy świat? Czy wstyd i rozczarowanie? Czy nie odzwierciedlałyby lęku przed kolejnymi tragediami?

Mela Muter. Współ-odczuwanie świata
do 28 lutego 2027
Muzeum Villa la Fleur w Konstancinie-Jeziornie

TRAWERSEM PRZEZ SZTUKĘ
– pięknie ilustrowany album Daniela Wójtowicza
125 zł
200 stron relacji z najważniejszych wystaw
malarstwa współczesnego w Polsce i w Europie
Zamów na: **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. **Wysyłka GRATIS**



eprasa.pl a6f76f4988

KURTYNA W GÓRĘ

Wirus fanatyzmu

Dramat Arthura Millera cieszy się zasłużoną sławą – autor poddał w nim wiwisekcji szaleństwo fanatyzmu, ukazał mechanizm wrogości, jaką od wieków każda wspólnota żywiła wobec obcych czy odszczepieńców. Posłużył się przy tym prawdziwą historią z Salem z 1692 r., kiedy tamtejsza władza rozpętała walkę z czarownicami, choć tak naprawdę chodziło o prawo własności ziemi. Pisarz potraktował te wydarzenia jako model starcia swoich i obcych, mający w tle histerię antykomunistyczną w USA i poczynania komisji senatora McCarthy'ego, która tropiła nowe czarownice – komunistów i domniemanych komunistów. Powstał więc utwór uniwersalny, pobudzający do refleksji nad naszą współczesnością.

Spektakl Tomasza Fryzła w Teatrze Polskim krąży wokół tych porównań, choć nie ucieka się do łatwych aktualizacji. Rzecz toczy się w imponującej scenografii Anny Oramus. Na scenie ogromną przestrzeń zajmuje amfiteatr, nad którego centrum lewituje ciało córki pastora, Betty Parris (Dorota Bzdyla). Amfiteatr czasem obraca się majestatycznie, aby ukazać swoje mury i czeluście. Część akcji przenosi się na wybieg, bliżej publiczności. W tej budzącej respekt przestrzeni rozgrywa się opowieść o postępującym szaleństwie i zimnej logice raz uruchomionego odwetu – nawet ci, którzy poniewczasie dostrzegają tak jak pastor Hale (Modest Ruciński ukazuje przemianę duchową bohatera) błędy w uporczywym polowaniu na winnych, nie mogą znaleźć sposobu zatrzymania tego mechanizmu.



Arthur Miller, „Czarownice z Salem", tłumaczenie Anna Bańkowska, reżyseria Tomasz Fryzeł, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie, premiera 22 października 2026

Koło zamachowe przemocy jest osią spektaklu, w którym toczy się walka o prawdę i godność. Przewodzi tej walce Rebecca Nurse (pomnikowa Grażyna Barszczewska), szanowana, co nie uchroni jej przed śmiercią, tak jak wielu innych oskarżonych przez „opętane" dziewczyny, którym przewodzi bezwzględna Abigail (mocna rola Irminy Liszkowskiej). Nie uchroni też Johna Proctora (zagranego przejmująco przez Maksymiliana Rogackiego), który nie chce się wyrzec prawa do dobrego imienia.

Tomasz Miłkowski



„E:/ migranci", tekst i reżyseria Mikita Iłynczyk, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera 6 listopada 2026

Kandydat na Polaka

Najnowszy spektakl Narodowego Starego Teatru w Krakowie jest luźną parafrazą „Emigrantów" Sławomira Mrożka. Wyreżyserowane przez Mikitę Iłynczyka przedstawienie pokazano w 50. rocznicę premiery krakowskich „Emigrantów" Andrzeja Wajdy. Na najmniejszej ze scen Starego scenografka Justyna Elminowska zbudowała futurystyczną kapsułę. Jedną z wielu, w których egzystują sportretowani przez Michała Majnicza i Adama Nawojczyka kandydaci na Polaków. Jesteśmy oto w niedalekiej przyszłości, w której nasza zamożna i szczęśliwa ojczyzna stała się trudno dostępnym nie tylko dla „obcych", ale nawet dla mających polskie korzenie obcokrajowców, rajem na ziemi. Do tego raju pragną się dostać wszyscy – i z dziko kapitalistycznej Ameryki, i z biednej i autorytarnej Białorusi. Przyglądamy się procesowi ich „adaptacji i repolonizacji", która okazuje się bezlitosnym wyzyskiem. Spektakl zaczyna się zjadliwą satyrą na rodzimą gościnność, jak w scenie nauki do egzaminu z polskości, do którego absurdalne pytania zaczerpnięto z autentycznych testów dla dzisiejszych kandydatów na obywateli. Chwilami dość publicystyczną, jednak zręcznie wygrywaną przez duet Majnicz-Nawojczyk, z pomocą wcielającej się w serię postaci kobiet polskich Anny Paruszyńskiej. I właśnie humor wraz z warstwą wizualną stanowi najmocniejszy element spektaklu. W finale całość niepotrzebnie uderza w melodramatyczne tony.

Michał Centkowski

ZAGRAJĄ

ROGUCKI x 30

ROGUCKI x 30 to projekt rozłożony na lata 2026-2028, autorska opowieść Piotra Roguckiego z okazji 30 lat na scenie. Pierwszą odsłoną jest jesienna trasa koncertowa Rogucki & Normalni Ludzie pod hasłem „Transmutacje", podczas której artysta prezentuje przekrojowo swoją twórczość – indywidualną oraz znaną z innych kluczowych projektów, takich jak COMA i Karaś/Rogucki. Znane utwory zaskakują nowymi aranżacjami i brzmieniem.

(rp)

29 listopada, Katowice, Miasto Ogrodów, godz. 19
15 grudnia, Warszawa, Stodoła, godz. 19.30



Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, HAWA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a6f76f4988

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Odpust narodowy

Polska podzielona, a przepaść między nami coraz głębsza, dno pewnie gdzieś jest, ale go nie widać. Po przeszło dekadzie od rozpoczęcia wojny PiS o Trybunał Konstytucyjny, po latach systematycznego znieważania i ośmieszania tej ważnej instytucji teraz wojna, bo demokraci chcą pozbawić Kaczyńskiego kontroli nad Trybunałem. Zbliża się czas, gdy poziom nienawiści w naszych waśniach może doprowadzić do fizycznych aktów przemocy na tle politycznym, płynących z innych źródeł niż akt terrorystyczny w Krakowie. Czasami, tylko na chwilę, by nie zatruć organizmu, zerkam w otchłanie Telewizji Republika. Seanse organizowane przez nich pod Trybunałem to jarmark, odpust i kiepski kabaret, śpiewający i okrutnie fałszujący poseł Wójcik, jacyś kretyni bajdurzący o zamachu stanu, przy okazji handel patriotycznymi zegarkami. Do tej pory nie wiedzieliśmy, że mogą być polskie patriotyczne zegarki chińskiej produkcji. Ciągłe żebranie o pieniądze. Republika nie ma czym karmić swoich nienawistnych propagandzistów. Jak się poświęci kilka minut na oglądanie tego spektaklu, a jest się człowiekiem myślącym i uczciwym, to nie można już być wyznawcą naszej narodowej prawicy. Nie ma szans.

•

Zamach terrorystyczny w Krakowie. Doskoczyliśmy więc do zachodniego świata również w złym sensie. Polska kreowała się na kraj niewinny, nie palono czarownic, tolerancja przez wieki, ale przecież wiemy, że nie było to takie proste. Wojny domowe, zabójstwo prezydenta Narutowicza, Bereza Kartuska, Jedwabne – no tak, ale generalnie zdawało się, że mord i okrucieństwo nie są w naszych genach. Więc teraz tracimy niewinność, zapewne wyimaginowaną. Nożownicy w szkołach i Kraków. Obowiązująca na prawicy narracja (zawsze tworzą tam takie myślowe gotowe formy) brzmi: „W Krakowie nie było policji, bo pilnuje w Warszawie Trybunału”. Nieważne, że policjanci pierwsze strzały oddali do napastnika po trzech minutach. Drugi gotowiec: zamachowiec był lewakiem. Nasza strona sugeruje, że to prawicowiec. A może był pośrodku? Albo nigdzie. Polecam znakomity film François Ozona „Obcy”, na podstawie słynnej powieści Camusa. Morderca może być moralnie pusty w środku, chociaż ładnie się uśmiecha i prowadzi normalne i niegłupie życie. Najgorliwsi wyznawcy prawicy wołają, że to wina naszej obecności w Unii i otwartych granic. Od razu po tragedii pierwsze pytanie naszych nacjonalistów było: czy to Ukrainiec? Ogromny zawód, że rdzenny Polak.

Znajoma pisze, że w czas takiej tragedii powinno się milczeć, a nie zabierać głos i go upubliczniać. Zacne, ale naiwne. Jak poczciwi sobie pomilczą, to w milczenie wtargnie rzeka kłamstw, pomówień i fałszywych informacji. Otworzyliśmy szeroko bramy, by wszyscy się wypowiadali, też ci podli i głupi. Nie da się już tego zakazać, a ograniczać trudno, bo gdzie granice? Poza tym działa mechanizm ciekawości, ludzki, pierwotny instynkt – gdy dzieje się coś dramatycznego, za wszelką cenę chcemy o tym wiedzieć jak najwięcej. W Krakowie upadły dwie wykreowane niedawno niechęci prawicy: do lekarzy i do policjantów. Jedni i drudzy zachowali się z oddaniem i heroicznie.

Z inspiracji Republiki, mimo żałoby narodowej, pod budynkiem Trybunału jarmarczne pląsy, seanse nienawiści i śpiewy, czasami wulgarne. Wiele o nie Tusku – takie tuskopolo. Prezes Republiki stoi na krakowskim Rynku tuż po zamachu i gada, że nie ma policji, bo wysłano ją do Warszawy pacyfikować Trybunał. Za plecami ma policjanta, którego próbuje zakryć swoją tuszą. Ogólne oburzenie, więc w Republice mówią: „Jedną z ofiar tej strasznej tragedii jest bez wątpienia prezes naszej stacji”. Proszę mu ode mnie złożyć wyrazy współczucia.

Poziom nienawiści może doprowadzić do fizycznych aktów przemocy na tle politycznym.

Różne są drogi, jakimi chodzi nasz żal i wewnętrzne poruszenie. Najbardziej mnie wzrusza postać siostry mordercy, Magdaleny Oksińskiej. Miała 21 lat. Intrygująca, zdolna, początkująca, a już dojrzała malarka. W jej obrazach jest ukryty mroczny dramat, jakby oczekiwanie na katastrofę. Osoba utalentowana artystycznie i bogata duchowo umiera jakby podwójnie.

•

Marsz w Święto Niepodległości w Warszawie w kiepskim czasie dla prawicy, bo głupio rozrabiać. Po zamachu ludzie chcą spokoju. Jakże znamienna była ta cała ikonografia marszu, a też narodowego odpustu przed Trybunałem, kicz, że aż zęby bolą. Brzydota formy i treści, ludzie zaś często mało urodziwi, bo też z mrocznych zakątków naszej prowincji. I wszystko na pohybel Tuskowi. Jakby to był główny cel zgromadzenia. A więc nienawiść i nacjonalizm przebrany za patriotyzm w stanie płynnym sączący się zewsząd. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a6f76f4988

HISTORIE Z IZBY PRZYJĘĆ

Na izbę wchodzi się jako nieopierzony lekarz, a wychodzi jako doświadczony specjalista

Rozmawia Beata Igielska



lek. WOJCIECH J. FALĘCKI i dr hab. n. med. MICHAŁ LIPA

Jak wygląda dyżur na izbie przyjęć – czy jest typowy, czy każdy jest inny?

Michał Lipa: Idąc na dyżur, zawsze marzę o tym, żeby było spokojnie. Każdy dyżurny, który zakłada sobie, że w wolnej chwili np. poczyta książkę, z reguły jej nawet nie otwiera, bo pracy jest tyle, że po prostu się nie da.

Z jakimi przypadkami najczęściej pacjentki trafiają na izbę przyjęć?

Wojciech J. Falęcki: Na izbie przyjęć dzieje się absolutnie wszystko. Kiedy młody lekarz trafia tam po raz pierwszy, ma wrażenie, jakby znalazł się na froncie. Ja wcześniej pracowałem na sali porodowej, patologii ciąży i na oddziale ginekologicznym – dopiero później trafiłem na izbę. Byłem wtedy już „odchowanym" rezydentem trzeciego roku, ale i tak przez długi czas bałem się jej jak diabeł święconej wody: że sobie nie poradzę, że będzie za trudno, za szybko.

Przez pierwsze miesiące codziennie zaczynałem pracę o 7.30 i kończyłem po 15.00. O wszystko pytałem. Każda wydana przez nas decyzja powinna być weryfikowana przez specjalistę. Jeśli chodziło o ginekologię – szedłem do doświadczonych koleżanek. Jeśli o perinatologię – do naszej szefowej. Jeśli o USG – do specjalistów od diagnostyki obrazowej, prosząc wręcz: „proszę spojrzeć, bo jeszcze się uczę".

Pacjentki często zapominają, że izba przyjęć służy przede wszystkim do kwalifikacji do hospitalizacji, a nie do rozwiązywania problemów, które można załatwić ambulatoryjnie. W ciągu dyżuru

Lek. Wojciech J. Falęcki – specjalista położnictwa i ginekologii, magister fizjoterapii, na co dzień związany z Kliniką Położnictwa i Perinatologii Państwowego Instytutu Medycznego MSWiA, gdzie pracuje jako starszy asystent.

Dr hab. n. med. i n. o zdr. Michał Lipa, prof. PIM MSWiA – specjalista w dziedzinie położnictwa i ginekologii oraz perinatologii. Oobecnie związany z Kliniką Położnictwa i Perinatologii Państwowego Instytutu Medycznego MSWiA w Warszawie.

eprasa.pl a6f76f4988

przyjmujemy ich kilkadziesiąt – część wymaga przyjęcia na oddział, część szczegółowej diagnostyki, część jedynie konsultacji i odesłania z zaleceniami. Na izbę przyjęć wchodzi się jako nieopierzony lekarz, a wychodzi się jako naprawdę doświadczony specjalista.

Ogromną rolę odgrywają też położne – doświadczone, uważne, często ratujące nas w codziennej pracy. Pamiętam Grażynę Kapacką, kiedy po raz pierwszy robiłem USG dopochwowe i nie mogłem znaleźć jajnika. Wzięła moją rękę pod łokieć i spokojnie powiedziała: „Doktorze, jajnik jest bardziej po lewej". Gdyby nie ona, pewnie szukałbym go do dziś. Położne to naprawdę dobre duchy izby przyjęć – czyste złoto. Często zanim lekarz zobaczy pacjentkę, one mają już wykonane KTG, zmierzone ciśnienie i przygotowaną całą dokumentację.

M.L.: Praca z dobrą, doświadczoną, „rasową" położną od początku dyżuru dawała poczucie, że współpraca będzie układała się dobrze. Są takie położne, które działają bardzo sprawnie, bo wiedzą, że jest kolejka i trzeba pracować szybko. Wtedy wchodzimy do pacjentki i często tylko „stawiamy kropkę nad i" – rozumiemy się bez słów. Dzięki temu wszystko idzie sprawnie i płynnie.

Starsi koledzy, bardziej doświadczeni i utytułowani, również często wspominają swoje pierwsze dyżury na izbie przyjęć. Krążą opowieści o sytuacjach, w których młoda lekarka zbiera wywiad, nagle się zawiesza i nie wie, co dalej zrobić. Wtedy położna przejmuje inicjatywę: „To teraz pani doktor zbada pacjentkę ginekologicznie. Prawda, pani doktor?" – „Prawda". „A teraz pani doktor już zbadała i nie ma odchyleń, więc wykonamy USG, prawda, pani doktor?" – „Prawda". (…)

A co się trafia na izbie przyjęć?

M.L.: Najczęściej to są klasyczne przypadki – plamienia lub krwawienia we wczesnej ciąży, czasem około 6. tygodnia. Zdarzają się też pacjentki z bardzo wczesną ciążą, które jeszcze nie wiedzą, co dalej robić, albo zgłaszają się z różnymi bólami brzucha, na przykład w 20. czy 30. tygodniu ciąży. Do tego dochodzą sytuacje, gdy pacjentka zgłasza słabsze odczuwanie ruchów dziecka. W takich przypadkach staram się przede wszystkim edukować i tłumaczyć, że nie każda sytuacja wymaga natychmiastowego przyjazdu na izbę przyjęć. Ale jeśli pacjentka już się pojawi i została zarejestrowana, to mam obowiązek ją skonsultować – robię to sprawnie i rzeczowo. Na koniec mówię zwykle: „na przyszłość radzę pani, żeby w takich sytuacjach nie jechać od razu do szpitala, bo to może poczekać". Staram się już wtedy nie robić dodatkowych wykładów.

W.J.F.: Na początku pracy była w nas ogromna chęć zmieniania świata i edukowania pacjentek. Dziś mówimy już tylko to, co rzeczywiście trzeba powiedzieć – konsultacja nie trwa pół godziny. Po pierwsze, pamiętamy, że za drzwiami czekają kolejne pacjentki, a po drugie często widzimy, że dana sytuacja nie wymaga bardzo rozbudowanej interwencji – jest zwyczajnie prosta. Niemniej każdą pacjentką zgłaszającą się na izbę przyjęć trzeba się zająć i każdej trzeba poświęcić uwagę.

Czy pacjentki podważają wasze wnioski z konsultacji na rzecz porad ChataGPT?

M.L.: Nie – z reguły, jeśli lekarz potrafi dobrze porozmawiać z pacjentką, to ona mu zaufa. Natomiast jeśli nie umie przeprowadzić rozmowy, jest zdenerwowany albo zagubiony i nie wie już, jak poprowadzić konsultację, pacjentka to wyczuje i wtedy zaufanie się nie buduje. Na izbie przyjęć często zdarza się też, że weryfikujemy opinie lekarzy z różnych placówek sieciowych. To klasyczny schemat: „Doktor powiedział, że jest dobrze, ale niech pani pojedzie do szpitala, to jeszcze sprawdzą". W takich sytuacjach pacjentki przyjeżdżają z bardzo niepokojącymi informacjami – czasem brzmi to jak najgorsze scenariusze, które niepotrzebnie eskalują lęk. Zdarza się, że pacjentka mówi wprost: „Doktor przez telefon powiedział, że mogę zaraz stracić ciążę". (…)

Coraz częściej pacjentki przychodzą na konsultację z wydrukiem rozpoznań wygenerowanych przez ChatGPT.

M.L.: Teraz coraz częściej zdarza się, że pacjentki przychodzą na konsultację z wydrukiem rozpoznań wygenerowanych przez ChatGPT i konfrontują je z naszą oceną kliniczną. Zwykle te odpowiedzi przedstawiają najczarniejsze scenariusze – utratę ciąży, a w przypadku ciąży pozamacicznej czy poronienia nawet zagrożenie życia. Mam nadzieję, że te algorytmy będą się rozwijały i staną się bardziej precyzyjne. Z drugiej strony mówi się też o tym, że udzielanie porad medycznych i prawnych przez takie narzędzia może być w przyszłości ograniczane lub wręcz zdelegalizowane – żeby nie odpowiadały na pytania typu: „co sądzisz o mojej morfologii" czy „czy powinnam iść do lekarza". Na razie jednak my – lekarze pracujący na izbie przyjęć – coraz częściej zderzamy się z tym, co „powiedział czat GPT".

Opowiedzcie coś szczególnie wzruszającego.

M.L.: Historia z izby przyjęć, ginekologiczna, która bardzo mi zapadła w pamięć. Pacjentka przyszła i od razu było widać, że siada niemal na pół krzesełka – okazało się, że ma duży ropień. Dodatkowo wyszło, że następnego dnia ma casting, śpiewa w operze. Poprosiła, żebym jej pomógł, bo bardzo zależy jej na tym wydarzeniu. W izbie przyjęć naciąłem ropień, ewakuowałem treść i zaopatrzyłem zmianę. Po trzech, czterech dniach wróciła na kontrolę. Powiedziała: „Doktorze, wygrałam casting, wyjeżdżam do Niemiec, przede mną duża kariera. Zapamiętałam pana". Później nawet mnie odnalazła i specjalnie przyjechała… To było bardzo wzruszające. W tym całym natłoku pracy okazuje się, że ktoś nas naprawdę dobrze pamięta – jeśli w trudnej sytuacji po prostu profesjonalnie mu się pomoże.

Młodzi lekarze powinni mieć świadomość, że praca na izbie przyjęć jest żmudna i często powtarzalna, ale

FOT. ANETA MIKULSKA

eprasa.pl a6f76f4988

właśnie takie momenty sprawiają, że zostaje ona w pamięci pacjentów na długo.

W.J.F.: I jeszcze jedno. W izbie przyjęć mamy dość duże możliwości diagnostyczne, szczególnie teraz, gdy pracujemy w szpitalu wieloprofilowym. Jeśli lekarz chce uzyskać pełny obraz stanu zdrowia pacjentki, może ją w zasadzie „przeskanować" od stóp do głów i bardzo szeroko ocenić jej stan ogólny.

A czy zdarzyło się, że intuicja was nie zawiodła i okazała się najważniejsza w podjęciu właściwej decyzji o kierunku leczenia?

W.J.F.: Tak, było kilka takich sytuacji. Czasami schodziłem na izbę przyjęć z powodu pozornie błahego bólu brzucha w zaawansowanej ciąży i od razu miałem przeczucie, że wkrótce dojdzie do porodu przedwczesnego. Zdarzało się też we wczesnej ciąży, w 6. czy 7. tygodniu, że jeszcze zanim wykonałem badanie USG, miałem przekonanie, że nie będzie tam zarodka – i rzeczywiście go nie było. Nie potrafię tego do końca wytłumaczyć.

M.L.: Pamiętam pacjentkę, która zgłosiła się w 27. tygodniu ciąży z pobolewaniami w podbrzuszu i plamieniem. Niby nic szczególnego, ale była to jej trzecia ciąża i dotąd nie miała jeszcze dziecka, więc wzbudziło to mój niepokój. Powiedziałem do kolegi: „Coś mi się nie podoba, przyjmijmy ją do szpitala". Tak też zrobiliśmy. Kiedy przeanalizowaliśmy dokumentację, nic nie wskazywało jednoznacznie na poważną patologię. Co więcej, przez tę decyzję zabrakło miejsca dla innej pacjentki do przyjęcia planowego, więc spotkało się to z niezadowoleniem przełożonej – zarzucała nam przyjęcie bez wyraźnych wskazań. Następnego dnia okazało się jednak, że pacjentka urodziła – dosłownie w dwóch skurczach, jeszcze na patologii ciąży, pod kołdrą. Kolega powiedział wtedy: „Dzięki Bogu, że była już w szpitalu". Dziecko urodzone w 27. tygodniu, ważące niecały kilogram, z zaburzeniami oddychania, jeśli urodziłoby się poza szpitalem, miałoby znacznie trudniejszy start, m.in. z powodu wyziębienia. Pacjentka zresztą bardzo związała się z kliniką, później uczestniczyła w Dniach Wcześniaka. Od tamtej pory, gdy mówię do szefowej „Przyjąłbym tę pacjentkę", często słyszę: „Przyjmij". (…)

Jakie mity o porodzie słyszycie w izbie przyjęć?

M.L.: Najczęściej pacjentki mówią, że poród będzie bardzo długi, nieprzyjemny i przede wszystkim bardzo bolesny – i że „to na pewno nie może być dobre doświadczenie", więc lepiej od razu zrobić cesarskie cięcie. Kiedy przychodzą na wywołanie porodu, często widać duży lęk. Wtedy pojawiają się stwierdzenia w stylu: „To ja jednak poproszę o cięcie…". Pamiętam pacjentkę jednego z kolegów, która przyszła już bardzo „zabezpieczona" – mówiła, że ma zaświadczenie od psychiatry i będzie je trzymać przy sobie. „Jak się zmęczę albo nie będę dawała rady, to wyjmę i powiem, że jednak cesarka". Kolega odpowiedział jej bardzo jasno: albo podejmujemy decyzję i rodzimy, albo od początku kwalifikujemy się do cięcia – nie ma trybu „spróbuję, a jak będzie trudno, to zmieniamy plan". Te mity najczęściej sprowadzają się do lęku, że „będę rodzić trzy dni", że „dziecko się udusi" albo że „na pewno coś pójdzie nie tak". (…)

Czy pacjentki częściej zgłaszają się za wcześnie czy za późno? (...)

W.J.F.: Przyjeżdżają raczej za wcześnie. Pamiętasz pacjentkę, która trafiła do nas, kiedy miała skurcze co 3-4 minuty i 4 cm rozwarcia?

M.L.: Pacjentki często myślą, że skoro zostały przyjęte na oddział położniczy, to w tym momencie rozpocznie się poród i wszyscy są już na nie „gotowi". Tymczasem to tak nie działa – poród może dopiero się zacząć, ale może też przebiegać zupełnie inaczej, a czasem sytuacja wymaga szybkiego zakończenia ciąży. Pacjentki często oczekują obrazu znanego z filmów: przyjazd do szpitala, kilka skurczów i po 2 godzinach pojawia się zdrowy, różowy noworodek – zwykle „filmowy", jakby kilkumiesięczny. Trzeba jasno tłumaczyć, że to może wyglądać zupełnie inaczej: pacjentka może zacząć rodzić rano, a urodzić dopiero późnym wieczorem. Starzy ginekolodzy mówili, że pacjentka nie powinna oglądać dwóch wschodów słońca – czyli że w ciągu 24 godzin powinna urodzić.

I w praktyce tej zasady staramy się trzymać. Nie należy oczekiwać, że po wejściu na salę porodową wszystko od razu zacznie się dziać w szybkim tempie. Często przez pierwsze godziny nie dzieje się nic spektakularnego – obserwujemy, czekamy, organizm stopniowo się przygotowuje.

W.J.F.: Żargonowo mówimy, że chwilę trwa, zanim pacjentka „zaskoczy" – czyli zanim pojawią się regularne skurcze, zarówno w porodzie samoistnym, jak i po indukcji.

M.L.: Czasem wykonujemy tzw. próbę biologiczną – badamy pacjentkę, podajemy leki rozkurczowe i pozwalamy jej na spacer, np. wokół szpitala. Może się przejść, coś zjeść i po godzinie oceniamy sytuację. Jeśli pojawia się postęp, to znaczy, że poród się rozpoczyna. Pacjentki często pytają: „Kiedy urodzę – w terminie czy po terminie?". Odpowiadam wtedy, że nawet gdyby przyjechał tutaj najbardziej uczony położnik, nie da się tego dokładnie przewidzieć.

Bywają też sytuacje odwrotne – pacjentki mają już pewne rozwarcie, normalnie funkcjonują, nie wiedząc, że właściwie połowa porodu jest już za nimi. (...)

W.J.F.: Pacjentki pytają też: „Panie doktorze, ile będzie trwało cięcie cesarskie?". Odpowiadam: od początku do końca. Nie da się tego precyzyjnie zaplanować co do minuty (…).

Młodzi lekarze powinni mieć świadomość, że praca na izbie przyjęć jest żmudna i często powtarzalna.



Fragmenty książki Beaty Igielskiej, Wojciecha J. Falęckiego i Michała Lipy *Rozmowy o porodzie*, PZWL, Warszawa 2026

eprasa.pl a6f76f4988

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wpiekłogłosy

„Ja wcale nie chcę, żeby mnie było lepiej, ja chcę, żeby wam było gorzej!" – tę wypowiedź fanatycznego kaczysty, który wiózł taksówką innego reżysera do opery, zanotował w ostatnich miesiącach życia Andrzej Wajda. „To jest właśnie nie do pokonania siła PiS", skomentował. Dzisiaj należałoby dodać: siła elektoratu wszystkich prawicowych partii.

Resentyment to broń masowego rażenia, jego mocy nie da się przecenić, na nim żerują wszystkie antyunijne ugrupowania, to on dodaje sił w nogach hołocie maszerującej z racami i faszystowskimi hasłami na flagach przez Aleje Jerozolimskie. Brakowało tylko mojego ulubionego, arcypolskiego „Bóg z nami, ch** z wami". Im bardziej wprost wyrażony, wulgarny wręcz w swojej bezpośredniości przekaz, tym mniej mnie razi – nie ma bowiem nic pokraczniejszego, nic bardziej obscenicznego niż próby zawoalowania brunatnych treści ezopową ględźbą polityków. Międlenie o miłości ojczyzny i tak już zostało zastąpione wygrażaniem jej urojonym wrogom; tłuszcza nie skanduje przecież, jak bardzo kocha Polskę i co by jej zrobiła z powodu tego nieokiełznanego uwielbienia, tylko krzyczy o tym, jak bardzo nie lubi Tuska i co w związku z tą niechęcią zamierza mu uczynić.

„Istnieją mądrzy ludzie, którzy nie są zdolni. Istnieją też ludzie zdolni, którzy nie są mądrzy. I oprócz nich istnieją całe tłumy ludzi niezdolnych i niemądrych, ale sprytnych i wygadanych. I często oni zwyciężają" – to z kolei Sándor Márai w „Dzienniku", bezsprzecznie jednym z największych dzieł diarystyki w dziejach literatury. Dzisiaj już wygadanie nie wystarczy, trzeba zmienić diapazon, kto nie wykrzykuje swojego przesłania, ten nie ma racji – wszyscy politycy koalicji konfederacko-pisowskiej wiedzą, że mowa jest srebrem, za to wrzask złotem; im większe i bardziej nienawistne brednie chce się zaszczepić masom, tym głośniej trzeba gardłować.

Cała ta megafoniada napawała mnie wstrętem, od kiedy sięgam pamięcią, cały ten bezwstyd molestowania ojczyzny wynoszonej na kibolskie ołtarze, okadzanej świecami dymnymi, fetowanej hukiem petard. Nie mam usposobienia do orgii, grupowa ekstaza pod flagą biało-czerwoną to jakieś pandemonium, które raczej trwogą napawa, niźli wzmaga czułość do kraju pochodzenia. A już stadne Pater noster, wyszczekiwane jak mordercze zaklęcie, od którego ma sczeznąć każdy, kto nie równa kroku z marszem niepodległości, to już zupełny horror, horror. Tyle złej energii przeszło Mostem Księcia Pepi, że zatruło wszystkie ryby w Wiśle, trzeba poczekać, aż jad spłynie na północ i rozcieńczy się w Bałtyku.

I cóż oni potem wszyscy robią z tą ciszą, która ich zastaje po powrocie do domostw? Zagłuszają ją włączoną całodobowo TV Republika? Jej szef, nadzwyczaj plugawa kanalia, zasłonił swoją otyłą sylwetką policjanta na krakowskim Rynku i wołał wpiekłogłosy: „Gdzie jest policja?!". Tusk ściągnął wszystkich funkcjonariuszy pod Trybunał Konstytucyjny, więc nie było komu bronić ludzi przed oszalałym terrorystą – taki miał być przekaz dla widzów bezpośrednio po tragedii, w której z narażeniem życia dwójka chłopaków z patrolu w ciągu kilkudziesięciu sekund rozpoczęła pościg i w efekcie wyeliminowała zamachowca.

Wszyscy politycy koalicji konfederacko-pisowskiej wiedzą, że mowa jest srebrem, za to wrzask złotem.

Skurwysyństwo Sakiewicza wybiło wszystkie skale, więc reklamodawcy zaczynają się wycofywać – nie da się wyżyć z wciskanych ciemnocie zegarków za tysiaka, choćby na nich wygrawerowano nie tylko hołd dla żywych „obrońców Trybunału", ale i Krzyż Żelazny dla niedawno gloryfikowanych przez Batyra obrońców Monte Cassino. Recital szansonisty Wójcika też nie wygeneruje wystarczających dochodów, choćby go sprzedawać w systemie pay-per-view.

Już nawet w pochodzie listopadowym trudno w ciemno wyłowić bezkrytycznych wyznawców republikańskiej szczujni – dziennikarzyna z mikrofonem nadział się na żywo na dziarskiego patriotę, który krzyknął do kamery, co trzeba robić z Sakiewiczem. To samo, co wedle Żylety, trybuny najwierniejszych fanów stołecznych futbolistów, należy zawsze i wszędzie robić z policją.

Nie przeceniałbym jednak liczebności MN, albowiem wcale nie musi ona się przekładać bezpośrednio na zachowania wyborcze – psychopatrioci mają raz do roku swój festyn, gdy mogą się pomalować w narodowe barwy, powydzierać i nikt im nie każe dmuchać w alkomat w drodze po kebab pod Stadionem Narodowym. Wybory to już żadna zabawa, głosować idzie ten, kto ma więcej do stracenia. Kaczyński z nagła rozmiłowany w obu Konfederacjach pod hasłem „byle nie Tusk" wcale nie musi uzbierać za rok tylu głosów, ile zostanie oddanych przez stronę prorządową, przerażoną wizją dojścia do władzy faszystów, polexitowców i katotalibanu. ■

eprasa.pl a6f76f4988



Czapla biała i czapla siwa.

Białe i siwe

Bagna dla czapli to błoto jak złoto

Tomasz Kłosowski

Czapla siwa

Jeżeli gdzieś nad wodą, przy ścianie trzcin czy w innym zaciszu, majaczy pionowa postać, można mieć pewność, że to albo wędkarz, albo czapla siwa. Trochę na jedno wychodzi, bowiem obie te istoty tkwią tu tylko dla zdobycia ryb.

Czapla siwa to szeroko rozpowszechniony na nizinach skrzydlaty obywatel różnego typu zbiorników wodnych, niekoniecznie naturalnych. Dolina Biebrzy nie jest tu wyjątkiem, choć zarazem nie stanowi dla tego ptaka jakiejś wyjątkowo cennej ostoi. Z pewnością czaple wolą stawy rybne, stanowiące znakomite talerze rybnej zupy, choć są na stawach niepożądane, wręcz tępione; tylko tam zresztą wolno na nie polować. Nie wystarcza to, żeby ich się całkiem pozbyć z takich krain obfitości. Widać to też nad Biebrzą, doskonale zaopatrzoną w rybny pokarm (…).

Nad wodą czaple tkwią nieruchomo, oczekując, aż ryba podpłynie blisko. Gdy to nastąpi, ten skrzydlaty łowca zaczyna płynnie, wolniutko pochylać się nad potencjalną ofiarą i cierpliwie czeka na dogodny moment, by wyrzucić ku niej jak harpun swój ostro zakończony dziób, a potem nadziać ją na to ostrze albo chwycić jak szczypcami. Następnie wykonać zamach do tyłu i wrzucić sobie tę, niekiedy okazałą, zdobycz do gardzieli. Czaplę łatwo też dostrzec, gdy leci – i to jest dobra okazja, by ją bez omyłki rozpoznać.

Jako duży ptak o spionizowanej sylwetce i szarym upierzeniu, bywa dość często mylona np. z żurawiem. Otóż czapla w locie trzyma szyję zgiętą w literę „s”. Tymczasem żuraw w locie zawsze trzyma szyję wyciągniętą prosto przed siebie. Czapla ma przy tym dłuższy dziób niż żuraw, a samiec w porze godowej nosi na głowie długie ozdobne pióro, tzw. rajer i ten detal rozwiewa wszelkie wątpliwości co do tego, z jakim gatunkiem nadwodnego ptaka mamy do czynienia.

Czaple siwe dość często przelatują z miejsca na miejsce, kursując między starorzeczami czy stawami. O nadciąganiu czapli zawiadamia nas krótki chrapliwy okrzyk, rozlegający się z nieboskłonu, i to niejednokrotnie nocą, która tym ptakom nie przeszkadza przemieszczać się na spore nieraz odległości. Ptak ten nieraz pojawia się nagle w miejscu, gdzie przedtem nie był widywany, na jakimś niewielkim oczku wodnym czy w pobliżu rowu melioracyjnego, jeżeli zauważy, że stanowią obfitujące żerowisko. W takich miejscach przebywają na ogół pojedyncze osobniki, uparcie tu wracając, jakby chciały w tajemnicy przed innymi korzystać z zasobów tego miejsca.

Skądinąd jednak czaple siwe są ptakami towarzyskimi, co najlepiej widać w porze gniazdowania. Ich gniazda w postaci dużych, dość niedbałych konstrukcyjnie stosów gałęzi tkwią na drzewach lub wyższych krzewach niejednokrotnie tuż obok siebie, tworząc czapliniec – osiedle, liczące nieraz po kilkadziesiąt lub więcej gniazd. Czasem wśród gniazd

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a6f76f4988

czapli są gniazda kormoranów, nieraz też czapliniec współistnieje z kolonią gawronów. Czaplińce bywają otaczane ochroną jako rezerwaty.

Nad Biebrzą istniał jeden taki rezerwat o nazwie „Czapliniec Bełda", założony na skraju wysokiego, sosnowego boru. Znajdował się na południowo-zachodnim skraju pradoliny Biebrzy, w pobliżu zmeliorowanego Bagna Kuwasy. Taka kolonia nie jest zbyt trwała, bo ptasie odchody, gromadzące się w niej nieraz przez dziesięciolecia, doprowadzają do zamierania drzew, zamieniając smukłe sosny w kikuty, niezdolne już do podtrzymywania gniazd.

Dziś nie ma już czapli w tej ostoi. Ale największym czaplińcem są skupienia gęstych krzewów wierzb w centrum tzw. biebrzańskiego limanu, gdzie rzeka tworzy plątaninę koryt, a teren przez znaczną część roku jest pod wodą. Gniazduje tu wiele innych ptaków, co sprawia, że ten fragment rzeki jest w porze ptasich lęgów niedostępny dla kajaków i łodzi, którymi turyści chętnie spływają, wędrując niekiedy z jezior augustowskich aż do Wisły. Czaple zakładają tu gniazda nisko na krzewach, korzystając z niedostępności tego miejsca dla ludzi czy innych intruzów.

Gniazdo jest dziełem obu ptaków tworzących parę. Można by się zastanawiać, patrząc z daleka na ten wiecheć gałęzi, czy zasługuje rzeczywiście na miano dzieła. Ale gdy weźmiemy pod uwagę, że taki stos utrzymuje się na wiotkich gałęziach górnej części korony drzewa i wytrzymuje spowodowane wiatrem kołysanie, przyjdzie nam nieco zrewidować taką wątpliwość. Opieka nad lęgiem i młodymi to też zadanie obojga rodziców, którzy muszą dostarczać do gniazda mnóstwo pokarmu w postaci ryb.

Czapla jest w okresie karmienia swego potomstwa trochę jak wędkarz, który rozróżnia ryby wymiarowe i niewymiarowe. Z tą jednak różnicą, że czapla żadnych ryb nie wypuszcza, tylko szuka innych wymiarów w zależności od wieku piskląt. Czaple, które w czasie czatowania na ryby wyglądają jak zadumani stoicy, w życiu towarzyskim, jak i rodzinnym, są czupurne i kłótliwe, stąd liczne niesnaski i akty wygrażania między sąsiadami. (…)

Czapla biała

Jeszcze pół wieku temu nikt w Dolinie Biebrzy nie widział jej ani o niej nie słyszał. Nawet w opracowaniach ornitologów z Uniwersytetu Wrocławskiego, badających skład gatunkowy tej doliny, o czapli białej znajdziemy tylko niepozorne wzmianki. Dopiero gdzieś około połowy lat 90. wśród biebrzańskich szuwarów zrobiło się jakby bardziej biało. Z północy nadciągnęły i zaczęły tu gniazdować łabędzie krzykliwe, a z południa – właśnie czaple białe. Od razu stały się dość widoczne, nie tylko dzięki białemu upierzeniu, ale też i temu, że chętnie przebywały w większych grupach. (…)

W przypadku tej czapli wypada mówić nie o nalocie, a raczej o… powrocie, kiedyś bowiem już areał życiowy tego ptaka obejmował Polskę. Ale wciąż się kurczył, bo spadała liczba osobników w całym obszarze występowania czapli białej, jako że była tępiona dla zdobycia jej wykwintnych, długich, białych piór, mających zdobić kapelusze, fryzury i paradny rynsztunek koński. Po raz kolejny dała popis ludzka głupota i próżność.

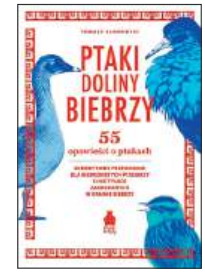
Dzisiejszy powrót tego ptaka na dawne włości jest kojarzony nie tyle z ochroną, którą został objęty, ile z ociepleniem klimatu, pozwalającym południowym gatunkom podbijać tereny położone bardziej na północ od dotychczasowej ostoi. Czapla biała nie zniknęła zresztą z Polski całkowicie, miała swoją niewielką kolonię na Polesiu Lubelskim. Jej przybycie nad Biebrzę to jednak przejaw odradzania się społeczności tych z wyglądu eleganckich ptaków.

Aby jednak uzyskać prawdziwe biebrzańskie obywatelstwo – albo jakiejś innej krainy – trzeba założyć tutaj gniazdo, czyli przystąpić do rozmnażania. Czaple białe uzyskały je, zakładając kolonię lęgową w pobliżu domostwa czapli siwych w niedostępnych, otoczonych plątaniną koryt i starorzeczy dolnej Biebrzy, w gęstych zaroślach wierzbowych na obszarze „biebrzańskiego limanu" w pobliżu Brzostowa.

Pierwsze gniazdo – będące zarazem pierwszym w Polsce – znaleziono tu w 1997 r. Ornitolodzy nie byliby sobą, jeżeli nie zapuściliby się w te zdradzieckie, grząskie zarośla i nie dotarli przez tutejszy busz do gniazd dla zaobrączkowania młodych ptaków. Kiedyś przedzierali się przez tutejsze „chrapy" – jak ludność okoliczna nazywa podmokłe zarośla – na piechotę. W 2024 r. liczenie gniazd można już było robić „z lotu czapli", czyli z drona. Miejsce to utkane z gęstych gałązek wierzb wygląda z góry jak zielony mech, na który ktoś naniósł farbą białe plamki. To są właśnie siedzące na gniazdach czaple białe. Ich liczba w tym osiedlu – jak i w całym kraju – rośnie.

Nie trzeba jednak przedzierać się przez zdradliwy busz, by obejrzeć czaplę białą. Ptaki tego gatunku często grupami stoją na krawędzi trzcin i otwartej wody, gdzie łowią pokarm „lżejszego kalibru" niż zdobycze łowione przez czaple siwe, bo dużo w nim mięczaków, skorupiaków, owadów i nieco małych ryb. O ten pokarm nie muszą ze sobą tutaj konkurować, toteż łowią i przebywają obok siebie zgodnie, niewiele tu utarczek i wygrażania sąsiadom. Ale czaple białe widuje się też często – podobnie jak czaple siwe – w pojedynkę, nieraz daleko od kolonii lęgowej czy w ogóle od rzeki. Bywają na łąkach, w pobliżu rowów i małych oczek wodnych. (…)

Czapla biała stała się zatem ważną ptasią wizytówką Doliny Biebrzy. Sporadycznie spotyka się tu jeszcze jej krewniaczki – również biało upierzoną czaplę nadobną, poza tym czaplę purpurową, a zupełnym ornitologicznym rarytasem było niedawne wykrycie czapli złotawej, zawdzięczającej swą nazwę brunatnemu, jakby złotawemu odcieniowi długich piór zwisających z tyłu głowy ptaka i jego grzbietu. To już 307. gatunek ptaka, którego obecność zauważono nad Biebrzą, świadczący, że te bagna to dla skrzydlatych „błoto jak złoto".



Fragment książki Tomasz Kłosowskiego *Ptaki Doliny Biebrzy*, Paśny Buriat, Suwałki 2026

eprasa.pl a6f76f4988



Japońscy mistrzowie herbaty odrzucali bariery i struktury społeczne

NAPÓJ WOJOWNIKÓW

Julien Peltier

Herbata dotarła do Japonii w XII w. w bagażu mnichów, którzy w Chinach zaznajomili się z rytuałami towarzyszącymi praktykowaniu buddyzmu zen, w tym ze zwyczajem spożywania napoju sprzyjającego medytacji. Chociaż niektórzy regenci Hōjō oddawali się tej praktyce, to dopiero ich następcy Ashikagowie skodyfikowali zasady ceremonialnego picia herbaty. Degustacje, początkowo wystawne i nastawione na popularyzację chińskiej tradycji współbiesiadowania, z czasem stały się bardziej wysublimowanymi i kameralnymi spotkaniami, którym przewodniczył bonza Murata Shuko, protegowany Yoshimasy, ósmego szoguna z rodu Ashikagów i wielkiego mecenasa sztuki.

Kluczową rolę w upowszechnieniu ceremonii picia herbaty i wprowadzeniu jej na polityczne salony odegrał słynny Sen no Rikyū, „mistrz herbaty" (...). W wieku 19 lat przyszły Rikyū – urodzony w 1522 r. w zamożnej rodzinie kupców z Sakai, wolnego miasta, które odgrywało ważną rolę w handlu morskim z kontynentem, a nawet z odległymi krajami Półwyspu Iberyjskiego – przeniósł się do Kioto. Jakiś czas później młodzieniec, częściowo wtajemniczony w arkana chanoyu, sztuki ceremonialnego parzenia i picia herbaty, wstąpił do Daitoku-ji, bastionu szkoły rinzai, gdzie kontynuował naukę pod okiem najwybitniejszych mistrzów ceremonii.

W tamtym czasie narodziła się koncepcja estetyczno-moralna zwana wabi-sabi, praktycznie nieprzetłumaczalna, zalecająca praktykowanie cnót prostoty, pokory, a nawet melancholii, odnajdywanie piękna w niedoskonałościach świata i nietrwałości wszystkich rzeczy.

Rikyū, który z czasem stał się wytrawnym znawcą sztuki parzenia herbaty, nigdy nie zapomniał o swoim pochodzeniu i pozostał blisko związany z wielkimi rodami zamieszkującymi Sakai, wśród których nie brakowało uznanych mistrzów ceremonii. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę znaczenie, jakie niektórzy watażkowie, urzeczeni herbacianym ceremoniałem, przywiązywali do zabytkowych utensyliów przywożonych z Chin – sprzedawcy owych antyków mieli monopol na ich sprowadzanie, więc siłą rzeczy odgrywali rolę arbitrów elegancji.

Bogaci kupcy z Sakai byli również jednymi z głównych dostawców broni palnej i prochu strzelniczego, istnieją zatem wszelkie powody, by sądzić, że wojowniczy daimyō (hrabia, książę, pan feudalny, którego dochód przekraczał 10 tys. miar ryżu zwanych koku)łączyli przyjemne z pożytecznym.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a6f76f4988

Zdaniem Béatrice Bodard pokojowe rozwiązanie konfliktu między Odą Nobunagą a Ēgoshu, radą miejską, wynikało właśnie z tej zbieżności interesów, ponieważ jakiś czas wcześniej ambitny Nobunaga zaraził się ogromną pasją do chanoyu. W 1569 r. zarządził konfiskatę wszystkich meibutsu (cennych przedmiotów, utensyliów wykorzystywanych podczas ceremonii parzenia i picia herbaty, często importowane z kontynentu) dostępnych w Japonii, również tych znajdujących się w Sakai, gdzie było ich najwięcej. Wywłaszczeni otrzymali rekompensatę, ale Nobunaga osiągnął swój cel – przywołał do porządku dumne miasto portowe i Sakai nigdy już nie odzyskało niezależności, którą cieszyło się przez prawie 100 lat.

Podobnie jak wiele tradycyjnych japońskich sztuk, ceremonia parzenia i picia herbaty była praktykowana przez kilka różnych, a nawet konkurujących ze sobą szkół, ale to Rikyū, cieszący się uznaniem elit władzy – zwłaszcza Nobunagi – zdołał narzucić innym opracowany przez siebie ceremoniał, który spotkał się z dobrym przyjęciem ze strony wielkich panów feudalnych, zwłaszcza że współgrał z ich interesami.

Skromny pawilon przypominający wyglądem chatę krytą strzechą, wystarczająco duży, aby pomieścić garstkę wybranych gości, stanowił idealne, dyskretne miejsce do zawierania tajnych sojuszy i wymiany poufnych informacji. Chociaż Rikyū ostatecznie wypadł z łask i zapłacił życiem za swoją pychę – wiosną 1591 r. Hideyoshi, drugi architekt zjednoczenia państwa, nakazał mistrzowi popełnienie rytualnego samobójstwa – jego spuścizna nadal żyje.

•

Naturalną ścieżką kariery każdego wojownika, który pragnął okryć się chwałą, była oczywiście służba wojskowa, ale w okresie Azuchi-Momoyama herbata odgrywała tak ważną rolę w kulturze japońskiej, że mogła – niemal w pojedynkę – zapewnić awans społeczny adeptowi sztuki chanoyu. Ceremonia jej parzenia i picia była czymś więcej niż tylko formą rozrywki, skądinąd sprzyjającą snuciu intryg.

Umożliwiała zmianę statusu społecznego w całkowicie honorowy sposób, nic dziwnego zatem, że wielu daimyō zadbało o wyrobienie sobie opinii mistrza ceremonii. Z zapisków Furuty Oribe, pochodzącego z kasty wojowników ucznia i następcy Rikyū, wynika, że około połowy uczestników ceremonii organizowanych przez mistrza stanowili zbrojni mężowie. Potężnym panom feudalnym z regionu Tōhoku, takim jak Satake Yoshinobu czy słynny Date Masamune, było wprawdzie daleko do wzoru sumienności w przestrzeganiu ceremoniału, ale utrzymywali regularną korespondencję z Oribe, który udzielał im cennych porad dotyczących nabywania i konserwacji utensyliów do parzenia herbaty, będących wówczas atrybutami władzy traktowanymi na równi z drogimi mieczami czy ułożonymi wierzchowcami.

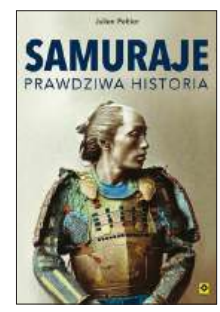
W lipcu 1615 r. Oribe popełnił rytualne samobójstwo, do którego został zmuszony w ramach kary za udział w spisku uknutym przeciwko Tokugawom przez zwolenników Toyotomiego. (…)

Wszystkie te opowieści, którym wciąż daleko do anegdot, nawet jeśli tradycja znacznie je ubarwiła, świadczą o dużym znaczeniu chanoyu w życiu społecznym wojowników. Podobnie jak w przypadku innych zwyczajów, które zyskały popularność wśród japońskich elit, w okresie Edo picie herbaty upowszechniło się w całym kraju. W XVII w. Japonia zamknęła się na świat, co na długi czas wstrzymało wymianę handlową z kontynentem, ale sprzyjało wzrostowi lokalnej produkcji i konsumpcji, a co za tym idzie – przyczyniło się do rozwoju gospodarki archipelagu. (…)

Modę na ceremonię parzenia herbaty najlepiej wykorzystali nie tyle wojownicy czy niezamożni mieszczanie, ile kupcy. Mistrzowie ceremonii, tacy jak Rikyū i jego naśladowcy, często pochodzący z rodzin kupieckich, skodyfikowali sztukę picia herbaty, by wziąć swoisty odwet na społeczeństwie konfucjańskim, które gardziło środowiskiem kupców, widząc w nich zwykłych pośredników. Mimo że obowiązujące w Japonii prawo zabraniało adeptom sztuki chanoyu opływania w zbytki, mistrzowie ceremonii zdołali stworzyć środowisko, które niepostrzeżenie burzyło wszelkie istniejące hierarchie. Nawet dumny daimyō musiał zgiąć kark i zostawić na progu swoją broń, aby wślizgnąć się do sukiya, ciasnego pawilonu herbacianego. Jak zauważa architekt Anoma Kumarasuriyar, „mistrzowie herbaty odrzucali bariery i struktury społeczne, które im narzucono, umiejętnie manipulując zarówno architekturą, jak i samym rytuałem". Japońsko-amerykański historyk Isaac Kikawada podsumowuje: „Pawilon herbaciany stanowił neutralną przestrzeń, akceptowalną dla obu stron. Był miejscem wystarczająco godnym watażków i samurajów i jednocześnie stosunkowo wygodnym z punktu widzenia rzemieślników i kupców".

Ceremonia parzenia i picia herbaty umożliwiała zmianę statusu społecznego w całkowicie honorowy sposób.

Ta próba społecznej legitymizacji nie miałaby jednak znaczenia, gdyby daimyō tacy jak Oda Nobunaga nie uczynili z ceremonii picia herbaty narzędzia i atrybutu władzy. W okresie Azuchi-Momoyama (1573-1603), gdy archipelag stopniowo odzyskiwał jedność, zamiłowanie wysokich rangą samurajów do chanoyu przerodziło się w istne szaleństwo, niektórych kosztujące życie.



Fragmenty książki Juliena Peltiera *Samuraje. Prawdziwa historia*, tłum. Justyna Nowakowska, Wydawnictwo RM, Warszawa 2026

eprasa.pl a6f76f4988





Turystyczny cud

W plebiscycie „Cuda Polski 2026” zorganizowanym przez „National Geographic Traveler” tytuł w województwie mazowieckim zdobył Otwock ze swoją charakterystyczną drewnianą zabudową i historią dawnego uzdrowiska. Świdermajer – architektura, której nie da się pomylić z żadną inną: ażurowe ornamenty, rzeźbione werandy, przestronne tarasy, ozdobne wieżyczki. Wspomnienia letników, wypoczynku od wielkomiejskiego zgiełku wśród sosen. Każda willa jest inna, każda ma własną historię, razem tworzą ważną część dziedzictwa kulturowego Mazowsza.

(mg)





eprasa.pl a6f76f4988

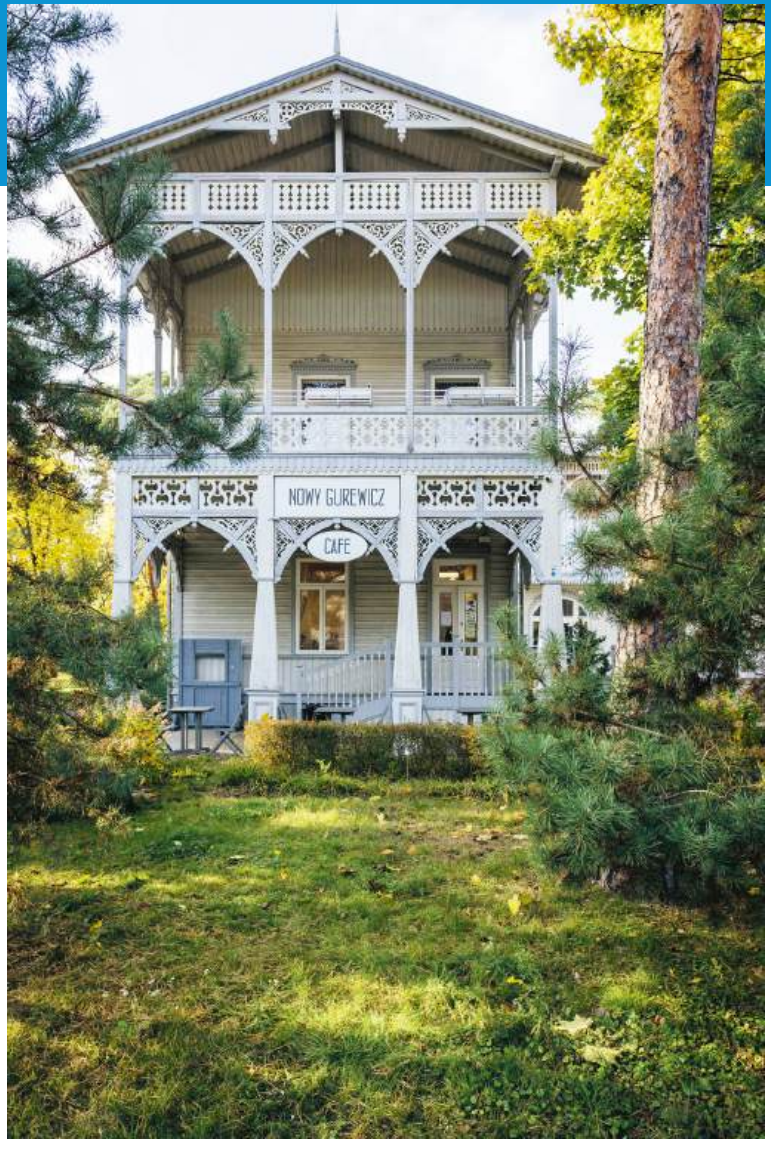




Polski

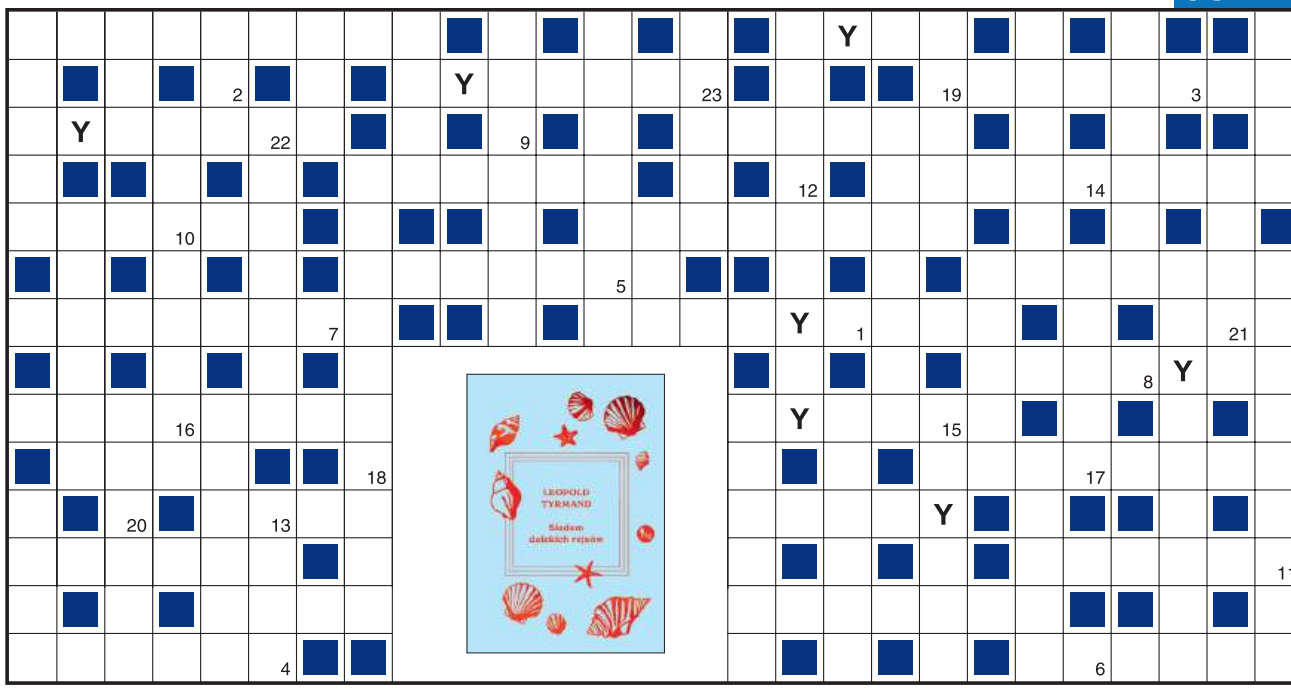
FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI





eprasa.pl a6f76f4988

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Y ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- otaczają gwiazdora uwielbieniem
- potocznie o grochodrzewie
- budowla nazywana dawniej chłodnikiem
- władzy, biurokratyczny albo partyjny
- igława, jodła pokojowa
- Alan z Oscarem za rolę w „Małej miss”
- wyraża niedokonaność lub dokonaność czasownika
- haft albo dzianina z wzorem z dziurek
- kolumienka balustrady
- klub piłkarski z Glasgow
- św. Weroniki lub harcerska
- ktoś doświadczony i przebiegły, też stopień harcerski
- imię aktorek Fanning i Johnson
- i rower, i pionek w warcabach
- Burkego lub przy Środkowej na warszawskiej Pradze
- wyodrębniony okres w historii
- nieprzepisowy atak piłkarski
- dawny przyrząd do kreślenia linii tuszem
- pełnia spokoju i szczęścia
- pierwiastek o symbolu Y
- Gajos, Korczak lub Majewski
- prymitywna uprząż bydła roboczego
- zakręcany pojemnik na paliwo
- kto gra w otwarte… jest szczery
- pokonał Spartan w 425 r. p.n.e.
- krzyż z Chrystusem
- odrobina, szczypta
- „…dla czterech aktorów” Schaeffera
- samochodowe lub kolorowe pióra na skrzydłach ptaka
- dostojeństwo, powaga i okazałość
- lis z „Opowiedział dzięcioł sowie”
- francuski samolot bojowy
- skomponował „Czarodziejski flet”
- prysznic dla aut
- przepasane nim kimono
- rzutkość, zaradność, operatywność
- miejsce występowania, zasięgu czegoś
- nazywany potocznie sitowiem
- po haśle
- …Hesperyd z jabłonią o złotych jabłkach
- czarno-białe drapieżne delfinowate
- ekonomista Lange lub piłkarz Pietuszewski
- rozległa gazowa wokół gwiazdy to mgławica
- miejscowość będąca potocznym symbolem prowincji
- niemiecki producent porcelany
- Lech, Czech i…
- lekcje plastyki potocznie
- z …miedzi hodowane niebieskie kryształy
- w buzi niemowlaka
- stojan, nieruchoma część silnika elektrycznego
- można go wybijać, klaskać do niego, tupać
- do podtrzymywania chorej ręki
- spuścić z niego to spokornieć
- podarunek
- kołująca woda
- studencka np. dzięki Erasmusowi
- od tego momentu zaczyna się narzeczeństwo
- „Pelle…” z Maksem von Sydowem
- zarobek, korzyść
- psikus, dowcip

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1300”. Do rozlosowania książki „Siedem dalekich rejsów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 listopada 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1297” z nr. 44: *Ryzyko to przyprawa życia.*

Nagrody otrzymują: Józef Dymalski z Wrocławia, Daniel Szymanek z Nowej Soli, Arkadiusz Wlekły z Leszna.

eprasa.pl a6f76f4988

Przebudowa

Zastanawiają się urzędnicy w ministerstwie, kto zostanie następcą Władysława Teofila Bartoszewskiego. Swego czasu minister Sikorski odgrażał się, że jak prokuratura postawi mu zarzuty, trzeba będzie podjąć decyzję kadrową. Ten moment właśnie nastąpił. Prokuratura zarzuca Bartoszewskiemu m.in. przywłaszczenie powierzonych środków: 1 mln funtów, 405 tys. euro, ponad 6,6 mln zł. Tyle powierzył mu jego ojciec chrzestny, Andrzej Ciechanowiecki, wybitny historyk sztuki, marszand i filantrop, by tą sumą zarządzał. A Bartoszewski, jak dowiadujemy się z prokuratury, te pieniądze zagarnął.

Wszyscy wiemy: dopóki nie ma prawomocnego wyroku sądu, człowiek jest niewinny. Różnie więc jeszcze może być. Ale czy można sobie wyobrazić wiceministra spraw zagranicznych z takimi zarzutami? Który idzie na poufne rozmowy, a jego partnerzy czytają, że zagarnął powierzone mu pieniądze?

Tak się nie da. I nawet spodziewano się, że Sikorski zwolni Bartoszewskiego dużo wcześniej, bo przecież zarzuty wobec niego są znane od dawna. Ale minister zwlekał. Wiadomo dlaczego. Władysław Teofil Bartoszewski został sekretarzem stanu z poręki PSL. I wiadomo, że na jego miejsce musi przyjść właśnie ktoś z poręki PSL, Kosiniak-Kamysz tego nie odpuści, nie będzie tak jak z Szejną. Dlatego Sikorski zwleka, bo woli Bartoszewskiego, do którego już się przyzwyczaił, niż kogoś nowego, z kim trzeba będzie na nowo się układać.

A widzimy przecież, że Radosław Sikorski ma specyficzny sposób funkcjonowania. Najchętniej pracowałby z tymi, których zna od lat. I którzy zdejmują mu z ramion kłopoty. Taką osobą jest chociażby Henryka Mościcka-Dendys, dyrektor generalna MSZ i szefowa służby zagranicznej w jednym. Odpowiada i za kadry, i za inwestycje. To ważna funkcja, bo Sikorski interesuje się inwestycjami. Począwszy od tych drobnych, jak zakup mebli czy środków łączności, po największe. Wymieńmy je. W tym sezonie politycznym Polska zamknie ciągnącą się wiele lat inwestycję i nastąpi otwarcie nowo wybudowanej ambasady w Mińsku. Którą – zaznaczmy – zbudowały polskie firmy z polskich materiałów.

Jednocześnie ruszy przebudowa budynku ambasady RP w Waszyngtonie. Polska kupiła go w grudniu 2024 r. od Johns Hopkins University za 20 mln dol. Cena była atrakcyjna – też dlatego, że budynek wymaga gruntownej przebudowy. I ona rusza! Od zakupu minęły prawie dwa lata, ale są pozwolenia, jest dokumentacja i są pieniądze. W budżecie MSZ na rok 2027 zgromadzono na te prace środki w wysokości 18,7 mln zł.

Pytanie teraz, kto będzie tę ambasadę otwierał. Bo przecież prace budowlane potrwają dłużej niż do października 2027 r. A co potem? Tego nikt dzisiaj nie wie. W każdym razie minister Sikorski już zaprasza wszystkich na jej otwarcie, fotografuje się na jej tle, to znaczy na tle obecnego budynku, fotografuje się również na dachu, z widokiem na Waszyngton, i zapowiada, że z obecnego brzydala wyrośnie piękna ambasada. No to czekamy…

Attaché



Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wita prezydenta Brazylii Luiza Inácia Lulę da Silvę podczas wspólnego zdjęcia przywódców na konferencji ONZ w sprawie zmian klimatu. Antalya, 11 listopada 2026 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl a6f76f4988







PENETRACJE

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
PREZES STOWARZYSZENIA „KUŹNICA”,
REDAKTOR NACZELNY „ZDANIA”

ZDANIE

W oficjalnym przekazie doby PRL o Daszyńskim pamiętano, jednakże akcentując wybrane elementy jego dziedzictwa – te społecznie radykalne, antysanacyjne, antyendeckie. I ta instrumentalizacja pamięci o Daszyńskim między 1944 a 1989 r. jest, w moim przekonaniu, ważnym powodem tego, że w III RP nastąpiło odejście od pielęgnowania pamięci o Daszyńskim socjaliście. Tym bardziej że po okresie Polski Ludowej słowo socjalizm stało się dla wielu problematyczne samo w sobie… To nurtowi socjalizmu niepodległościowego i krótkotrwałemu rządowi lubelskiemu Daszyńskiego, a następnie warszawskiemu rządowi innego socjalisty – Jędrzeja Moraczewskiego oraz temu, że te rządy wdrażały istotne elementy programu socjalistów, Polska zawdzięcza unarodowienie warstw pracujących, zarówno robotników (nielicznych), jak i wielu chłopów.

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

Nawrocki zrobiłby wszystko, by zadowolić Trumpa; jest na każde skinienie, gotów poświęcić europejskie relacje Polski, byle nie wypaść ze sztywniejących ramion Trumpa. Sejmowa prawica, skandująca kiedyś w niezrozumiałej euforii: „Trump! Trump!”, doznała dziś despektu niewyobrażalnego. Bidula Kaczyński skrzeczący kiedyś o Budapeszcie w Warszawie to pikuś wobec żenującego lennego hołdu ideologicznych wasali Trumpa. Ponoć Bogucki klecił już w Kancelarii listę miejsc, których zmianę nazw Nawrocki miałby ku chwale amerykańskiego przywódcy rychło pobłogosławić: Jasna Góra stałaby się Trump Hill, Wawel – Trump Castle, a America Forest zastąpiłby nazwę Białowieski Park Narodowy. Ale jak będzie potrzeba, Szefernaker podrzuci do zmiany rzekę.

CZESŁAW CZAPLIŃSKI,
MISTRZ FOTOGRAFII

VIVA!

Pavarotti miał w sobie ogromną naturalność i poczucie humoru. Zaczęliśmy od spotkania w drzwiach obrotowych. Weszliśmy do jednego segmentu i właściwie ledwo się tam zmieściliśmy. To był moment, który pokazuje, jak ważne jest poczucie humoru. Nie chciałem fotografować „wielkiego tenora”. Chciałem zachować moment, w którym Luciano śmieje się z siebie i całej sytuacji. W garderobie w Metropolitan Opera miał stos płyt, siedział i je opisywał. W pewnym momencie zapytał mnie, jakie zdjęcie chciałbym mu zrobić. A ja odpowiedziałem: „Słuchaj, a może ty byś wymyślił, jak można cię sfotografować?”. Pavarotti się żachnął. „Zaraz, zaraz. Przychodzisz do mnie, ja poświęcam ci swój czas, a ty jeszcze chcesz, żebym wymyślał ci pomysł na zdjęcie?”. Powiedziałem, że tak byłoby najlepiej. I nagle złapał płytę i przykleił ją sobie do czoła. Wyszło świetne zdjęcie. Spontanicznie, w jednej chwili. Nie wymyśliłem tej sceny, nie wyreżyserowałem jej. Pavarotti sam ją stworzył.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl a6f76f4988

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

MODOĆTSÓZIMIWKU

ASZŻCIEOZEKAIE

SAWOSUJWWEŁOZI

MŁODOŚĆ TO SÓL ZIEMI W OKU, NASZE ŻYCIE TO CZEKANIE, SAM WIOSŁUJ W SWEJ ŁODZI



Aby język giętki...

AGNIESZKA HOLLAND
O KAROLU NAWROCKIM
Nie mam do niego źdźbła szacunku.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA
O TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM
Przed 30 października Trybunał Konstytucyjny był instytucją upadłą.

ALEKSANDER HALL
O BOGDANIE ŚWIĘCZKOWSKIM
Jego wybór był skandalem i pokazaniem, że Trybunał jest polityczną drogą najbardziej skrajnej części władzy.

AGNIESZKA DZIEMIANOWICZ-BĄK
O RAZEM
Jedyne miejsca pracy i jedyne wynagrodzenia, które was, partio Razem, obchodzą, to są wasze wynagrodzenia.

JERZY BACZYŃSKI O KANALE ZERO
Internetowy sojusznik Republiki ogłosił, że zamachowcy nie tylko chcą siłą przejąć Trybunał, ale i odwołać wybory w Polsce.

AGATA PASSENT O BUDŻECIE
Prowadzić budżet uczyłam się w domu, zapisując wieczorem każdy wydatek z danego dnia. Nadal tak robię.

RADZIMIR DĘBSKI (JIMEK) O MUZYCE
Robię się coraz bardziej sentymentalny, coraz bardziej tęsknię.

JOANNA JABŁCZYŃSKA O KURACH
Uwielbiam siedzieć i obserwować moje kury. To jest dla mnie najlepsza terapia.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl a6f76f4988



Maria Sibylla Merian, „Borówka czarna z cyklem rozwojowym owadów", plansza LXXXIV, „Ogólna historia owadów Surinamu i całej Europy", Paryż 1771.



Maria Sibylla Merian, „Aksamitka, nasturcja i nawrot lekarski", plansza CLXII, „Ogólna historia owadów Surinamu i całej Europy", Paryż 1771.



Basilius Besler, „Trzy odmiany bodziszka", karta z atlasu botanicznego „Hortus Eystettensis", Norymberga 1613.

Świat jak zielnik

Natura w sztuce od XVII do XXI wieku



Jan Stanisławski, „Malwy – polska jesień", 1900.

„Świat jak zielnik" to podróż przez ponad cztery stulecia przedstawień natury w sztuce. Ekspozycja łączy dzieła dawnych mistrzów i twórców współczesnych, prezentując malarstwo, grafikę, rzeźbę, ilustracje botaniczne, zielniki i instalacje. Ukazuje zmieniające się na przestrzeni wieków sposoby postrzegania przyrody, podejmując jednocześnie temat współczesnego kryzysu klimatycznego i zagrożonej bioróżnorodności. To refleksja nad relacją człowieka z naturą i nad tym, co może zostać bezpowrotnie utracone.

CK Zamek, Sala Wystaw
Poznań, Święty Marcin 80/82
do 6 grudnia



Watanabe Seitei, „Słowiki czarnolice na gałęziach surmii", ok. 1900.

eprasa.pl ad7df4988

XXXIV TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM ARKADY KUBICKIEGO

ORGANIZATOR

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

PARTNER

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

historiaikultura.pl

26-29 listopada 2026

32 EDYCJA NAGRODY KLIO



OGŁOSZENIE LAUREATÓW 32. EDYCJI NAGRODY KLIO 26 LISTOPADA 2026

XXXIV TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO

ORGANIZATOR

FUNDACJA HISTORIA i KULTURA

MECENAS NAGRODY KLIO

STOWARZYSZENIE AUTORÓW I WYDAWCÓW COPYRIGHT POLSKA

eprasa.pl a6f76f4988



eprasa.pl a6f76f4988